

TO NIE BAJKA...

Biblioteka
L. in
D.

BIBLIOTEKA OFICERSKA
No 737
KORPUSU KADETÓW Nr. 2
W RAWICZU

BIBLIOTEKA BOY'A — TOM 57

DIDEROT

TO NIE BAJKA...

PRZEŁOŻYŁ BOY.



Vol. 57, 64-90
WARSZAWA — KRAKÓW
NAKŁADEM KSIĘGARNI J. CZERNECKIEGO

WYSZŁY Z DRUKU:

- Boy: **Słówka**, wydanie trzecie, pomnożone. Kraków, Gebethner.
— **Studia i szkice z literatury francuskiej**, tamże.
— **Flirt z Melpomeną**. Warszawa, Bibl. pol.

PRZEKŁADY BOYA:

Dzieje Tristana i Izoldy. Mortkowicz, Warszawa.

WIEK XV-ty.

Franciszek Villon: **Wielki testament**, G. Gebethner i Sp.

WIEK XVI-ty.

Rabelais: **Dzieła** (Gargantua i Pantagruel), Tomów 5, Kraków, J. Czernecki.
Montaigne: **Fizma**, Tomów 5, G. Gebethner i Sp.
Brantôme: **Żywoty pań swowolnych** (wyczerpane).

WIEK XVII-ty.

Descartes: **Rozprawa o metodzie**, G. Gebethner i Sp.
Molier: **Dzieła**, Tomów 6, Lwów, Księgarnia polska.
Racine: **Fedra**, G. Gebethner i Sp.
Pascal: **Myśli** (przygotowane do druku).

WIEK XVIII-ty.

Lesage: **Djabeł kulawy**, G. Gebethner i Sp.
Marivaux: **Komedye**, Tomów 2, Kraków, J. Czernecki.
Montesquieu: **Listy Perskie**, G. Gebethner i Sp.
Montesquieu: **Duch praw** (w przygotowaniu).
Wolter: **Powiastrki filozoficzne**, G. Gebethner i Sp.
Crébillon (syn) **Noc i chwila**, Kraków, J. Czernecki.
Jan Jakób Rousseau: **Wyznanie**, Tomów 3, Kraków, J. Czernecki.
Diderot: **Kubuś fatalista i jego pan**, Warszawa, Bibl. pol.
Diderot: **To nie bajka...**
Laclous: **Niebezpieczne związki** (wyczerpane),
Beaumarchais: **Komedye**, Kraków, G. Gebethner i Sp.
X. Prévost: **Manon Lescaut**, tamże.
B. de Saint-Pierre: **Paweł i Virginia**, Kraków, J. Czernecki.
Listy panny de Lespinasse, G. Gebethner i Sp.

WIEK XIX-ty.

Chateaubriand: **Atala—Réne**, Poznań, Księg. św. Wojciecha.
Benjamin Constant: **Adolf**, G. Gebethner i Sp.
Stendhal: **Czerwone i czarne**, (przygotow. do druku).
Balzac: **Fizyologia małżeństwa** (wyczerpane).
Balzac: **Małe niedole pojęcia małżeńskiego** (wyczerpane).
Balzac: **Dwaj poeci**, G. Gebethner i Sp.
Balzac: **Stracone złudzenia**, tamże.
Balzac: **Cierpienia wynalazcy**, tamże.
Balzac: **Ojciec Goriot**, G. Gebethner i Sp.
Balzac: **Kawalerskie gospodarstwo**, Kraków, J. Czernecki.
Balzac: **Córka Ewy**, Kraków, J. Czernecki.
Balzac: **Mara z zaścianka**, G. Gebethner i Sp.
Balzac: **Wielkość i upadek Cezara Birotteau**, tamże.
Balzac: **Blaski i mędra życia Kurtyzany**, tamże.
Balzac: **Ostatnie wcielenie Vautrina**, pod prasą.
Gautier: **Panna de Maupin**, Kraków, J. Czernecki.
Musset: **Spowiedź dziecięcia wieku**, Warszawa, Bibl. pol.
Merimée: **Kolomba**, Kraków, J. Czernecki.
Murger: **Cyganerya**, tamże.
Verlaine: **Elegie**, wyd. drugie. G. Gebethner i Sp.

II. 812.208

BIBLIOTEKA
BN

1932 W 495/53



OD TŁÓMACZA

Omawiając, swego czasu, *Kubusia fatalistę*, zwróciłem uwagę na pewne znamienne cechy twórczości Diderota. Niezmordowany ten pracownik pióra, jeden z najgłośniejszych i najbardziej wpływowych pisarzy ówczesnej Europy, nie zostawił po sobie dzieła; nie zostawił żadnego utworu, w którym-by się pełno wyraził jako myśliciel i jako artysta. W namiętnej gorąco bezpośredniego działania słowem, kształtowania niem form życia, szedł przed siebie jako wojownik nowych idei, nauczając, walcząc, popularyzując. Najlepszą część sił utopił w olbrzymim przedsięwzięciu *Encyklopedyi*, niezmiernie płodnym jako wpływ, ale niewdzięcznym jako przejaw indywidualnej twórczości; wszystko inne było dlań tylko wytechnieniem w tej pracy, którą uważał za cel swego życia. I w tych swoich „wczasach“, ot tak, od niechcenia, rzucił Diderot podwaliny pod krytykę malarską (*Salons*), pod teorię sztuki dramatycznej (*Paradoxe sur le comédien*); przeczul i wyprzedził wiele pojęć z zakresu filozofii przyrody (pojęcie *ewolucyi*); stworzył dziełami swemi scenicznymi (mimo iż one same są dziś bezwartościowe) nowe drogi teatrowi; wreszcie zostawił garść powiastek, dyalogów, fragmentów,

zaliczonych dziś do klejnotów francuskiego piśmienictwa.

Z utworów tych — jak to już zaznaczyłem na innem miejscu — żaden nie ukazał się drukiem za życia autora; przyczyną tego były, w części, obawy pisarza, aby, zwracając na siebie uwagę rządzących kół we Francyi, nie ściągnąć represyi na *Encyklopedyę*; częścią niedbała beztroska z jaką odnosił się do tych drobiazgów, stanowiących dziś najżywotniejszą jego legitymacyę wobec potomności. I tak, nawet większe utwory Diderota, jak *Kubuś fatalista i jego pan*, jak *Bratanek mistrza Rameau*, błąkały się w odpisach po Europie przechodząc najosobliwsze koleje, zanim wreszcie ukazały się w druku ¹⁾; tem bardziej i te drobiazgi, które, w formie nawet, zachowały na wpół prywatną cechę. Jedne z nich to opowiadania,

¹⁾ Jeszcze w bieżącym roku, pojawiła się w dzienniku *Le Temps* (z 30 marca) wiadomość o niedrukowanym dotąd dialogu filozoficznym Diderota, który, po śmierci filozofa, wraz z innymi jego papierami, złożono w petersburskim Ermitażu. Jestto rozmowa Diderota z opatem Barthelemy, autorem *Podróży młodego Anacharsisa*, na temat Boga, duszy, życia zagrobowego, etc., interesująca tem, iż pisarz bezpośrednio wyraża w niej swoje poglądy. Utwór kończy się tem znamiennem wyznaniem wiary filozofa: „Praca, tak, to los nasz i rola na ziemi. Rozniecać światło i dobro, ulepszać i pomnażać otrzymane dziedzictwo, oto nasz obowiązek. Dodam: czynić jak najwięcej dobrego, usuwać, o ile możemy cierpienie od współżyjących. Dobroć i praca, oto moje dwa artykuły wiary. Reszta... Reszta — to znaczy Bóg, dusza i życie przyszłe... Ani w to wierzę, ani nie wierzę... Usuвам te kwestye, trzymam się życia obecnego, i uważam, że Spinozą, wszystkie rozmowy nad rzeczami nadprzyrodzonymi i pośmiertnymi za nieużyteczne, daremne i przygniatające“.

oparte na rzeczywistych faktach zaczerpniętych z ówczesnego paryzkiego towarzystwa, tylko z a g ę s z c z o n e niejako, udratyzowane talentem pisarza, który bierze je za punkt wyjścia do rozsuwania głębokich spostrzeżeń psychologicznych: łatwo zrozumieć, iż te nie mogły się pojawić w druku bez jaskrawej niedyskrecyi wobec żyjących jeszcze osób. Inne, to fantazyje filozoficzne, w których ten bezwzględny anarchista ducha daje swobodny upust swoim rojeniom; a od tych rojeń dziś jeszcze mogłyby „powstać włosy na głowie“ komuś ktoby je wziął zanadto seryo (*Przyczynek do podróży Bougainville'a*!). To, iż ten utwór, jak również owa tak spokojna i uśmiechnięta w swoim zuchwałstwie *Rozmowa filozofa* nie mogły krążyć swobodnie pod rządami ostatnich Ludwików, dostatecznie jest zrozumiałem. Wszystkie te drobiazgi noszą wybitne znamiona twórczości Diderota, znane już czytelnikom i wielbicielom *Kubusia fatalisty*: jego żywość umysłu, tak pobudzającą do myślenia, tak ciekawie a niespodzianie oświeclającą każdą kwestyę z rozmaitych stron; jego zamiłowanie do paradoksu nie cofającego się przed najostatniejszymi konsekwencyami; jego zdolność czucia, która miejscami przechodzi w znamienne dla swej epoki a rażącą nas nieco dzisiaj czułość; wreszcie ową — również swoistą dla XVIII w. — pieprzną zaprawę, która nieraz w osobliwy sposób mięsza się z najbardziej filozoficznymi tematami.

Mam nadzieję, iż jeszcze będę miał sposobność powrócić do twórczości Diderota i oświecić ją bardziej wszechstronnie i wyczerpująco; tych kilka słów

IV

wystarczy może dla „wprowadzenia w świat“ niniejszego tomiku drobnych pism, strzepniętych z pióra twórcy *Encyklopedyi*, gwoli własnej jego rozrywki i wytchnienia.

Boy.

Kraków, w lipcu 1920.



TO NIE BAJKA...

(PISANE OKOŁO 1772 — OGŁOSZONE DRUKIEM W 1798)



TO NIE BAJKA...

Skoro się opowiada, opowiada się komuś; i, jeżeli opowiadanie trwa bodaj trochę dłużej, rzadkiem jest, aby słuchacz, od czasu do czasu, nie przerwał opowiadającemu. Oto dlaczego wprowadziłem w niniejszą relację, która nie jest powiastką, albo która jest lichą powiastką, osobistość, odgrywającą w przybliżeniu rolę czytelnika.

A wniosek z tego?

— Iż przedmiot równie zajmujący powinien był rozpaść wszystkie głowy; napełnić, przynajmniej przez miesiąc, gwarem wszystkie towarzystwa, aż do znużenia, aż do przesytu; dostarczyć tematu tysiącnym dysputom, conajmniej dwudziestu broszurom i kilkuset utworom poetyckim za lub przeciw; i że, mimo całego talentu, wiedzy i dowcipu autora, skoro jego dzieło nie obudziło żywszego poruszenia, jest mierne, i to bardzo mierne.

— Zdaje mi się wszelako, iż zawdzięczamy mu dość przyjemny wieczór, i że lektura ta wywołała...

— Co?... litanię oklepanych historyjek, któremi się raczono z jednej i z drugiej strony, i które wyrażały jedynie rzecz wiadomą od wieków, mianowicie iż mężczyzna i kobieta są to dwie nader złośliwe bestye.

— Mimoto, zaraza ogarnęła i ciebie, i dorzuciłeś swój grosik jak inni.

— Bo też, z wolą czy bez woli, człowiek dostraja się do panującego tonu. Wchodząc w towarzystwo, układamy zazwyczaj, na progu salonu, zgoła fizyognomię naszą wedle tych które widzimy; udajemy wesołość kiedy jesteśmy smutni; smutek, kiedy mielibyśmy ochotę do śmiechu. Nikt nie chce okazać się niczemu obcym: literat politykuje; polityk metafizykuje; metafizyk moralizuje; moralista mówi o finansach; finansista o literaturze lub geometryi; każdy, raczej niż miałby słuchać albo milczeć, paple o tem o czem nie ma pojęcia, i wszyscy nudzą się przez głupią próżność lub przez grzeczność.

— Cierpki jesteś.

— Jak zwykle.

— Toteż, sądzę iż lepiej uczynię, chowając moją opowiastkę na sposobniejszą chwilę.

— To znaczy, zaczekasz aż mnie nie będzie.

— Nie to.

— Lub też, obawiasz się, iż mniej będę miał pobłażliwości dla ciebie sam na sam, niżbym jej miał dla kogoś obojętnego, w towarzystwie.

— Nie to.

— Bądź-że więc tak uprzejmy i powiedz mi co właściwie.

— To, iż moja powiastka nie więcej dowodzi niż te, które cię znudziły.

— Cóż robić! gadaj i tak.

— Nie, nie; masz już dosyć.

— Czy wiesz, że, ze wszystkich sposobików, które mają dar doprowadzać mnie do wściekłości, twój jest mi najbardziej antypatyczny?

— Jakiżto jest ten mój?

— Dać się prosić o rzecz, do której się palisz. Więc dobrze, mój przyjacielu, proszę cię, błagam, abys sobie zrobił tę przyjemność.

— Sobie przyjemność!

— Zaczynaj, na miły Bóg, zaczynaj.

— Postaram się być zwięzłym.

— To nie zaszkodzi.

Tutaj, nieco przez złośliwość, krząknąłem, splunąłem, rozwinąłem wolno chustkę, wysiąkałem nos, otworzyłem tabakierkę, zażyłem niuch tabaki; wśród tego, słyszałem, jak nieborak mrucał między zębami: „Jeśli powiastka jest krótka, przygotowania są długie...“ Miałem ochotę wołać jeszcze na służącego, pod pozorem jakiegoś zlecenia, ale poniechałem tego i rzekłem:

„Trzeba przyznać, że bywają mężczyźni bardzo zaci i kobiety bardzo niegodziwe!

— Ba! widuje się to codziennie, niekiedy zgoła nie wychodząc z domu. Cóż dalej?

— Dalej, znałem pewną Alzatkę, piękną, ale to tak piękną, iż starzy i młodzi stawali w osłupieniu na jej widok.

— I ja ją znałem; nazywała się pani Reymer.

— Wistocie. Pewien człowiek, świeżo przybyły z Nancy, nazwiskiem Tanié, zakochał się w niej śmiertelnie. Był biedny: był to jeden z tych straceńców, których nieczułość rodziców, obarczonych zbyt licznym potomstwem, wypędza z domu, i którzy rzucają się w świat, nie wiedząc co się z nimi stanie; instynkt jakiś powiada im, że nie zdarzy się im los gorszy, niż ten, przed którym uchodzą. Tanié, zakochany w pani Reymer, rozgorzały namiętnością która podtrzymywała jego wytrwałość i uszlachetniała w jego oczach wszystkie uczynki, poddawał się bez odrazy najbardziej uciążliwym i szpetnym zatrudnieniom, aby ulżyć nędzy swej ukochanej. W dzień, chodził pracować w porcie; ze schyłkiem dnia, żebrał po ulicach.

— To było bardzo pięknie, ale to nie mogło trwać.

— Toteż, Tanié, zmęczony borykaniem z nędzą, lub raczej tem, iż więzi w niedostatku uroczą kobietę, obleganą przez bogaczy, którzy naglili ją, aby oddaliła tego nędzarza...

— Co też byłaby uczyniła w dwa tygodnie lub miesiąc później.

— ...I przyjęła ich dostatki, postanowił ją opuścić i pokusić się o zdobycie fortuny za morzem. Rozwija starania, uzyskuje pozwolenie przeprawy na okręcie królewskim. Nadchodzi chwila odjazdu. Idzie pożegnać się z panią Reymer. — Ukochana moja, powiada, niepodobna mi nadużywać dłużej twego przywiązania. Powziąłem postanowienie, odjeżdżam. —

Odjeżdżasz! — Tak... I dokąd?... Na wyspy. Godna jesteś innego losu, i nie mam serca zagrażać ci go dłużej...

— Poczciwy Tanié!...

„— A co się ze mną stanie?...

— Obłudnica!

„— Jesteś otoczona ludźmi, którzy zabiegają się o twoje łaski. Zwracam ci obietnice, zwracam ci twoje zakłęcia. Przyjmij tego z [zalotników, który ci jest najmiłszy, wysłuchaj go, ja proszę cię o to... — Ach, Tanié, ty mi radzisz...

— Oszczędzam ci pantominy pani Reymer. Widzę ją, znam ją...

— Odjeżdżając, wymagam od ciebie jednej tylko łaski, mianowicie, abyś nie przyjmowała żadnych zobowiązań, któreby nas rozdzielały na zawsze. Przysiąż mi to, mój aniele piękności. W jakiejkolwiek okolicy ziemi się znajdę, trzebaby wielkiego nieszczęścia, aby upłynął rok, w którym nie otrzymałabyś niezłomnych dowodów mego tkliwego przywiązania. Nie płacz...“

— One wszystkie płaczą kiedy chcą...

...I nie powstrzymuj mnie od zamiaru, którym natchnęły mnie wreszcie wyrzuty mego serca, i do którego niechybnie sprowadziłyby mnie znowu. I oto Tanié odjechał na San-Domingo.

— I odjechał w samą porę dla pani Reymer i dla siebie.

— Skądże to wiesz?

— Wiem tak pewnie, jak tylko można wiedzieć, że, kiedy Tanié radził jej uczynić wybór, rzecz już się stała.

— Ba!

— Opowiadaj dalej.

— Tanié był to człowiek bystry i z wielkim talentem do interesów. Niebawem, dał się poznać. Powołano go do naczelnej Rady Przyładka. Odznaczył się tam rozumem i sprawiedliwością. Nie żywił ambicji zdobycia wielkiej fortuny; pragnął ją tylko zdobyć uczciwie i szybko. Co roku, przysyłał częśćkę swoich zysków pani Reymer. Wrócił, po upływie... dziewięciu czy dziesięciu lat (nie, nie, zdaje mi się, iżby jego nieobecność trwała dłużej...) aby złożyć u stóp kochanki małą szkatułkę, zawierającą owoc jego cnót i pracy... Szczęściem dla Tanié'go, zdarzyło się to w chwili, w której rozstała się właśnie z ostatnim z jego następców.

— Ostatnim?

— Tak.

— Było ich zatem więcej?

— Niewątpliwie.

— Mów dalej.

— Ale, być może, nie powiem ci nic, czegobys nie wiedział lepiej odemnie.

— Cóż to szkodzi? mów i tak.

— Pani Reymer i Tanié zajmowali dość wykwintne mieszkanie przy ulicy św. Małgorzaty, nawprost moich drzwi. Ceniłem wysoko Tanié'go i bywałem w jego domu, gdzie panowało, jeżeli nie bogactwo, to w każdym razie dostatek.

— Mogę cię upewnić, mimo iż nie robiłem rachunków z Reymerką, że miała więcej niż piętnaście tysięcy funtów renty już przed powrotem Tanié'go.

— Przed którym ukrywała swój majątek ?

— Tak.

— I dlaczego ?

— Dlatego, iż była skąpa i chciwa.

— Niechże będzie chciwa ; ale skąpa ! Kurtyzana skąpa !

— Upłynęło już pięć czy sześć lat, przez które kochankowie żyli w najlepszym porozumieniu.

— Dzięki nadzwyczajnemu sprytowi z jednej strony, a bezgranicznej ufności z drugiej.

— Och ! to prawda, iż najłżejszy cień podejrzenia nie mógł zagościć w duszy tak czystej, jak Tanié'go. Jedyna rzecz, jaką zauważyłem niekiedy, to iż pani Reymer rychło zatarła w pamięci swój dawny niedostatek ; dręczyła ją namiętność zbytku i bogactwa ; czuła się upokorzona, iż tak piękna kobieta musi chodzić piechotą.

— Czemuż nie jeździła powozem ?

— I że blask, strojący występki, przesłaniał jej jego nikczemność. Śmiejesz się?... Wówczas to, p. de Maurepas, powziął myśl stworzenia domu handlowego na dalekiej Północy. Pomyślność tego przedsięwzięcia zależała od pozyskania czynnego i zdolnego człowieka. Minister obrócił oczy na Tanié'go, któremu, w czasie jego pobytu na Przyładku, powierzył był prowadzenie wielu ważnych spraw, i który wywiązał się z nich zawsze ku powszechnemu zadowoleniu. Wyróżnienie to przywiodło Tanié'go do rozpaczki. Był tak zadowolony, tak szczęśliwy przy boku pięknej przyjaciółki ! Kochał, posiadał, lub mniemał że posiada wzajemność...

— Dobrze powiedziane.

— Cóż mogło złoto dorzucić do jego szczęścia?
Nic. Jednakże, minister nalegał. Trzeba było się namyślić, trzeba było zwierzyć się pani Reymer. Zaszedłem tam właśnie pod koniec tej bolesnej sceny. Biedny Tanié zalewał się łzami. — Co tobie, przyjacielu?, rzekłem. Odparł, szlochając: — Ta kobieta!... Pani Reymer haftowała spokojnie na krosienkach. Tanié zerwał się nagle i wyszedł. Zostałem sam z jego przyjaciółką, która nie tała przedemną tego, co nazywała nierozsądkiem Tanié'go. Przesadziła przedemną szczupłość jego mienia; włożyła w swoje wywody całą sztukę z jaką bystry dowcip umie przystrajać sofistymy ambicyi. — O cóż chodzi? O rozłączenie najwyżej dwu- lub trzechletnie. — To bardzo długo dla człowieka, którego pani kocha i który panią kocha jak samego siebie. — On mnie kocha? Gdyby mnie kochał, czyż wahałby się uczynić mi zadość? — Ależ, pani, dlaczego pani nie chce mu towarzyszyć? — Ja! ani mi w głowie; i, mimo całego szaleństwa, nie przyszło mu na myśl proponować mi tego. Czy wątpi o mnie? — Nie sędzę. — Skoro czekałam na niego przez dwanaście lat, może przecież, na dwa lub trzy lata, zaufać mojej wierze. Jest to jedna z owych wyjątkowych sposobności, które zdarzają się w życiu tylko raz jeden; nie chcę, aby, któregoś dnia, miał żałować i wyrzucać mi może, iż przezemnie ją chybił. — Tanié nie będzie żałował niczego, dopóki będzie miał szczęście posiadania pani wzajemności. — To bardzo pięknie; ale może pan być pewny, iż będzie mu nader miło posiadać majątek wówczas, gdy ja

się zestarzeję. Wadą kobiet jest, iż nigdy nie myślą o przyszłości; co do mnie, nie mam tej wady...

Minister był w Paryżu. Z ulicy św. Małgorzaty do jego pałacu było tylko parę kroków. Tanié udał się tam, i przyjął zobowiązanie. Wrócił z okiem suchem, ale z sercem ściśnionem. — Pani, rzekł, byłem u pana de Maurepas; ma moje słowo. Pojadę; pojedę, stanie się pani zadość. — Ach, mój jedyny!... Pani Reymer odsuwa krosienka, rzuca się ku Tanié'mu, zaplata ramiona koło jego szyi, zasypuje go pieśczołtami i czułemi słowy. — Och! teraz wreszcie widzę, że ci jestem drogą. Tanié odparł chłodno: — Chcesz być bogatą...

— Była nią już hultajka, dziesięć razy więcej niż zasługiwała!...

— I będziesz nią. Skoro kochasz złoto, trzebaż iść zdobywać ci złoto!“ Było to we wtorek, minister zaś oznaczył wyjazd Tanié'go na piątek, nieodwołalnie. Zeszedłem się z nim pożegnać w chwili, gdy walczył sam ze sobą, gdy silił się wyrzeć z ramion pięknej, niegodnej i okrutnej kochanki. Trudno opisać tę rozpacz, obłąd, agonię; nigdy nie widziałem czegoś podobnego... To nie były skargi, to był jeden długi krzyk. Pani Reymer spoczywała jeszcze w łóżku; Tanié trzymał ją za rękę, powtarzając bez przerwy: — Okrutna kobieto! Kobieto okrutna! czegoż ci trzeba więcej, w dostatku jakiego zażywasz, obok przyjaciela, kochanka takiego jak ja! Biegłem jej zdobywać fortunę w palących pustyniach Ameryki; żąda, abym znów szukał dla niej skarbów pośród lodów Północy.

Mój przyjacielu, czuję, że ta kobieta jest szalona, czuję że sam jestem bezrozumny, ale mniej mi jest strasznie umrzeć, niż zasmucić ją. Chcesz, abym cię opuścił, opuszczę cię. — Kłęczał u stóp jej łóżka, z ustami przyklejonemi do jej ręki i twarzą ukrytą w kołdrach, które, dławiąc jego lament, czyniły go tembardziej żalonym i przejmującym.

Drzwi od pokoju otwały się; Tanié podniósł nagle głowę; ujrzał pocztyliona, który przyszedł oznajmić, że pojazd zaprzężony. Wydał krzyk, i znowuż utopił twarz w kołdrach. Po chwili milczenia, wstał; rzekł do swej ukochanej: — Uściskaj mnie, pani; uściskaj jeszcze raz... nie ujrysz mnie już bowiem. Przeczucie jego było aż nazbyt prawdziwe. Pojechał. Przybył do Petersburga, i, w trzy dni później, uległ febrze, z której czwartego dnia umarł.

— Wiedziałem to wszystko.

— Byłeś może jednym z następców Tanié'go?

— Zgadłeś, i ta piękna zbrodniarka przywiodła mnie na krawędź ruiny.

— Biedny Tanié!

— Znajdą się ludzie, którzy powiedzą, że to był głupiec.

— Nie będę go bronił, ale życzę im, w głębi serca, aby zły los, oddał ich w ręce kobiety równie pięknej i równie przewrotnej, jak pani Reymer.

— Okrutny jesteś w zemście.

— Ostatecznie, jeżeli zdarzają się kobiety bardzo niegodziwe, a mężczyźni bardzo dobrzy, bywają również kobiety bardzo dobre a mężczyźni niegodziwi, i to, co

opowie, równie nie jest bajką, jak to co mówiłem poprzednio. *)

— Jestem o tem przekonany.

— Pan d' Hérouville...

— Ten, który żyje jeszcze? generał-porucznik armii królewskiej? ów, który zaślubił przemiłe stworzenie, zwane Lolotą?

— On sam.

— To człowiek pełen uroku, szczerzy przyjaciel nauk.

— I uczonych. Otóż, pan d' Hérouville zajmował się długo ogólną historią wojen we wszystkich wiekach u wszystkich narodów.

— Projekt bardzo szeroki.

— Aby go spełnić, skupił koło siebie kilku młodych ludzi wybitnego talentu, jak np. pana de Montucla, autora *Historji nauk matematycznych*.

— Bagatela! czy dużo miał pracowników tej miary?

— Ten który zwał się Gardeil, bohater przygody jaką mam zamiar opowiedzieć, zgoła nie gorszy był w swoim zakresie. Wspólny zapał do nauki języka greckiego zbliżył mnie z Gardeil'em; czas, wy-

*) Opowiadanie, które następuje, jest ściśle przedstawieniem rzeczywistych faktów. Gardeil, tłumacz dzieł lekarskich Hipokratesa, umarł w 1808, licząc 82 lat; doktor Camus urodził się w Paryżu w 1722, umarł w 1772. Sam Diderot był owym świadkiem i powiernikiem miłości i poświęcenia panny de La Chau, oraz niewdzięczności Gardeil'a. Zachowanie prawdziwych nazwisk tłumaczy się tem, iż opowiadania Diderota, nie wyłączając większych utworów jak *Kubuś Fatalista*, *Bratanek mistrza Rameau*, krążyły tylko rękopiśmiennie.

miana usług, skłonność do ustronnego życia, a zwłaszcza sposobność częstego widywania się, zadzierzgnęły między nami dość wielką zażyłość.

— Mieszkałeś wówczas w Estrapade.

— On przy ulicy św. Jacka, przyjaciółka zaś jego, panna de la Chaux, na placu św. Michała. Wymieniam ją z prawdziwego nazwiska, ponieważ biedna nieszczęśliwa istota już nie żyje i ponieważ historia ta może jej przynieść tylko zaszczyt w oczach wszystkich ludzi szlachetnie myślących, i zjednać podziw, żale i łzy tych, których natura wyróżniła lub pokarała małą cząsteczką tej samej tkliwości jaką miała jej dusza.

— Co to?... głos ci się łamie... ty płaczesz?

— Zdaje mi się jeszcze, że widzę jej wielkie czarne oczy, lśniące i słodkie, i że dźwięk jej wzruszającego głosu rozlega się w moich uszach i porusza mi serce... Uroczą, jedyną istotą, niema cię już, już blisko dwadzieścia lat jak cię niema, a serce moje jeszcze się ściska na twoje wspomnienie.

— Kochałeś ją?

— Nie. O La Chaux! o Gardeil! byliście oboje istnym cudem: ty, tkliwości kobiecej; ty, męskiej niewdzięczności.

Panna de La Chaux pochodziła z zacnej rodziny. Opuściła dom, aby się rzucić w ramiona Gardeil'a. Gardeil nie miał nic, panna de La Chaux posiadała jakiś mająteczek; mienie to pochłonęły w całości potrzeby i zachcenia Gardeil'a. Nie żałowała ani strwo-nionej fortuny, ani splamionego honoru: kochanek zastępował jej wszystko.

— Ten Gardeil był tedy bardzo miły, bardzo powabny?

— Bynajmniej. Mały człowieczek, opryskliwy, milczący i kostyczny; twarz sucha, cera smagła; cała postać wątpa i drobna; brzydki, o ile może być brzydką fizygnomia, tryskająca inteligencją.

— I oto co zawróciło głowę czarującej dziewczynie?

— To cię dziwi?

— Zawsze.

— Ciebie?

— Mnie.

— Zatem nie przypominasz już sobie swojej przygody z panną Deschamps i głębokiej rozpaczki w jaką popadłeś, skoro ta kreatura zamknęła ci drzwi?

— Dajmy temu pokój; opowiadaj dalej.

— Mówiłem ci: Zatem jest taka piękna? Odpowiadałeś smutno: Nie. — Więc taka rozumna, dowcipna? — Zupełnie głupia. — Zatem, urzekły cię jej talenty?... — Ma tylko jeden. — A ów rzadki, wzniosły, cudowny talent...? — Jest ten, iż daje mi w swoich ramionach więcej szczęścia, niż go kiedykolwiek zaznałem w objęciach innej kobiety. — Otóż, panna de La Chaux, szlachetna, tkliwa panna de La Chaux, wróżyła sobie potajemnie, instynktownie, bezwiednie, owo szczęście które znasz, i które kazało ci mówić z przyczyny tej Deschamps: — Jeżeli ta niegodziwa, bezecna będzie się upierać aby mnie pędzić precz od siebie, biorę pistolet i palnę sobie w łeb w jej przedpokoju. Mówiłeś tak, czy nie?



— Mówilem; i, nawet dzisiaj, nie wiem czemu tego nie uczynił.

— Przyznaj zatem...

— Przyznaję wszystko co zechcesz.

— Mój przyjacielu, najrozsądniejszy z nas może mówić o szczęściu, iż nie spotkał kobiety, pięknej lub szpetnej, sprytnej lub głupiej, któraby go doprowadziła do domu obłąkanych. Litujmy się nad ludźmi, bądźmy oszczędni w potępianiu; spoglądajmy na ubiegłe, lata, jako na czas umknięty niebezpieczeństwu które na nas czyha, i nie myślmj nigdy inaczej jak ze drżeniem o gwałtowności pewnych powabów natury, zwłaszcza dla gorących dusz i płomiennych wyobraźni. Iskra która padnie przypadkiem na barylkę z prochem, nie wywołuje straszliwszego działania! Palec, gotowy strząsnąć na ciebie lub na mnie tę niebezpieczną iskrę, podnosi się może...

Pan d' Hérouville, żądny rychłego uwieńczenia swego dzieła, przywalał robotą współpracowników. Zdrowie Gardeil'a zaczęło podupadać. Aby ulżyć jego zadaniu, panna de La Chaux nauczyła się po hebrajsku, i, podczas gdy jej przyjaciel spoczywał, spędzała część nocy na wykładaniu i przepisywaniu urywków hebrajskich pisarzy. Przyszedł czas wyluskiwania autorów greckich; panna de La Chaux pospieszyła wydoskonalić się w tym języku, o którym już miała niejakić pojęcie, i, podczas gdy Gardeil spał, mozoliła się nad tłómaczeniem i kopiowaniem ustępów z Xenofonta i Tucydedydesa. Znajomość greki i hebrajszczyzny pomnożyła niebawem o język włoski i angielski. Posiadła angielski w tym stopniu, iż mogła przełożyć na

francuzkie pierwsze *Zarysy metafizyki* Hume'a, dzieło, w którym zawilość przedmiotu pomnaża jeszcze znacznie trudności języka. Skoro praca naukowa wyczerpała jej siły, bawiła się sztychowaniem nut. Kiedy lękała się, aby nuda nie owładnęła jej kochanka, śpiewała. Nie przesadzam nic, świadczę się panem de Camus, doktorem medycyny, który pocieszał ją w strapieniach i wspomagał w niedostatku; otaczał ją nieprzerwanymi staraniami, odwiedzał na poddaszu gdzie zapędziła ją nęcza, i zamknął jej powieki, skoro zgasła. Ale przepominam jedno z jej pierwszych nieszczęść: mianowicie prześladowanie, jakie musiała cierpieć ze strony rodziny, oburzonej tym publicznym i gorszącym związkiem. Posłużono się i prawdą i kłamstwem, aby, w hańbiący sposób, ograniczyć jej swobodę. Rodzina i księża ścigali ją z dzielnicy w dzielnicę, od domu do domu, i zmusili, na kilka lat, do życia samotnego i w ukryciu. Spędzała dnie na tem, iż pracowała za Gardeil'a. Odwiedzaliśmy ją w nocy, i, w obecności kochanka, cała jej zgryzota, cały niepokój, pierzchały.

— Jakto! młoda, nieśmiała, tkliwa pośród tylu przeciwności!

— Czowała się szczęśliwa.

— Szczęśliwa!

— Tak; przestała nią być dopiero z chwilą, gdy Gardeil okazał się niewdzięcznym.

— Ależ to niepodobna, aby niewdzięczność stała się nagrodą tylu rzadkich przymiotów, tylu objawów czułości, poświęceń wszelkiego rodzaju.

— Mylisz się, Gardeil okazał się niewdzięcznym.

Jednego dnia, panna de La Chaux znalazła się sama na świecie, bez czci, bez majątku, bez oparcia. Nieprawdę mówię: ja zostałem jej przez jakiś czas. Doktor le Camus został jej do końca.

— O mężczyźni, mężczyźni!

— O kim mówisz?

— O Gardeil'u.

— Patrzysz na niegodziwca, a nie widzisz tuż obok zacnego człowieka. W ów dzień bólu i rozpacz, przybiegła do mnie. Było to rano. Błada była jak śmierć. Dowiedziała się o swoim losie dopiero w wilię, a już przedstawiała obraz długiego cierpienia. Nie płakała, ale widać było że wylała wiele łez. Rzuciła się na fotel; nie mówiła nic, nie mogła mówić; wyciągnęła ku mnie ramiona, a równocześnie wydawała krzyki. — Co się stało? rzekłem. Czyżby umarł?... — Gorzej: nie kocha mnie już, porzuca mnie...

— Dajże pokój.

— Nie mogę; widzę ją, słyszę, i oczy moje napęniają się łzami. — Nie kocha już pani?... Nie. — Porzuca panią? — Tak. Po wszystkim co uczyniłam!... Panie, w głowie mi się miesza; miej litość nademną, nie opuszczaj mnie... na Boga, nie opuszczaj mnie!... Wymawiając te słowa, chwyciła mnie za ramię i ścisnęła je silnie, jakgdyby obok niej znajdował się ktoś, kto groził że ją wyrwie i uprowadzi. — Niech się pani niczego nie lęka. — Lękam się tylko siebie. — Co mogę uczynić dla pani? — Przedewszystkiem, ratować mnie przedemną samą... Nie kocha mnie już! męczę go! nużę! nudzę! nienawidzi mnie! opuszcza

mnie! porzuca! porzuca! Po tem słowie, kilkakrotnie powtórzonem, nastąpiło głębokie milczenie, po milczeniu zaś konwulsyjne wybuchy śmiechu, tysiąc razy bardziej przerażające niż akcenty rozpacz i rżenie agonii. Potem, nastąpiły płacze, krzyki, niezrozumiałe słowa, spojrzenia obrócone ku niebu, drżenie warg, potok boleści, który trzeba było zostawić jego biegowi, co też uczyniłem; zacząłem przemawiać do rozsądku dopiero wówczas, kiedy ujrzałem jej duszę w stanie złamania i otepienia. Wówczas, podjąłem: Nienawidzi pani, opuszcza panią! I któż to pani powiedział? — On. — Pani droga, trochę nadziei, odwagi. Toż nie jest potworem... — Nie zna go pan; poznasz go. To potwór jakiego niema, jakiego nigdy nie było na świecie. — Niepodobna mi uwierzyć. — Zobaczy pan. — Czy kocha kogo innego? — Nie. — Czy nie dała mu pani jakiej przyczyny do podejrzeń, do niezadowolenia? — Żadnego, żadnego. — Cóż zatem jest przyczyną?... — Moja bezużyteczność. Nie mam już nic, nie jestem mu już zdatna na nic. Jego ambicya; zawsze był ambitny. Upadek mego zdrowia, wdzięków: tyle się wycierpiałam, tyle natrudziłam! nuda, przesyt... — Ludzie przestają się kochać, ale zostają przyjaciółmi. — Stałam się dla niego przedmiotem nie do zniesienia; obecność moja mu ciąży; widok mój drażni go i rani. Gdyby pan wiedział, com od niego usłyszała! Tak, powiedział mi, że, gdyby był skazany na to, aby spędzić ze mną dwadzieścia cztery godzin, wyskoczyłby oknem. — Ale ten wstręt nie może być dziełem chwili! — Cóż ja wiem? On jest z natury tak wzgardliwy, tak obojętny,

tak zimny! tak trudno jest wyczytać coś w głębi duszy tego pokroju! tak człowiek wzdraga się wyczytać wyrok śmierci! Oznajmił mi go, i z jakim okrucieństwem!... — Nic nie pojmuję, doprawdy. — Mam pana prosić o jedną łaskę i dlatego tu przybyłam: czy mi pan jej użyczy? — Bezwarunkowo. — Słuchaj więc. On pana szanuje; pan wiesz wszystko co mi jest winien. Być może, wstyd mu będzie pokazać się przed panem takim jakim jest. Nie, nie sądzę aby miał siłę ni czoło potemu. Jestem tylko kobietą, pan jesteś mężczyzną. Mężczyzna z sercem, zacny i sprawiedliwy, nakazuje szacunek; będzie się z panem liczył. Niech mi pan poda ramię i nie wzdraga się towarzyszyć mi do niego. Chcę pomówić z nim wobec pana. Kto wie, jaki wpływ może nań wyrzeć moja boleść i pańska obecność. Pójdzie pan ze mną? — Bardzo chętnie. — Chodźmy...

— Lękam się mocno, iż pani boleść i moja obecność nie wiele wskórają. Przesyt! to straszna rzecz w miłości przesyt, i to kobietą!...

Posłałem po lektykę, nie była bowiem zdolna iść. Przybywamy do Gardeil'a, do tego wielkiego nowego domu, jedyne jaki się znajduje po prawej ręce przy ulicy św. Jacka, wchodząc od placu św. Michała. Lektyka zatrzymuje się, ludzie otwierają. Czekam, panna de La Chaux nie wysiada. Zbliżam się i widzę kobietę opanowaną drżączką na całym ciele; zęby jej dzwonią niby w napadzie febry, kolana uderzają jedno o drugie. — Chwilkę, panie, przepraszam, nie jestem w stanie... Poco ja tam pójde? Niepotrzebnie oderwałam pana od zajęć; przykro mi bardzo, przepraszam...

Podałem jej ramię; ujęła je, spróbowała się podnieść, nie mogła. — Jeszcze chwila, panie, rzekła; przykrość panu robię, bolejesz nad moim stanem... Wreszcie, opanowała się nieco i, wysiadając z lektyki, dodała pocichu: — Trzeba wejść, trzeba go zobaczyć. Cóż można wiedzieć? umrę tam może...

Przebyliśmy dziedziniec; jesteśmy u progu pomieszkania; jesteśmy w gabinecie Gardeil'a. Siedział przy biurku, w robdeszanie, w czapeczce nocnej. Pozdrowił mnie ręką, nie przerywając pracy którą był zajęty. Wreszcie podszedł do mnie i rzekł: — Przyznaj pan, że kobiety są bardzo uciążliwe. Tysiąc-krotnie przepraszam za szaleństwa tej damy. Następnie, zwracając się do biednej istoty, bardziej umarłej niż żywej: — Pani, rzekł, czego sobie jeszcze pani życzy odemnie? Zdaje mi się, że, po jasnym i stanowczym sposobie w jaki rzecz postawiłem, wszystko powinno być między nami skończone. Powiedziałem, że już pani nie kocham; powiedziałem to w cztery oczy; zamiarem pani widocznie jest abym to powtórzył przy świadku; a zatem, dobrze, nie kocham już pani. Miłość jest w mojem sercu uczuciem wygasłem dla pani, i, dodam, jeżeli to może panią pocieszyć, dla wszelkiej innej kobiety. — Ale powiedz mi, dlaczego mnie już nie kochasz? — Nie wiem; wiem tyle, iż zacząłem kochać nie wiedząc dlaczego, że przestałem nie wiedząc dlaczego, i że niepodobieństwem jest aby to uczucie wróciło. To jakby urzeczenie które rzuciłem z siebie i z którego, sądzę, i winszuję sobie, doskonale jestem wyleczony. — Jakie są moje winy? — Żadne. — Czy ma pan potajemnie co do zarzucenia

memu postępowaniu? — Nic a nic; była pani kobietą najbardziej wierną, uczciwą, czułą, jakiej tylko mężczyzna może pragnąć. — Czy ominęłam jaką rzecz, którą było w mojej mocy uczynić? — Nie. — Czy nie poświęciłam dla pana rodziny? — W istocie. — Majątku? — Jest mi to niezmiernie przykro. — Zdrowia? — Możliwe. — Honoru, reputacyi, spokoju? — Co tylko pani każe. — I jestem ci wstrętna? — To przykre do wymówienia, przykre do usłyszenia, ale, skoro tak jest, trzebaż to powiedzieć. — Jestem mu wstrętna!... Czuję to i doświadczam tylko wzgardy dla samej siebie... Wstrętna!... ach! Boże!...

Po tych słowach, śmiertelna bladeść rozlała się po jej twarzy, wargi zbielewały, krople zimnego potu, który wystąpił na policzki zmieszały się ze łzami ciekącymi z pod powiek; oczy miała zamknięte, głowa opadła na grzbiet fotelu, zęby się ścięły, wszystkie członki wyprężyły w kurczowem drganiu. Po tym dreszczu nastąpiło omdlenie, które zdało mi się ziszczeniem nadziei jakie powzięła u bramy domu. Trwałość tego stanu dopełniła miary mego przerażenia. Zdjąłem jej płaszczyk, rozluźniłem tasiemki u sukni, i bryznąłem kilka kropel świeżej wody na twarz. Oczy otworzyły się do połowy; z gardła wydarł się głuchy jęk; chciała wyrzec: Jestem mu wstrętna; ale zdołała wyjęknać jedynie ostatnie zgłoski; następnie, wydała przeszywający krzyk. Powieki opadły, popadła na nowo w omdlenie. Gardeil, chłodno usadowiony w fotelu, z łokciem wspartym na stole, a głową na dłoni, patrzył na nią bez wzruszenia i zostawiał mi troskę o niesienie pomocy. Rzekłem doń kilkakrotnie:

— Ależ, panie, ona umiera... trzebaby wezwać kogo. Odparł, uśmiechając się i wzruszając ramionami: — Kobiety mają twarde życie; nie umierają dla takiej drobnostki, to nic, to przejdzie. Nie znasz tych istot: wyprawiają ze swoim ciałem co same zechcą... — Ona umiera, powiadam panu. W istocie, ciało jej było jakgdyby bez siły i bez życia; osuwała się z fotelu i byłaby runęła na ziemię, na prawo lub na lewo, gdybym jej nie podtrzymał. Tymczasem, Gardeil podniósł się gwałtownie, i, przechadzając się po pokoju, mówił niecierpliwym i niezadowolonym tonem: — Obszedłbym się chętnie bez tej przykrej sceny, ale mam nadzieję że to będzie ostatnia. Kiego dyabła chce ta kobieta? Kochałem ją; mógłbym tłuc głową o mur, a nicby to nie zmieniło. Nie kocham jej już; wie o tem nareszcie teraz, albo też nie dowie się nigdy. Wszystko skończone... — Nie, panie, nie wszystko skończone. Jakto, sądzisz pan, że uczciwy człowiek ma prawo obedrzeć kobietę ze wszystkiego co posiada, i porzucić ją? — Co pan chce abym uczynił? jestem takim samym nędzarzem jak ona. — Co chce abyś uczynił? abyś skojarzył swoją nędzę z tą do jakiej ją doprowadziłeś. — Łatwo to mówić. Jej by z tem nie było lepiej, a mnie o wiele gorzej. — Czy postąpiłbyś tak z przyjacielem, któryby ci wszystko poświęcił? — Przyjacielem? przyjacielem? nie wierzę zbyt w przyjaciół, a to doświadczenie pouczyło mnie aby nie wierzyć w miłość. Żałuję że nie wiedziałem tego wcześniej. — I czy jest sprawiedliwe, aby ta nieszczęsna była ofiarą omyłki pańskiego serca? — A kto panu ręczy, że, jeden miesiąc, jeden dzień

później, ja nie stałbym się, w równie okrutny sposób, ofiarą omyłki jej serca? — Co mi ręczy? Wszystko co dla pana uczyniła, i stan w jakim ją widzisz. — Wszystko co uczyniła dla mnie!... Och! dalibóg, skwitowałem się z nią stratą mego czasu. — Och! panie Gardeil, cóż za porównanie pańskiego czasu i rzeczy bez ceny jakie ty jej wydarłeś! — Nie zrobiłem nic, nie jestem niczem, mam trzydzieści lat; teraz albo nigdy jest pora myśleć o sobie i osądzić wszystkie te głupstwa tak jak są tego warte...

Tymczasem, biedna dziewczyna przysłała po trochu do siebie. Dąsłyszawszy ostatnich słów, odparła dość żywo: — Co on mówi o stracie swego czasu? Nauczyłam się czterech języków aby mu ulżyć w pracy; przeczytałam tysiąc tomów; pisałam, tłómaczyłam, kopiowałam dniami i nocami; wyczerpałam siły, zjadłam oczy, spaliłam krew; nabawiłam się dotkliwej choroby, z której nie wyleczę się może nigdy. On nie śmie wyznać przyczyny swego wstrętu; ale zaraz ją pan pozna. To mówiąc, zdiera chustkę z ramion, uwalnia jedną rękę z sukni, odsłania ramię i, pokazując mi plamę podobną do róży, powiada: Oto przyczyna jego odmiany, oto; oto następstwo nocy które strawiłam na czuwaniu. Przychodził rano, przynosząc rulony pergaminów: Panu d'Hérouville, powiadał, bardzo pilno dowiedzieć się co tam jest w środku, trzebaby aby ta robota była gotowa na jutro; i była gotowa...

W tej chwili usłyszeliśmy krok człowieka zbliżającego się do drzwi; był to służący, który oznajmił przybycie pana d'Hérouville. Gardeil pobladł. Stara-

łem się skłonić pannę de La Chaux aby poprawiła strój i wyszła. — Nie, rzekła, nie; zostaję. Chcę zdebrać maskę z niegodnego. Poczekam na pana d'Hérouville, pomówię z nim. — I na co zda się to pani? — Na nic, odparła; ma pan słusność. — Jutro żałowałyby pani tego. Niech wszystkie winy zostaną po jego stronie; to zemsta godna pani. — Ale czy godna jego? Czy pan nie widzi, że ten człowiek jest... Chodźmy, panie, chodźmy szybko; nie odpowiadam bowiem za to coby zrobiła, ani coby powiedziała... W mgnieniu oka panna de La Chaux naprawiła nieład stroju, i wypadła jak strzała z gabinetu Gardeil'a. Pospieszyłem za nią i usłyszałem jak brama zamyka się gwałtownie za nami. Później dowiedziałem się, iż Gardeil zabronił odźwiernemu jej wpuszczać.

Odprowadziłem ją do domu; zastałem tam doktora Le Camus, który na nas czekał. Uczucie, jakie powziął dla młodej dziewczyny, mało się różniło od tego, które ona żywiła dla Gardeil'a. Opowiedziałem mu nasze odwiedziny; i, poprzez oznaki gniewu, bóleści, oburzenia...

— Nietrudno było wyczytać na jego twarzy, iż ten lichy rezultat nie był mu zanadto przykry.

— To prawda.

— Oto człowiek. Nie umie zdobyć się na więcej.

— Następstwem tego zerwania była gwałtowna choroba, podczas której dobry, zacny, tkliwy i delikatny doktor otoczył pannę de La Chaux staraniami, jakichby nie miał dla największej damy w całej Francji. Przychodził trzy, cztery razy dziennie. Póki było niebezpieczeństwo, sypiał w jej pokoju na składanem

łóżku. To prawdziwe szczęście, choroba która przyjdzie w chwili wielkiej zgryzoty...

— Zbliżając nas do nas samych, oddała wspomnienie innych. A potem, to pozór który pozwala oddać się zmartwieniu bez przymusu i bez zawstyżenia.

— Uwagi tej, trafnej zresztą, nie dałoby się zastosować do panny de La Chaux. Podczas gdy przychodziła do zdrowia, obmyślaliśmy jej zajęcia. Osoba ta posiadała tyle dowcipu, wyobraźni, smaku, wiadomości, iż byłaby godną, doprawdy, zasiadać w Akademii Nauk. Tyle się nasłuchiwała naszych dysput metafizycznych, iż najbardziej oderwane przedmioty stały się jej poufałe; jakoż, pierwszą jej próbą piśmienniczą był przekład *Zarysu ludzkiego pojęcia* Hume'a. Przejrzałem tę pracę, i, w istocie, nie wiele mi została sposobności do poprawek. Przekład ten, wydrukowany w Holandyi, spotkał się u publiczności z dobrem przyjęciem. Mój *List o głuchoniemych* ukazał się niemal w tym samym czasie*). Kilka bardzo subtelnych uwag jakie mi uczyniła pobudziło mnie do skreślenia *Przyczynku**), który jej poświęciłem. Ten *Przyczynek* nie należy do moich najgorszych utworów. Wesołość panny de La Chaux powróciła nieco. Doktor wydawał dla nas niekiedy mały bankiet, i obiady te nie były zbyt smutne. Od czasu rozstania z Gardeil'em, namiętność Le Camus'a uczyniła nadzwyczajne postępy. Jednego dnia, przy stole, pod koniec obiadu,

*) *List o głuchoniemych* Diderota ukazał się z początkiem 1751; w kilka zaś miesięcy później ów *Przyczynek*, poświęcony pannie de La Chaux.

kiedy oświadczał się z tem z całą poczciwością, tkliwością, naiwnością dziecka, całą subtelnością wyższego umysłu, panna de La Chauz odparła mu, ze szczerością która mnie spodobała się niezmiernie, ale która, być może, nie spodoba się innym: — Doktorze, niepodobieństwem jest mieć dla kogoś więcej szacunku niż ja go mam dla pana. Otaczasz mnie dobrocią, i byłabym równie czarna jak ów potwór z ulicy św. Jacka, gdybym nie czuła się przeniknięta najżywszą wdzięcznością. Krój pańskiego umysłu jest mi w najwyższym stopniu sympatyczny. Mówisz mi o swoim uczuciu z taką delikatnością i wdziękiem, iż byłoby mi, jak mniemam, przykro, gdybyś przestał o niem mówić. Sama myśl o tem, iż mogłabym postradać pańskie towarzystwo lub być pozbawioną twej przyjaźni wystarczyłaby aby mnie uczynić nieszczęśliwą. Jesteś najszlachetniejszym człowiekiem jakiego znam; człowiekiem niezrównanej dobroci i słodczy charakteru. Nie sądzę, aby serce mogło dostać się w lepsze ręce. Od rana do wieczora przemawiam do mego serca za tobą; ale daremnie prawić kazania komuś, kto nie ma ochoty się poprawić. Nie posuwa mnie to naprzód. Jednakże, pan cierpi, mnie zaś sprawia to okrutną przykrość. Nie znam nikogo, ktoby był godniejszy szczęścia którego pragniesz, i nie wiem czegobym nie uczyniła aby cię uczynić szczęśliwym. Wszystko możliwe, bez wyjątku. Wiesz, doktorze, posunęłabym się... tak, posunęłabym się aż do oddania... aż do tego, włącznie. Czy chcesz pan, abym ci się oddała? wystarczy ci powiedzieć słowo. Oto wszystko co mogę zrobić dla twoich usług; ale ty chcesz abym cię ko-

chała, a tego nie potrafię. Doktor słuchał, ujmował ją za rękę, całował jej dłoń, zraszał ją łzami; ja zaś nie wiedziałem czy mam się śmiać czy płakać. Panna de La Chaux знаła dobrze doktora, i, nazajutrz, kiedy jej rzekłem: — Ależ, pani, a gdyby doktor wziął panią za słowo? odparła: — Dotrzymałabym; ale to było niemożliwe; ofiara moja nie była tej natury, aby ją mógł przyjąć człowiek taki jak on...

— Dlaczego nie? Zdaje mi się, że, na miejscu doktora, miałbym nadzieję, że reszta przyjdzie później. — Tak; ale, gdybyś pan był na miejscu doktora, panna de La Chaux nie byłaby uczyniła tej samej propozycji.

Przekład Hume'a nie przyniósł jej zbyt wielkich korzyści. Holendrzy drukują ile kto zapragnie, byleby nic nie płacili.

— Na szczęście dla nas, wobec tych zapór bowiem jakie się u nas stawia myśli, gdyby zechcieli jeszcze płacić autorom, ściągnęliby do siebie cały ruch księgarski.

— Poradziliśmy jej, aby napisała utwór lżejszej treści, któryby przyniósł mniej zaszczytu a więcej zysku. Pracowała nad tem przez cztery czy pięć miesięcy, po upływie których przyniosła mi małą powieść historyczną, zatytułowaną *Trzy faworyty*. Utwór zalecał się lekkością stylu, trafną obserwacją i zajmującą fabułą; ale, zupełnie bezwiednie (panna de La Chaux bowiem niezdolna była do złośliwości) powieść zawierała rozmaite rysy dające się ściągnąć do kochanki monarchy, margrabiny de Pompadour. Nie tałem autorce, iż, mimo wielkich poświęceń jakiego uczyniła,

bądź to łagodząc, bądź skreślając całe ustępy, było prawie niemożliwe aby dzieło ukazało się bez niebezpieczeństwa, i że przykreść zepsucia tego co było dobre nie zabezpieczyłaby jej od ujemnych następstw. Uczuła trafność mej uwagi i tem bardziej się zmartwiła. Zacny doktor uprzedzał wszystkie jej potrzeby; ale korzystała z jego dobroczynności z tem większą oględnością, im mniej czuła się usposobiona do tego rodzaju wdzięczności jakiej mógł się od niej spodziewać. Zresztą, doktor nie był wówczas bogaty, a charakter jego nie wróżył aby miał nim kiedy zostać. Od czasu do czasu, wyjmowała rękopis z teczki, i mówiła do mnie smutno: — I cóż, niema zatem sposobu, trzeba aby pleśniał tutaj? — Dałem jej osobliwą radę: mianowicie, aby posłać utwór, tak jak jest, nic nie łagodząc, bez zmiany, samej-że pani de Pompadour, z małym liścikiem któryby wyłożył pobudki tego przesłania. Myśl spodobała się pannie de La Chaux. Napisała list uroczy pod każdym względem, a zwłaszcza przez ton szczerości któremu niepodobna było się oprzeć. Dwa czy trzy miesiące upłynęły bez żadnej wieści; już panna de La Chaux uważała krok swój za daremny, kiedy zjawił się u niej kawaler św. Ludwika z odpowiedzią margrabiny. Faworyta chwaliła dzieło tak jak było tego warte, dziękowała za poświęcenie, przyznawała możliwość aluzyj, nie czuła się niemi obrażona, i zapraszała autorkę, aby ją odwiedziła w Wersalu, gdzie (pisała) zastanie kobietę pełną wdzięczności i gotową do wszystkich usług jakie będą zależeć od niej. Wychodząc od panny de La Chaux, poseł zostawił zrzęcznie na kominku rulon

pięćdziesięciu ludwików. Nagliliśmy ją, obaj wraz z doktorem, aby skorzystała z życzliwości pani de Pompadour; ale mieliśmy do czynienia z osobą, której skromność i nieśmiałość równe były talentom. Jak się tam pokazać w tych łachmanach? Doktor uchylił natychmiast trudność. Po ubraniu, przyszły inne pozory, po nich jeszcze nowe. Podróż do Wersalu odwlekała się z dnia na dzień, aż do pory w której prawie niewłaściwem byłoby ją podjąć. Oddawna już nie wspominaliśmy o tem, kiedy zjawił się tensam wysłannik, z drugim listem, wypełnionym najbardziej pochlebniemi wymówkami i drugą gratyfikacyą równej wysokości co pierwsza i ofiarowaną z równą delikatnością. Ten szlachetny postępek pani de Pompadour nie doszedł nawet do niczyjej wiadomości. Wspomniałem o nim Collinowi, zaufanemu słudze i rozdawcy jej tajemnych łask. Nie wiedział o tym uczynku i chętnie chce wierzyć, iż to nie był jedyny jaki kryje grób faworyty. W ten sposób, panna de La Chaux ominęła dwa razy sposobność wydobycia się z nędzy. Później, przeniosła się aż na kraniec miasta i straciłem ją zupełnie z oczu. Dowiedziałem się tylko o reszcie jej życia, iż było to pasmo samych zgryzot, chorób i nędzy. Rodzina zamykała uparcie drzwi przed nią. Napróżno prosiła o wstawiennictwo tych świętych osób które ją prześladowały z taką gorliwością.

— To w porządku.

— Doktor nie opuścił jej. Umarła na słomie, na poddaszu, podczas gdy mały tygrys z ulicy św. Jacka, jedyny kochanek jakiego miała, wykonywał praktykę

lekarską w Montpellier czy Tuluzie i cieszył się, wraz z największym dostatkim, zasłużoną sławą zdatnego człowieka i przywłaszczoną sławą uczciwego człowieka.

— Ależ i to jest mniej więcej w porządku. Jeżeli zdarzy się dobry i zacny Tanié, Opatrzność zsyła go takiej Reymer; jeżeli zdarzy się dobra i zacna de La Chaux, stanie się łupem takiego Gardeil'a, iżby wszystko było jak najlepiej.

Ale, powie mi ktoś, że zbyt pospiesznie jest wydawać stanowczy wyrok o charakterze człowieka wedle jednego postępku; że tak surowe prawidło uszczupliłoby liczbę zacnych ludzi do tego stopnia, iż zostałyby ich na ziemi mniej niż Ewangelia chrześcijańska przypuszcza wybranych w niebie; że można być niestałym w miłości, niezbyt przestrzegać nawet sumiennosci wobec kobiet, nie będąc, przez to samo, wyzutym z honoru i uczciwości; że nikt nie jest panem ani powstrzymania miłości która się rozpala, ani przedłużenia tej która gaśnie; że dosyć już widzi się, na każdym kroku, ludzi zasługujących na miano łajdaków, aby jeszcze wymyślać urojone zbrodnie, któreby mnożyły ich liczbę w nieskończoność. Zapyta mnie kto, czy nigdy nie zdradziłem, nie oszukałem, nie porzuciłem bez powodu żadnej kobiety. Gdybym chciał odpowiedzieć na te pytania, odpowiedź moja nie zostałaby znowuż bez odpowiedzi, i wszczęłaby się dysputa, trwająca aż do dnia sądu ostatecznego. Ale połóż rękę na sumieniu, i powiedz mi, panie

obrońco niewiernych i zwodzicieli, czy wziąłbyś owego dcktora z Tuluzy za przyjaciela?... Wahasz się. To mi wystarcza; i proszę Boga, aby miał w swojej świętej opiece wszelką kobietę, której przyjdzie ci ochota przedłożyć swoje hołdy.



PRZYCZYNEK DO PODRÓŻY
BOUGAINVILLE'A

(PISANE W R. 1772 — OGŁOSZONE DRUKIEM W R. 1798)





PODRÓŻ DOKOŁA ŚWIATA¹⁾

dokonana przez fregatę królewską *La Boudeuse* i statek *l'Etoile*, w roku 1766, 1777, 1768, 1769,
pod dowództwem p. de BOUGAINVILLE.

Dzieło przypisane jest królowi; poprzedza je ustęp, w którym autor zdaje sprawę ze wszystkich podróży podjętych dokoła świata. P. de Bougainville jest pierwszym Francuzem, który pokusił się o tę trudną i niebezpieczną przeprawę. Młode lata strawił p. de Bougainville na studiach matematycznych, nakładających tryb życia raczej siedzący. Nie łatwo zrozumieć, w jaki sposób, od spokoju i swobody ustronnego i poświęconego medytacji obyczaju, można przejść do chęci podróżowania; chyba, że się będzie uważało statek jako pływający dom, na którym człowiek przebywa olbrzymie przestrzenie, ściśnięty i nieruchomy w bardzo szczupłym zamknięciu, przebie-

¹⁾ P. de Bougainville ogłosił sprawozdanie ze swojej podróży w r. 1771. W tym samym roku skreślił Diderot tę notatkę, aby ją później rozwinąć jako ów *Przyczynek do podróży Bougainville'a*. Oba utwory krążyły tylko rękopiśmiennie, jak większość pism Diderota z ostatniego okresu jego życia.²⁾

gając morze na desce tak jak przestworza wszechświata na ziemi. Druga pozorna sprzeczność pomiędzy usposobieniem p. de Bougainville a jego zamiarem, to jego zamiłowanie do uciech towarzystwa. Lubi kobiety, widowiska, wykwintne biesiady; żyje w wirze wielkiego świata, poddając mu się z równą swobodą co kaprysom żywiołu na którym kołysał się tak długo. Jest miły; wesoły; jest to prawdziwy Francuz, obciążony z jednego brzegu Traktatem o rachunku całkowym i różniczkowym, z drugiego Podróżą dokoła świata. Był dobrze zaopatrzony w wiadomości potrzebne aby wyciągnąć korzyść ze swej długiej wędrówki; posiada filozoficzne spojrzenie, stanowczość, odwagę, szeroki horyzont, szczerość, rzut oka który chwyta prawdę i skraca czas spostrzeżeń; ostrożność, cierpliwość; pragnienie widzenia, pouczenia się i stania się użytecznym; wiedzę matematyczną, mechanikę; wiadomości z nauk przyrodniczych, geometrii i astronomii.

Można sprowadzić korzyść z jego podróży do trzech głównych punktów: lepsza znajomość naszej starej siedziby i jej mieszkańców; większe bezpieczeństwo mórz, które przebiegł z sondą w rękę, i większa poprawność map. Marynarze i geografowie nie mogą tedy ominąć przeczytania jego dzieła. Pisane jest bez przesady, zainteresowanie płynie wyłącznie z samej rzeczy, z prawdy i prostoty. Z rozmaitych cytatów starożytnych autorów widzi się, że Wergili znajdował się w głowie albo w walizce podróżnika.

P. de Bougainville wyrusza z Nanteś, przeryna

Ocean aż do cieśniny Magellana, wpływa na Ocean Spokojny, przewija się między wyspami tworzącymi ów olbrzymi archipelag zawarty między Filipinami a Nową Holandją, ociera się o Madagaskar, przyłądek Dobrej-Nadziei, zamyka koło przez Atlantyck, opływa Afrykę i przybija do lądu w Saint-Malo.

Nie byłbym nigdy uwierzył, że zwierzęta zbliżają się do człowieka bez obawy i że ptaki siadają na nim, wówczas gdy nie znają niebezpieczeństwa tej poufałości; p. de Bougainville nie pozwala mi wątpić o tym fakcie.

Człowiek mógł przedostać się z lądu stałego na wyspę, ale w jaki sposób przedostał się tam pies, jelen, sarna, wilk, lisy?

Wzywam wszystkie morskie potęgi, aby wysyłały do swoich zamorskich posiadłości jedynie dusze uczciwe, ludzi dobroczynnych, obywateli pełnych ludzkości, i zdolnych współczuć z niedolami podróżnika, który, nabłądziwszy się miesiące całe między niebem a ziemią, między życiem a śmiercią, skołatany przez burze, zagrożony po sto razy zagładą przez rozbicie, chorobę, brak chleba lub wody, przybywa, na straszkanym statku, aby się rzucić, wycieńczony znużeniem i nędzą, do stóp potwora ze spiżu: i oto ten odmawia mu naglącej pomocy lub daje niemiłosiernie na nią wyczekiwać! Takie okrucieństwo jest zbrodnią godną surowej kary.

P. de Bougainville prześlizguje się z bardzo zęczną bezstronnością koło wypędzenia Jezuitów z Paragwaju, którego to wydarzenia był świadkiem. Nie mówi o tym fakcie wszystkiego co wie; niemniej

jednak widocznem jest, że ci okrutni Spartanie w czarnych surdutach postępowali ze swymi indyjskimi niewolnikami tak jak z helotami postępowano w Lacedemonie; skazywali ich na wyteżającą i nieustanną pracę; karmili się ich potem; nie zostawiali im żadnych praw własności; trzymali ich w tępcie zabobonu; kazali sobie świadczyć najgłębszą cześć, i kroczyli pośród tych nieszczęśliwych biedaków z podniesionym batem, którym ćwiczyli nie oglądając się na wiek i płeć; że, przez chytryść, usunęli się z pod powagi monarszej i że, o wiek później, wygnaniech byłoby niepodobne lub też stałoby się przyczyną długiej wojny.

P. de Bougainville widział w Ziemi Ognistej owych Patagończyków, którymi kapitan Byron i doktor Maty narobili tyle hałasu; otóż, są to poczciwi udzie, którzy ściskają przybysza wołając *ch a u a*, silni i krzepcy, ale nie przerastający wysokości pięciu stóp i pięciu do sześciu cali, ogromni jedynie swą barczystą postawą, wielkością głowy, oraz grubością członków. W jaki sposób człowiek, mający z natury pociąg do cudowności, miałby widzieć rzeczy tak jak są, skoro trzeba mu jakąś nadzwyczajnością usprawiedliwić trud, jaki sobie zadał aby je oglądać? Z pośród historyków podróźni, jak z pośród literatów erudyci muszą być uważani za najwięcej łatwowiernych i naiwnych ludzi: kłamią, przesadzają, oszukują, to bez złej wiary.

Dzieło p. de Bougainville przedstawia, w wielu miejscach, człowieka dzikiego tak głupim, iż arcydzieła przemysłu ludzkiego nie wzruszają go, tak samo jak

wielkie zjawiska przyrody; zawsze widywał te fenomeny; nie myśli o tem; nie cuduje się im; brakuje mu pewnej ilości elementarnych pojęć, któreby go doprowadziły do prawdziwego szacowania dzieł sztuki. Okrucieństwo charakteru, jakie spotyka się u nich niekiedy, może mieć pierwotne źródło w codziennej obronie przeciw dzikim zwierzętom. W odosobnionych okolicach, gdzie nic nie mąci ich spokoju i bezpieczeństwa, odznaczają się słodyczą i niewinnością. Wszelka wojna rodzi się ze wspólnej pretensyi do jednej i tej samej własności; tygrys ma wspólną pretensyę z człowiekiem do posiadania lasów, i to jest najstarszy, pierwszy ze sporów; człowiek ma wspólną pretensyę z drugim człowiekiem do posiadania pola, którego każdy z nich zajmuje jeden kraniec.

Jeżeli rzucicie okiem na wyspę Lansyerów, nie możecie się wstrzymać, aby nie spytać co mogło tam pomieścić tych ludzi? Jaka łączność wiąże ich z łańcuchem innych istot? w jaki sposób mogą się rozmnażać na wyspie, nie posiadającej więcej jak milę średnicy? P. de Bougainville nie umie tego wyjaśnić. Odpowiedziałbym na ostatnie pytanie, iż mordują się albo zjadają wzajem, lub też jakieś zabobonne prawo powstrzymuje ich mnożność, lub wreszcie giną pod nożem kapłana. Odpowiedziałbym jeszcze, iż, z czasem, pomieszczono niewątpliwie punkt honoru w tem aby się dać zarzynać; wszystkie urządzenia społeczne i narodowe utrwalają się i wyrodnieją z czasem w prawa nadnaturalne i boskie; naodwrot, wszystkie prawa nadnaturalne i boskie umacniają się i uwieczniają, wyrodniejąc w prawa społeczne i narodowe.

Jestto jedna z najbardziej opłakanych dla szczęścia i oświecenia rodzaju ludzkiego palingezyj.

Tajemnica odsalania wody morskiej zapomocą przyrządu Poissonniera jest tedy odkryciem o bardzo istotnej użyteczności. Cieszy mnie to; w ciągu dwudziestu czterech godzin, można uzyskać beczułkę słodkiej wody.

Ach! panie de Bougainville, oddał swój okręt od brzegu tych niewinnych i błogosławionych Taitów; są szczęśliwi i możesz jedynie zaszkodzić ich szczęściu. Idą za zmysłem natury, a ty zatrzasz w nich ten dostojny i święty charakter. Wszystko należy do wszystkich, a ty wniesiesz pomiędzy nich złowrogie rozróżnienie pomiędzy mojem a twojem; żony i córki są im wspólne, a ty rozpalisz między nimi szalę miłości i zazdrości. Są wolni, a oto ty wkładasz do szklanej butelki obłudne tytuły ich przyszłego niewolnictwa. Obejmujesz w posiadanie ich kraj, jakgdyby nie należał do nich; pomyśl, iż jesteś równie niesprawiedliwym, równie szalonym, wypisując na swej mosiężnej tablicy: „Ten kraj jest nasz“, dlatego że na nim postawiłeś stopę, co gdyby Taita wylądował na naszym brzegu i, postawiwszy na nim nogę, wyrzył na której z naszych gór lub na naszym dębie; „Ten kraj należy do mieszkańców Taiti“. Jesteś silniejszy; i cóż to znaczy? Krzyczysz przeciw h o b b i z m o w i społecznemu, a praktykujesz go w stosunku do obcego narodu. Handlujcież z nimi, kupujcie ich płody, zawieźcie im wasze, ale nie zakuwajcie ich w łańcuchy. Ten człowiek, którym rozrządza się jak bydłem lub rośliną, jest dziecięciem natury

jak wy. Jakie prawo macie nad nim? Zostawcie mu jego obyczaje; są uczciwsze i mądrzejsze niż wasze. Nieświadomość jego warta jest więcej niż cała wasza wiedza; na nic mu się nie zda wasza oświata. Nie znał zgoła plugawej choroby, wyście mu ją zanieśli, i niebawem rozkosze jego będą haniebnie zatrute. Nie znał zbrodni ani rozpusty, młode dziewczęta poddawały się pieszczotom młodych ludzi, w obecności rodziców, wśród kręgu niewinnych mieszkańców, przy dźwięku fletni, wśród tańców, a wy chcecie zatruć ich dusze swemi niedorzecznościami i fałszywymi poglądami i obudzić w nich świadomość występku zapomocą urojonych pojęć wstydlivosti. Kryjcie się w ciemnościach ze skażoną towarzyszką. waszych uciech, ale pozwólcie dobrem i prostym Taitom rozmnażać się bez wstydu w obliczu nieba i w biały dzień. Zaledwie zjawiliście się między nimi, stali się złodziejami; zaledwie stąpiliście na ich ziemię, zrozumiała się krew; tego Taitę który przyjął was, wołając: Tayo, przyjaciel, przyjaciel, zabiliście; i dlaczegoście go zabili? Dlatego, że go skusił blask waszych europejskich łachów; dawał wam swoje owoce, dom, żonę, córkę, a wyście go zabili za kawałek szkiełka, który wam ściągnął. Widzę tych Taitów jak chronią się na góry, przejęci grozą i lękiem; gdyby nie ten czcigodny starzec, który was osłania, w jednej chwili wymordowaliby was wszystkich. O, czcigodny ojciec tej licznej rodziny, jak ja cię podziwiam, jak ja cię sławię! Kiedy rzucasz pogardliwe spojrzenia na tych cudzoziemców, nie zdradzając ani dziwu, ani niepokoju, ani obawy, ani ciekawości, twoje milczenie,

twarz twoja pełna troski i zadumy, aż nadto odsłaniają twą myśl: wzdychasz w głębi serca nad zachodem pięknych dni swego kraju. Pociesz się: dochodzisz swoich ostatnich chwil i nie ujrzysz już kłęski którą przeczuwasz!

Przechadzacie się, ty i twoi ludzie, mości de Bougainville, po całej wyspie; wszędzie was podejmują, korzystacie ze wszystkiego i nikt wam nie stawia tamy; żadne drzwi nie są wam zamknięte, ponieważ użytek drzwi jest nieznan; zapraszają was, siadacie; roztaczają pod wami całe bogactwo kraju. Chcecie młodych dziewcząt? nie porywajcie ich; oto matki prowadzą je ku wam całkowicie obnażone; oto chaty pełne mężczyzn i kobiet; oto jesteś posiadaczem młodej ofiary obowiązków gościnności. Zaściela się ziemię liśćmi i kwiatami, grajkowie nastroili instrumenty, nic nie zamąci słodyczy waszych uścisków; dziewczę odpowie im z całą swobodą; rozlega się hymn, hymn który zagrzewa cię abyś był mężczyzną, zachęca twoją kochankę aby była kobietą, kobietą uległą, rozkoszną i tkliwą; i oto, wyszedłszy z objęć tej kobiety, zabiłeś jej przyjaciela, jej brata, może ojca! Wreszcie, oddalacie się z Taiti, macie przyjąć pożegnania tych dobrych i prostodusznych mieszkańców; obyście mogli i wy i wasi współobywatele i inni mieszkańcy Europy znaleźć śmierć w odmętach morskich zanim powrócicie tu znowu! Od świtu spozstrzegają iż narządzacie żagle; rzucają się na was, ściskają was, płaczą. Płaczcie, nieszczęśliwi Taici, płaczcie; ale płaczcie nad przybyciem, a nie

nad odjazdem tych ludzi ambitnych, zepsutych i złych. Jednego dnia, poznacie ich lepiej; jednego dnia przybędą, z krucyfiksem w jednej a sztyletem w drugiej dłoni, mordować was lub zmusić abyście przyjęli ich obyczaje i wierzenia; jednego dnia, znajdziecie się pod ich jarzmem, prawie równie nieszczęśliwi jak oni.

P. de Bougainville wziął z sobą na pokład młodego krajowca; za pierwszym lądem jaki Taita ujrzał, sądził iż to ojczyzna podróżnika. Aoturu (to imię Taity) nie przestał wdychać za swoim krajem; jakoż, p. de Bougainville odesłał go, pokrywszy cały wydatek i podjąwszy wszystkie możebne ostrożności dla zapewnienia mu bezpieczeństwa podróży. O Aoturu, jakże będziesz rad ujrzeć ojca, matkę, braci, siostry, kochankę i ziomek! co im opowiesz o nas?

Kawaler de Bournaud, towarzysz podróży p. de Bougainville, miał służącego imieniem Barré. Po wylądowaniu na wyspie Taiti, krajowcy otaczają Barrégo, krzyczą że to kobieta i gotują się wyświadczyć jej honory wyspy. Barré, była to w istocie dziewczyna rodem z Burgundyi, sierota, która przebrała się za mężczyznę, skuszona pragnieniem odbycia podróży naokoło świata. Nie była ani ładna ani brzydka; miała dwadzieścia sześć czy siedm lat i odznaczyła się, przez cały czas podróży, wielką odwagą i najskrupulatniejszą obyczajnością.

P. de Bougainville chwali wielce sposoby, za pomocą których Holendrzy zapewnili sobie powszechny handel korzeni, trzciny cukrowej, goździków i muszkatu: najpierw, zakupując liście z drzew, które-to drzewa, obdzierane przez trzy lata, musiały w końcu

zginąć; następnie, niszcząc dokoła wszystkie szczepy i zamykając je w ogrodzeniu dość szczupłym aby go można było upilnować. Pierwsze usiłowanie wydarcia im tego bogactwa powiedzie się; i dziwnem jest, iż nie podjęto go w przeciągu dwóch lat.

Do opisu podróży p. de Bougainville dołączony jest mały słowniczek języka Taiti, z którego widzi się, iż alfabet tego ludu nie posiada ani *a*, ani *c*, ani *d*, ani *f*, ani *g*, ani *q*, ani *x*, ani *y*, ani *z*, co tłumaczy, dlaczego Aoturu, który był już w pewnym wieku, nie mógł zgoła nauczyć się mówić naszym językiem, w którym było zbyt wiele nowych dźwięków dla jego mało giętkich organów.

Po tym słowniku, znachodzi się kilka uwag p. Peirère, tłumacza królewskiego, który tembardziej usprawiedliwia młodego Taitę.

Oto jedyna podróż, której czytanie obudziło we mnie pociąg do innych ziem niż moja. Aż dotąd, ostatecznym wynikiem moich rozważań było, że nigdzie człowiekowi nie jest lepiej niż u siebie.

Pomówię, z okazji podróży p. Anquetil do Indyów, o duchu podróży, którego nie jestem wielkim zwolennikiem, i przytoczę swoje racje. Nie rozwiodłem się nad najważniejszymi szczegółami tej podróży dokoła świata, ponieważ zasadzają się prawie wyłącznie na spostrzeżeniach nautycznych, astronomicznych i geograficznych, równie ważnych dla poznania globu i bezpieczeństwa podróżowania, jak opowieści wypełniające większość dzieł innych podróżników ważne są dla poznania człowieka, ale mniej od tych

drugich zabawne. Aby mieć z nich korzyść, trzeba udać się do samego dzieła p. Bougainville, do którego odsyłam, ostrzegając wszelako, iż niewiele się zeń skorzysta nie będąc oswojonym z językiem marynarzy, dla których, zdaje mi się, autor szczególnie je przeznaczył, wnosząc z małego starania aby lekturę jego uczynić łatwą dla innych.



Przyczynek do podróży Bougainville'a,
czyli
dyalog pomiędzy A. i B.

o niewłaściwości wiązania pojęć moralnych z pewnemi
czynnościami fizycznymi które ich nie znoszą.

At quanto meliora monet, pugnantia aque istis,
Dives opis natura suae, tu si modo recte
Dispensare velis, ac non fugienda petendis
Immiscere; tuo vitio, rerumne labores,
Nil referre putas?

HORAT. *Satir.* lib. I, sat. 2, v. 73 et seq.

I. Sąd o podróży Bougainville'a.

A. — To wspaniałe gwieździste sklepienie, pod
którym spotkaliśmy się wczoraj i które zdawało się
uręczać piękny dzień, nie dotrzymało słowa.

B. — Cóż można wiedzieć?

A. — Mgła jest tak gęsta, iż zasłania widok po-
bliskich drzew.

B. — To prawda; ale, jeżeli ta mgła, która zaj-
muje niższą część atmosfery jedynie dlatego iż jest ona
dostatecznie naładowana wilgocią, opadnie na ziemię?

A. — A jeżeli, przeciwnie, podniesie się i zajmie
wyższą warstwę, gdzie powietrze jest mniej gęste,
i może, jak mówią chemicy, nie być nasycone?

B. — Trzeba czekać.

A. — A w oczekiwaniu, cóż robisz?

B. — Czytam.

A. — Zawsze Podróż Bougainville'a?

B. — Zawsze.

A. — Nie rozumiem zgoła tego człowieka. Studya matematyczne, które wymagają życia siedzącego, wypełniły jego młode lata; i oto nagle, z obyczaju ustronnego i poświęconego medytacyi, przechodzi do czynnego, pełnego trudów, wędrownego i rozprószonego zawodu podróżnika.

B. — Zgoła nie. Jeżeli okręt jest jedynie pływającym domem, i jeżeli wyobrazisz sobie żeglarza, który przebywa niezmierzone przestrzenie zamknięty nieruchomości w przestrzeni dość ciasnej, ujrzysz, iż odbywa on podróż dokoła ziemi na desce, jak ty i ja podróż dokoła wszechświata na posadzce.

A. — Drugą osobliwością, to sprzeczność charakteru człowieka i jego przedsięwzięcia. Bougainville smakuje w uciechach towarzystwa, lubi kobiety, widowiska, wykwintne biesiady; rzuca się w wir świata z równą ochotą z jaką się wystawia na kaprysy rozbujanego żywiołu. Jest wesóły i miły; jestto prawdziwy Francuz, obciążony po jednej stronie rachunkiem różniczkowym i całkowym, a po drugiej podróżą dokoła świata.

B. — Robi jak wszyscy: szuka rozrywek po skupieniu pracy, a skupia się odetchnąwszy rozrywką.

A. — Co myślisz o jego Podróży?

B. — O ile mogę sądzić z lektury dość powierzchownej, pomieściłbym jej korzyści w trzech gównych

punktach: lepsza znajomość naszej starej siedziby i jej mieszkańców; więcej pewności na morzach które on przebył z sondą w rękę, i więcej ściśłości w naszych mapach geograficznych. Bougainville wyruszył z potrzebną wiedzą i przymiotami sposobnymi do tych celów: posiada wykształcenie, odwagę, prawdómówność, szybki rzut oka który ogarnia zjawiska i skraca czas obserwacyi; rozwałę, cierpliwość, pragnienie widzenia, oświecenia się i pouczenia; znajomość rachunku, mechaniki, geometryi, astronomii, oraz wystarczające wiadomości z zakresu nauk przyrodniczych.

A. — A styl?

B. — Niewymuszony, dający ton danej rzeczy, prosty i jasny, zwłaszcza jeżeli się posiada język marynarzy.

A. — Czy przeprawa jaką odbył była długa?

B. — Naznaczyłem ją na tym globie. Widzisz tę linię złożoną z czerwonych punktów?

A. — Która wychodzi z Nantes?

B. — I biegnie aż do cieśniny Magellana, wchodzi w Ocean Spokojny, wije się wężowo między temi wyspami tworzącemi olbrzymi archipelag który rozciąga się od Filipinów do Nowej Holandyi, ociera się o Madagaskar, przylądek Dobrej Nadziei, przedłuża się przez Atlantyk, ciągnie się wzdłuż wybrzeży Afryki i schodzi się wreszcie z punktem w którym podróżnik wsiadł na okręt.

A. — Czy wiele wycierpiał?

B. — Każdy podróżnik naraża się, i to z całą świadomością, na niebezpieczeństwa powietrza, ognia,

wody i ziemi; ale żeby, nabłądziwszy się miesiące całe pomiędzy niebem a morzem, pomiędzy życiem a śmiercią, stawiający czoło burzom, zajrzawszy w oczy śmierci z rozbitcia, chorobie, brakowi wody i chleba, nieszczęśliwy, którego okręt rozbił się w drzazgi, padł, konający z wyczerpania i nędzy, do stóp zakamieniałego potwora który mu odmawia najpilniejszej pomocy lub każe mu jej nielitościwie wyczekiwać, to okrucieństwo..

A. — Zbrodnia godna kary.

B. — Jedna z tych klęsk, na które podróżnik nie liczył.

A. — I nie powinien był liczyć. Sądziłem, iż potęgi europejskie wysyłają, jako komendantów zamorskich posiadłości, jedynie dusze uczciwe, osobników pełnych ludzkości, zdolnych współczuć...

B. — Właśnie im to najbardziej w głowie!

A. — Są, doprawdy, osobliwe rzeczy w tej Podróży Bougainville'a.

B. — Tak, dużo.

A. — Wszak on twierdzi, że dzikie zwierzęta garną się do człowieka i że ptaki siadają na nim, skoro nie znają niebezpieczeństwa tej poufałości?

B. — Inni powiadali to już przed nim.

A. — W jaki sposób tłumaczy on obecność pewnych zwierząt na wyspach oddzielonych od stałego lądu olbrzymią przestrzenią morską? Co zaniósł tam wilka, lisa, psa, jelenia, węża?

B. — On nie tłumaczy, stwierdza fakt.

A. — A ty, jakże go tłumaczysz?

B. — Któż zna pierwotną historię naszego globu?

Ileż ziemi, dziś oddzielonych, łączyło się niegdyś z sobą? Jedyne zjawisko, na którem możnaby budować jakieś przypuszczenie, to kierunek masy wód, która je rozdzieliła.

A. — A to jak?

B. — Przez ogólną formę wyrw. Któregoś dnia, zabawimy się tem dociekaniem, jeżeli cię to zajmuje. Na razie, czy widzisz tę wyspę, którą zowią wyspą *Lansyerów*? Widząc miejsce jakie zajmuje ona na kuli ziemskiej, niemasz człowieka, któryby nie zapytał, skąd się tam mogli wziąć ludzie? Jaka styczność łączyła ich niegdyś z resztą ich rodzaju? Jak mogą żyć w warunkach, które każą się im rozmnażać na przestrzeni mającej nie więcej niż milę średnicy?

A. — Tępią się wzajem i zjadają; stąd może pierwsza epoka, bardzo dawna i bardzo naturalna, ludożerstwa, jest pochodzenia wyspiarskiego.

B. — Lub też rozmnażanie jest ograniczone przez jakieś zabobonne prawo: dławi się dziecko w łonie matki, deptanej stopami kapłanki.

A. — Lub też mężczyzna, zarżnięty, ginie pod nożem kapłana; lub też szuka się ucieczki w trzebieniu samców...

B. — Lub w zszywaniu części rodzajnych u samicy; lub w tylu innych obyczajach równie nieodzwyczajnych jak dziwacznych i okrutnych, a których przyczyna zagubiła się w nocy czasów i staje się udręką filozofów. Dość stale można oglądać zjawisko, jak nadnaturalne i boskie instytucje umacniają się i uwieczniają, przekształcają się, z biegiem czasu, w prawa społeczne i narodowe, instytucje zaś społeczne i naro-

dowe uświęcają się i wyradzają w przepisy nadnaturalne i boskie.

A. — Jestto jedna z palingenez nad wyraz opłakanych dla ludzkości.

B. — Żdźbło więcej, dodane do więzów w których się dławimy.

A. — Nieprawdaż, ten Bougainville był w Paragwaju w samej-że chwili wypędzenia Jezuitów?

B. — Tak.

A. — I cóż mówi o tem?

A. — Mniej niżby można powiedzieć; ale dość, aby nas pouczyć, że ci okrutni Sparcyaci w czarnych sutannach obchodzili się ze swymi indyjskimi niewolnikami jak Lacedemończycy z Helotami, skazywali ich na ustawną pracę, kąpali się w ich pocie, nie zostawili im żadnego prawa własności, trzymali ich w ogłupieniu zabobonu wymagając głębokiej czci, chodzili wśród nich z batem w dłoni i okładali nim bez względu na wiek i płeć. Jakie sto lat więcej, a wypędzenie ich stałoby się niemożliwe, albo też dałoby przyczynę do długiej wojny między tymi mnichami a monarchą, którego powagę zdołali pomału strząsnąć.

A. — A owi Patagończycy, którymi doktor Maty i akademik la Condamine narobili tyle hałasu?

B. — To dobrzy ludzie, którzy przychodzą do ciebie i ściskają cię wołając Chaua; silni, krzepcy, nie przekraczający wszelako wysokości pięciu stóp i pięciu do sześciu cali, ogromni jedynie swoją korpułencją, rozmiarami głowy i tęgością członków. Zrodzony z pędem do cudowności, która wszystko przesadza wkoło niego, w jakież sposób człowiek zo-

stawilby właściwe proporceye przedmiotom, skoro trzeba mu, że tak rzekę, usprawiedliwić drogę jaką odbył i trudy jakie sobie zadał dla oglądania ich tak daleko?

A. — A o dzikich, co myśli?

B. — Zdaje się, iż okrutny charakter jaki w nich się niekiedy objawia, tłómaczy potrzebą codziennej obrony przeciw drapieżnym zwierzętom. Są oni niewinni i łagodni wszędzie tam, gdzie nic nie mąci ich spokoju i bezpieczeństwa. Wszelka wojna rodzi się ze zobopólnych uroszczeń do jednego i tego samego przedmiotu. Człowiek cywilizowany ma z drugim człowiekiem cywilizowanym wspólne pretensye do posiadania pola, którego zajmują dwa krańce, i pole to staje się między nimi materją do waśni.

A. — A tygrys ma z dzikim człowiekiem wspólne uroszczenia do posiadania lasu, i oto najpierwsza niezgoda i przyczyna najdawniejszej z wojen... Czy widziałeś mieszkańca Otaiti, którego Bougainville wziął na pokład i przewiózł do kraju?

B. — Widziałem; nazywał się Aoturu. Pierwszy ład jaki spostrzegł, wziął za ojczyznę podróżników; czy to że go oszukano co do długości przeprawy, czy że, ulegając naturalnej omyłce co do pozornego oddalenia brzegów morza które zamieszkiwał od okolicy gdzie niebo zdaje się stykać z widnokręgiem, nie znał prawdziwej rozciągłości ziemi. Zwyczaj wspólności kobiet był tak silnie zakorzeniony w jego umyśle, iż rzucił się na pierwszą Europejkę która wyszła na jego spotkanie, i gotował się bardzo poważnie wyrazić jej swoje uczucia modą Otaiti. Nudził się między

nami. Ponieważ alfabet otajski nie zna ani głoski *b*, ani *c*, ani *d*, ani *f*, ani *g*, ani *q*, ani *x*, ani *y*, ani *z*, nie mógł się w żaden sposób nauczyć mówić naszym językiem, który nastęrczał jego pozbawionym giętkości narządom zbyt wiele obcych artykulacyj i nowych dźwięków. Nie przestawał wzdychać za swoim krajem, i nie dziwił się temu. Podróż Bougainville'a jest jedynym opisem, który obudził we mnie pociąg do innych stron niż moje; aż do tej lektury, myślałem, że nigdzie nie jest równie dobrze jak u siebie. Uważałem, iż musi to być wrodzonym uczuciem każdego mieszkańca ziemi; naturalnym wynikiem przywiązania do swej gleby; przywiązania, wynikłego z dogodności jakich się tam zażywa, a których nie ma się pewności znaleźć gdzie indziej.

A. — Jakto! nie sądzisz, aby mieszkanię Paryża był przekonany, że równie dobrze rośnie zboże w Campagna romana co na polach Beauce?

B. — Na honor, nie. Bougainville odesłał Aoturu do ojczyzny, zapewniwszy mu koszta i bezpieczeństwo podróży.

A. — O, Aoturu! jakiż będziesz rad ujrzeć ojca, matkę, braci, siostry, nałożnice, krajanów! co im opowiesz o nas?

B. — Niewiele rzeczy, w które zresztą nie uwierzą.

A. — Dlaczego niewiele?

B. — Ponieważ niewiele z nich był w stanie ogarnąć, i ponieważ nie znajdzie w swoim języku żadnego terminu, odpowiadającego tym o których ma jakieś pojęcie.

A. — A dlaczego mu nie uwierzą?

B. — Dlatego, iż, porównując swoje obyczaje z naszymi, będą raczej woleli wziąć Aoturu za kłamcę, niż uważać nas za tak niedorzecznych.

A. — W istocie?

B. — Nie wątpię o tem: życie dzikich jest tak proste, a nasze społeczeństwo jest machiną tak zawiąlaną! Mieszkaniec Otaiti sięga początków świata, Europejczyk zaś sięga jego starości. Przestrzeń, jaka go dzieli od nas, jest większa, niż oddalenie między nowonarodzonym dzieckiem a zgrzybiałym starcem. Nie rozumie nic z naszych zwyczajów, z naszych praw; widzi w nich jedynie zapory, poprzebierane w setkę rozmaitych form; zapory, zdolne jedynie zrodzić oburzenie i wzgardę u istoty, w której poczucie wolności jest najgłębszem z uczuć.

A. — Czy ty wierzysz w tę bajkę o Otaiti?

B. — To nie bajka; i nie miałbyś żadnej wątpliwości w szczerość Bougainville'a, gdybyś znał Przyczynek do jego Podróży.

A. — I gdzie znajduje się ów Przyczynek?

B. — Tu, na tym stole.

A. — Czy mi go nie użyczysz?

B. — Nie; ale możemy go przebiedz razem, jeżeli zechcesz.

A. — Oczywiście że zechcę. Oto mgła opada, i lazur nieba zaczyna się pojawiać. Zdaje się, że moim losem jest być zawsze pobitym przez ciebie, aż do najmniejszych drobiazgów; muszę być widocznie bardzo dobry, skoro ci przebaczam wyższość równie ustawiczną!

B. — Masz, masz, czytaj; opuść ten wstęp, który nie ma znaczenia, i idź prosto do pożegnania, jakim jeden z naczelników wyspy uderzył naszych podróżników. To ci da niejakię pojęcie o wymowie tych ludzi.

A. — W jaki sposób Bougainville zrozumiał to pożegnanie, wygłoszone w nieznanym mu języku?

B. — Dowiesz się. To starzec przemawia do niego.

II. Pożegnanie starca.

Był ojcem licznej rodziny. Za przybyciem Europejczyków, obrzucił ich wzgardliwem spojrzeniem, nie okazując ani zdziwienia, ani przestachu, ani ciekawości. Podeszli ku niemu; odwrócił się plecami i odszedł do chaty. Milczenie i troska odślaniały aż nadto jego myśl: wzdychał sam w sobie nad minionymi pięknymi dniami swego kraju. Przy odjeździe Bougainville'a, podczas gdy mieszkańcy cisnęli się tłumnie na brzegu, czepiali się odzieży cudzoziemca, ściskali jego towarzyszy i płakali, starzec ów wysunął się z surową twarzą naprzód, i rzekł:

„Płaczcie, nieszczęśliwi mieszkańcy Otaiti! płaczcie, ale niechaj to będzie z powodu przybycia, a nie odjazdu tych złych i ambitnych ludzi. Przyjdzie dzień, iż poznacie ich lepiej; pewnego dnia, powrócą, uzbrojeni w ten kawałek drzewa, który widzicie oto u pasa jednych, z tem żelazem w dłoni, które wisi u boku drugich, aby was zakuć w łańcuchy, mordować was, lub uczynić niewolnikami

swoich szaleństw i występków. Przyjdzie dzień, iż będziecie służyli pod nimi, równie zepsuci, równie plugawi, równie nieszczęśliwi jak oni. Ale pocieszam się: sięgam kresu moich dni; nie będę patrzył na klęskę którą wam zwiastuję. O Otajczycy! o moi przyjaciele! mielibyście jeden sposób uniknięcia zło-wrogiej przyszłości, ale wolałbym raczej umrzeć, niż go wam doradzić. Niechaj się oddalą i niechaj żyją“.

Następnie, zwracając się do Bougainville'a, dodał:

„A ty, wodzu rozbójników, podległych twym rozkazom, umknij corychlej swój okręt z naszych brzegów; jesteście niewinni, jesteście szczęśliwi, a ty możesz jedynie znać nasze szczęście. Jesteśmy posłuszni czystemu instynktowi natury, a ty siliłeś się zatrzeć w naszych duszach jego głoski. Tutaj, wszystko należy do wszystkich, a ty obwieszczałeś nam jakąś niedorzeczną różnicę pomiędzy t w o j e m a m o j e m. Córki nasze i żony są nam wspólne; dzieliłeś ten przywilej z nami i zażęłeś w ich piersiach nieznane szaty. W objęciach twoich, stały się jak obłąkane; ty, w ich ramionach, stałeś się okrutnym. One jęły nienawidzić się wzajem; wyście zaczęli się mordować o nie; wróciły do nas zmazane waszą krwią. Jesteśmy wolni, i oto ty rzuciłeś w naszą ziemię nasienie przyszłego niewolnictwa. Nie jesteś ani bogiem ani demonem; kimże jesteś tedy, aby czynić niewolników? Orul ty, który rozumiesz język ludzi, powiedz nam wszystkim, tak jak powiedziałeś mnie, co oni wypisali na tej blaszce metalu: „Ten kraj jest nasz“. Gdyby Otajczyk wylądował kiedy na

waszych brzegach, i gdyby wyrzył na kamieniu lub na korze jakiego drzewa: „Ten kraj należy do mieszkańców Otaiti“, cobyś o tem mniemał? Jesteś silniejszy! I cóż to znaczy? Kiedy ci zabrano jeden z tych nędznych drobiazgów jakimi statek twój jest napełniony, okrzyknąłeś się, zemściłeś się; i, w tej samej chwili, zamierzyłeś w sercu swoim kradzież całej krainy! Nie jesteś niewolnikiem; raczej ścierpiałbyś śmierć niż niewolę, a chcesz nas ujarzmić! Sądzisz zatem, że mieszkaniec Otaiti nie umie bronić swojej wolności i umrzeć? Ten Otajczyk, nad którym chcesz zawładnąć jak nad bydłem, jest twoim bratem. Jesteście obaj dziećmi natury: jakie masz prawo nad nim, którego on nie miałby nad tobą? Przybyłeś: czyśmy się targnęli na twą osobę? Czy złupiliśmy twój statek? Czyśmy cię pochwycili i wydali na pastwę grotom naszych nieprzyjaciół? Czyśmy cię zmusili, abys uprawiał pola, na równi z naszemi bydłami? Szanowaliśmy w tobie nasz obraz. Zostaw nam nasze obyczaje: są rozsądniejsze i uczciwsze od twoich; nie chcemy zmieniać tego co ty nazywasz naszym nieuctwem na twoje bezużyteczne wiadomości. Znamy wszystko, co nam jest potrzebne i dobre. Czy jesteśmy godni wzgardy, ponieważ nie umieliśmy sobie stworzyć zbytecznych potrzeb? Kiedy jesteśmy głodni, mamy co jeść; kiedy nam zimno, mamy się w co odziać. Odwiedzałeś nasze chaty: czegoż, wedle ciebie, w nich brakuje? Ścigaj, dokąd ci się podoba, to, co nazywasz „udogodnieniami życia“, ale pozwól rozsądnym istotom zatrzymać się przy mecie, poza którą owocem

ciężkich i ustawnych wysiłków byłyby jedynie dobra urojone. Skoro nas skłonisz, abyśmy przekroczyli ciasną granicę potrzeby, kiedyż skończymy pracować? Kiedyż będziemy się cieszyli życiem? Uczyniliśmy sumę naszych rocznych i dziennych trudów najmniejszą jak tylko możebne, ponieważ nic nie wydaje nam się cenniejsze, niż spoczynek. Wracaj do swego kraju miotać się, dręczyć ile ci się podoba; pozwól nam zażywać wczasu: nie wpieraj w nas ani swoich sztucznych potrzeb, ani urojonych cnót. Spojrz na tych mężczyzn: patrz, jacy prości, zdrowi i krzepcy. Spojrz na te kobiety: patrz, jakie proste, zdrowe, świeże i ładne. Weź ten mój łuk, zawołaj na pomoc jednego, dwóch, trzech, czterech towarzyszy i próbujcie go napiąć. Ja go napinam sam jeden. Uprawiam ziemię, wspinam się na góry, przedzieram przez lasy, przebiegam milę drogi w niespełną godzinę. Twoi młodzi towarzysze zaledwie mogli mi nadążyć, a mam przeszło dziewięćdziesiąt lat. Biada tej wyspie! Biada mieszkańcom Otaiti dzisiaj, i biada im na przyszłość, od dnia w którym nas odwiedziłeś! Znaliśmy tylko jedną chorobę; tę, na którą skazany jest człowiek, zwierzę i roślina: starość; a ty nam przyniosłeś inną: skaziłeś naszą krew. Trzeba nam będzie może wytępić własnymi rękami nasze córki, żony, dzieci; tych którzy zbliżyli się do twoich kobiet; te które zbliżyły się do twoich mężczyzn. Pola nasze przesiąkną nieczystą krwią., która przeszła z twoich żył w nasze, albo w nasze dzieci, skazane na hodowanie i utrwalenie cierpienia, które wszczepiłeś ojcom i matkom, a które oni przekażą na wieki

potomstwu. Nieszczęśliwy! będziesz winien albo spuszczeń, jakie staną się następstwem złowrogich pieszczoł twojej zgrai, albo też mordów, jakie popełnimy aby powstrzymać ich truciznę. Mówisz o zbrodniach! Czy wyobrażasz sobie większą zbrodnię niż twoja? Jaka jest u ciebie kara na tego, który zabija sąsiada? Śmierć od żelaza; jaka na nikczemnika, który go otruje? Śmierć od ognia. Porównaj swoją zbrodnię z tą ostatnią, i powiedz, trucicielu narodów, na jaką karę zasłużyłeś? Jakże niedawno temu, młoda Otajka poddawała się bez troski pieścizom, uściskom młodego Otajczyka; dojrzewającą dziewczyna czekała z niecierpliwością chwili wyzwolenia, w której matka zdejmie jej zasłonę i obnaży piersi. Dumna była, iż budzi żądze i ściąga miłosne spojrzenia obcych, krewnych, braci; przyjmowała, bez lęku i wstydu, w naszej obecności, pośród koła niewinnych Otajczyków, przy dźwięku fletni, wśród płasów, pieścizoty tego, którego jej młode serce i tajemny głos zmysłów wskazywały. Pojęcie zbrodni i niebezpieczeństwo choroby wstąpiły z tobą pomiędzy nas. Rozkoszom naszym, niegdyś tak słodkim, towarzyszą obecnie wyrzuty i groza. Ten czarny człowiek, który stoi obok ciebie i który mi się przysłuchuje, dawał jakieś nauki naszej młodzieży; nie wiem, co takiego mówił; ale, od tego czasu, chłopcy nasi wahają się, dziewczęta płoną rumieńcem. Kryj się, jeśli twoja wola, w mrocznym lesie, wraz z wyuzdaną towarzyszkę swoich rozkoszy, ale pozwól dobrym i prostym Otajczykom rozmnażać się bez wstydu w obliczu nieba i w biały dzień. Jakież zacniejsze i wyższe

uczucie mógłbyś pomieścić w miejsce tego jakieśmy im tchnęli i jakie ich ożywia? Mniemają, iż chwila wzbogacenia narodu i rodziny nowym obywatelem nadeszła, i szczycą się z tego. Jedzą, aby żyć i aby rosnąć; rosną, aby się rozmnażać, i nie znajdują w tem grzechu ani wstydu. Słuchaj dalszego ciągu swych zbrodni. Zaledwie pokazałeś się między nimi, stali się złodziejami. Zaledwie stąpiłeś na naszą ziemię, zaczęła dymić krewią. Otajczyka, który biegł na twe spotkanie, który powitał cię i przyjął wołaniem: „Taio! przyjaciel, przyjaciel,“ zabiłeś. I dlaczego zabiłeś? Ponieważ go uwiódł blask twoich błyszczących perełek. Dawał ci swoje owoce; ofiarował własną żonę i córkę; ustępował ci chaty, a ty go zabiłeś za garstkę tych ziarn, które zabrał ci, nie poprosiwszy o nie. Na odgłos twojej morderczej broni, uciekł w góry. Ale bądź pewien, iż, gdyby nie ja, w jednej chwili zginęlibyście wszyscy. Ha! dlaczego ich uspokoiłem? dlaczego ich powściągnąłem? dlaczego powstrzymuję ich jeszcze w tej chwili? Nie wiem; nie zasługujesz bowiem na żadne uczucie litości; masz duszę okrutną, która nie zaznała go nigdy. Przechadzałeś się, ty i twoi, po naszej wyspie; uszanowano cię; zażywałeś wszystkiego; nie znalazłeś na swej drodze zapory ani odmowy; zapraszano cię, siadałeś, roztaczano przed tobą cały dostatek kraju. Pragnąłeś młodych dziewcząt? Z wyjątkiem tych, które nie mają jeszcze przywileju ukazywania twarzy i piersi, matki przedstawiły ci wszystkie inne zupełnie nagie: oddano w twoje ręce tkliwą ofiarę obowiązków gościnności; usłano dla niej i dla ciebie

ziemię liśćmi i kwiatami; grajkowie nastroili instrumenty; nic nie mąciło słodyczy, ani nie krępowało swobody twoich i jej uścisków. Odśpiewano hymn, hymn który zagrzewał cię abyś był mężczyzną, który upominał nasze dziecię aby było kobietą; kobietą chętną i pełną rozkoszy. Tańczono dokoła waszego legowiska; i oto, wychodząc z ramion tej kobiety, doświadczywszy na jej łonie najśłodszych upojeń, zabiłeś jej brata, przyjaciela, jej ojca może!. Zrobiłeś gorzej jeszcze: spojrz w tę stronę, popatrz na to zakole najeżone grotami; tę broń, która groziła jedynie nieprzyjaciółom, widzisz obróconą przeciw naszym własnym dzieciom; widzisz nieszczęśliwe towarzyszkę naszych uciech; patrz na ich smutek, patrz na boleść ich ojców, na rozpacz matek, tamto skazane są, aby zginęły z naszych rąk, albo z choroby której im udzieliłeś. Oddal się, chyba że twoje okrutne oczy lubują się w widowisku śmierci; oddal się; idź, i oby występne morza, które oszczędziły cię w czasie podróży, mogły zmazać swą winę i pomścić nas, pochłaniając cię zanim powrócisz! A wy, mieszkańcy Otaiti, schrońcie się do waszych chat, schrońcie się wszyscy; niechaj ci niegodni cudzoziemcy słyszą przy swoim odjeździe jedynie ryczące fale i widzą jedynie pianę której wściekłość bieli opustoszałe wybrzeże!“

Zaledwie skończył mówić, gromada mieszkańców znikła, wielka cisza zapanowała na całej przestrzeni wyspy, słychać było jedynie ostry poświst wiatru i głuchy łoskot wód; możnaby rzec, iż po-

wietrze i morze, poruszone głosem starca, gotowały się go usłuchać.

B. — I cóż, co o tem myślisz ?

A. — Przemowa wydaje mi się wcale gwałtowna; ale, poprzez jakąś powłokę surowości i dzikości, mam wrażenie iż odnajduję w niej myśli i zwroty europejskie.

B. — Pomyśl, że to to jest przekład z otajskiego na hiszpańskie i z hiszpańskiego na francuskie. Starzec udał się w nocy do tego Oru którego zagadnął, a w którego chacie język hiszpański przechowywał się od niepamiętnych czasów. Oru napisał po hiszpańsku mowę starca, i Bougainville miał jej odpis w ręku, w chwili gdy Otajczyk ją wygłaszał.

A. — Nie rozumiem w takim razie, czemu Bougainville usunął ten fragment. Ale wszak to nie wszystko: wyznaję, iż bardzo byłbym ciekaw reszty.

B. — To co następuje, być może nie tak cię już zajmie.

A. — Mniejsza.

B. — Jestto rozmowa kapelana załogi z jednym z mieszkańców wyspy.

A. — Oru ?

B. — Właśnie. Skoro okręt Bougainville'a zbliżał się do Otaiti, niezliczona ilość wyżłobionych drzew zaroila się na wodzie; w jednej chwili otoczyły one jego statek; w jakąkolwiek stronę obrócił spojrzenia, widział objawy zdziwienia i życzliwości. Rzucali mu zapasy żywności, wyciągali doń ręce, czepiali się lin, drapali się na deski, wypełnili jego sza-

lupe, krzyczeli w stronę brzegu skąd rozlegał się odzew. Zbiegli się mieszkańcy wyspy; wszyscy tłoczą się na brzegu; chwytają ludzi i załogę i dzielą ich między siebie. Każdy prowadzi swego gościa do chaty; mężczyźni ściskają ich, obejmując w pół ciała, kobiety głaszczą rękami po twarzy. Uzmysłów sobie ten obraz; bądź świadkiem, myślą, widoku tej gościnności, i powiedz jak ci się przedstawia rodzaj ludzki?

A. — Uroczo.

B. — Ale zapomniałbym może wspomnieć ci o wydarzeniu bardzo osobliwym! Tę scenę przyjaźni i ludzkości zmąciły nagle krzyki człowieka, który wołał o pomoc; był to służący jednego z oficerów Bougainville'a. Młodzi Otajczycy rzucili się nań, rozciągnęli go na ziemi, rozbierali go i gotowali się wyświadczyć mu pewną uprzejmość.

A. — Jakto! te ludy tak pełne prostoty, ci dzicy tak dobrzy, tak uczciwi...?

B. — Mylisz się! ów służący był kobietą przebraną za mężczyznę. Załoga nieświadoma była jego płci przez cały ciąg długiej przeprawy, Otajczycy natomiast odgadli ją na pierwszy rzut oka. Dziewczyna ta była rodem z Burgundyi, nazywała się Barré, nie była ani ładna ani brzydka. Nie opuściła nigdy swojej wioski, a pierwszym jej zamysłem podróży było objechać ziemię dookoła: okazywała cię w każdej okoliczności dzielna i roztropna.

A. — Te wątłe organizmy mieszczą niekiedy dusze bardzo silne.

III. Rozmowa kapelana i Oru.

Wedle sposobu, w jaki Otajczycy rozdzielili między siebie załogę Bougainville'a, kapelan stał się gościem Oru. Kapelan i Otajczyk byli mniejwięcej w równym wieku: trzydzieści pięć do trzydziestu sześciu lat. Oru miał wówczas w domu jedynie żonę i trzy córki, imieniem Asto, Palli i Thia. Rozebrały gościa, umyły mu twarz, ręce i nogi, oraz podały zdrowy i skromny posiłek. Skoro nadeszła godzina spoczynku, Oru, który oddalił się był wraz z rodziną, zjawił się, przedstawił cudzoziemcowi żonę i trzy córki zupełnie nagie, i rzekł:

— Podjadłeś sobie, jesteś młody, zdrow: jeżeli będziesz spał sam, źle ci się będzie spało: mężczyzna potrzebuje w nocy towarzyszki przy boku. Oto moja żona, oto córki, wybierz tę która ci się nadaje; ale, jeżeli chcesz mi wyświadczyć grzeczność, dasz pierwszeństwo najmłodszej z nich, która nie ma jeszcze dzieci.

Matka dodała: — Niestety! nie mogę czynić jej wyrzutów; biedna Thia! to nie jej wina.

Kapelan odparł, iż religia jego, stan, dobre obyczaje i przystojność nie pozwalają mu przyjąć tej ofiary.

Oru rzekł:

— Nie wiem, co to za rzecz, którą nazywasz religią, ale mogę mieć o niej jedynie złe mniemanie, skoro broni ci kosztować niewinnej przyjemności, do jakiej natura, wszechwładna pani, zaprasza nas wszystkich; dać istnienie jednemu z podobnych

sobie; wyświadczyć przysługę, o jaką ojciec, matka i dzieci cię proszą; wypłacić się gospodarzowi, który zgotował ci dobre przyjęcie, oraz wzbogacić naród, pomnażając go o jednego poddanego. Nie wiem, co to za rzecz, którą nazywasz stanem, ale twoim pierwszym obowiązkiem jest być człowiekiem i być wdzięcznym. Nie zamierzam nieść do twego kraju obyczajów Oru, ale Oru, twój gospodarz i przyjaciel, błaga cię abys się poddał obyczajom Otaiti. Czy obyczaje Otaiti lepsze są czy gorsze niż wasze? to pytanie łatwe do rozstrzygnięcia. Czy ziemia, w której się urodziłeś ma więcej ludzi, niż może ich wyżywić? W takim razie, obyczaje jej nie są ani lepsze ani gorsze niż nasze. Czy może wyżywić więcej niż ma mieszkańców? — nasze obyczaje lepsze są niż twoje. Co do przystojności jaką się zasłaniasz, rozumiem cię: przyznaję że zbłądziłem i proszę o przebaczenie. Nie wymagam, byś szkodził swemu zdrowiu; jeżeli jesteś zmęczony, trzeba abys spoczął; ale mam nadzieję, że nie zechcesz długo czynić nam przykrości. Patrz na troskę, jaką rozlałeś na twarzach kobiet; lękają się, że zauważyłeś w nich jakąś skazę, która ściągnęła na nie wzgardę. Ale, gdyby nawet tak było, czyż przyjemność uczczenia jednej z mych córek pośród jej sióstr i towarzyszek, oraz chluba spełnienia dobrego uczynku nie powinny ci wystarczyć? Bądź wspaniałomyślny!

KAPELAN. — To nie to: wszystkie cztery są zarówno piękne; ale moja religia! ale mój stan!

ORU. — Należą do mnie i ja ci je ofiaruję; należą do siebie i oddają się tobie. Mimo wszelkich

skrupułów sumienia, jakie nakłada ci owa jakaś religia i ów stan, możesz przyjąć bez obawy. Nie nadużywam mej powagi, i bądź pewien że znam i szanuję prawa jednostki.

Tutaj, prawdopodobny kapelan przyznaje, iż nigdy Opatrzność nie wystawiła go na równie nagłą pokusę. Był młody, kręcił się, dręczył; odwracał spojrzenia od lubych suplikantek, ściągał je z powrotem ku nim; podnosił ręce i oczy ku niebu. Thia, najmłodsza, ścisnęła jego kolana i mówiła:

— Cudzoziemcze, nie martw mego ojca, mej matki, nie martw mnie! Uczcij mnie w tej chacie i pomiędzy moimi; wzniesź mię do rzędu sióstr, które drwią sobie ze mnie. Asto, najstarsza, ma już troje dzieci; Palli, druga z kolei, dwoje, a Thia nie ma ich zgoła. Cudzoziemcze, zacny cudzoziemcze! nie odtrącaj mnie! uczynź mnie matką: daj mi dziecko, którebym mogła kiedyś prowadzić za rękę po Otaiti, któreby, za dziewięć miesięcy, widziano przyczepione do mojej piersi, z któregobym była dumna i któreby stanowiło część mojego wiana, kiedy przejdę z chaty mego ojca do innej. Być może, lepiej mi się powiedzie z tobą, niż z naszymi młodymi Otajczykami. Jeżeli mi użyczysz tej łaski, nie zapomnę o tobie nigdy, będę cię błogosławiła przez całe życie, wypiszę imię twoje na mojem ramieniu i na ramieniu twego syna; będziemy je wymawiali bez przerwy z radością, i, kiedy opuścisz te brzegi, życzenia moje będą ci towarzyszyć na morzu, póki nie przybędziesz do swego kraju“.

Dobry kapelan powiadał, iż ścisnęła go za rękę, wlepiła w jego oczy wymowne i wzruszające spojrzenia, płakała; że ojciec, matka i siostry oddalili się, że został z nią sam na sam, i że, powtarzając: „Ależ moja religia, ależ mój stan“, znalazł się nazajutrz na posłaniu obok tej młodej dziewczyny, która obsypywała go pieścizkami i zapraszała ojca, matkę i siostry, skoro zbliżyli się rano do ich łóża, aby dołączyli do jej wdzięczności swoje dziękczynienia.

Asto i Palli, oddaliwszy się na chwilę, wróciły, niosąc krajowe potrawy, napoje i owoce; uściśniły siostrę i składały jej życzenia. Spożyli śniadanie wszyscy razem; poczem Oru, zostawszy sam z kapelanem, rzekł:

— Widzę, iż córka rada jest z ciebie, i dziękuje ci. Ale czy mógłbyś mnie pouczyć, co znaczy słowo religia, które powtarzałeś tyle razy i z taką boleścią?

Kapelan, podumawszy chwilę, odpowiedział:

— Kto uczynił twoją chatę i sprzęty które się w niej mieszczą?

ORU. — Ja sam.

KAPELAN. — Otóż, my wierzymy, że ten świat i wszystko co zawiera jest dziełem niejakiego robotnika.

ORU. — Ma zatem nogi, ręce i głowę?

KAPELAN. — Nie.

ORU. — Gdzież on mieszka?

KAPELAN. — Wszędzie. ?

ORU. — Tu także?

KAPELAN. — Tak.

ORU. — Nigdyśmy go nie widzieli.

KAPELAN. — Nie daje się oglądać nikomu.

ORU. — To mi jakiś ojciec bardzo obojętny! Musi być stary, jest bowiem conajmniej w wieku swego dzieła.

KAPELAN. — Nie starzeje się. Przemówił do naszych przodków; dał im prawa; przepisał sposób w jaki chce aby go czczono; nakazał pewne uczynki jako dobre, zabronił zaś innych jako złych.

ORU. — Rozumiem; i jednym z tych uczynków zabronionych jako złe, to mieć sprawę z kobietą albo z dziewczyną? Dlaczego tedy uczynił dwie płcie?

KAPELAN. — Aby się ludzie kojarzyli, ale za dopełnieniem pewnych warunków, po dokonaniu pewnych uprzednich ceremonij, w następstwie których mężczyzna należy do kobiety i należy tylko do niej; kobieta należy do mężczyzny i tylko do niego.

ORU. — Na całe życie?

KAPELAN. — Na całe życie.

ORU. — W ten sposób, iż, gdyby się zdarzyło kobiecie mieć sprawę z innym niż własnym mężem, lub mężowi z inną niż swą żoną... ale to się nie zdarza; skoro bowiem ów stwórca jest obecny i skoro mu się to nie podoba, umie im tego zabronić.

KAPELAN. — Nie, zostawia im swobodę; wówczas grzeszą przeciw prawu Boga (tak bowiem nazywamy wielkiego robotnika), przeciw prawom kraju, i popełniają wielką zbrodnię.

ORU. — Przykroby mi było dotknąć cię; ale, gdybyś pozwolił, powiedziałbym moje zdanie.

KAPELAN. — Mów.

ORU. — Te osobliwe przepisy wydają mi się sprzeczne z naturą i przeciwne rozumowi; ustanowione poto, aby mnożyć zbrodnie i martwić w każdej chwili starego robotnika który wszystko zrobił bez rąk, bez nóg, bez narzędzi, który jest wszędzie i którego nie widzi się nigdzie; który trwa dziś i jutro a nie ma ani dnia więcej; który rozkazuje i nie znachodzi posłuchu; który może zapobiedz a nie zapobiega. Są przeciwne naturze, ponieważ przypuszczają, iż istota myśląca, czująca i wolna może być własnością istoty jej podobnej: na czem miałyby się opierać to prawo? Czy nie widzisz, iż pomieszano, w twoim kraju, rzecz, która nie ma ani czucia, ani myśli, ani pragnienia, ani woli, którą się porzuca, bierze, zatrzymuje, wymienia, bez cierpienia i skargi z jej strony, z rzeczą której się nie da wymienić ani nabyć, która ma wolność, wolę, chęć; która może się oddać lub wzbronić na chwilę, oddać się lub wzbronić na zawsze; która się skarży i cierpi, i która nie może stać się przedmiotem handlu bez zapoznania jej charakteru i pogwałcenia jej natury. Słowem, przepisy te są sprzeczne z ogólnem prawem istot żywych. Czy możesz, w istocie, wyobrazić sobie coś bardziej niedorzecznego, niż prawo które potępia przemianę jaka w nas zachodzi; które nakazuje stałość do jakiej nie jesteśmy zdolni; gwałci wolność mężczyzny i kobiety skuwając ich z sobą na wieki? coś bardziej szalonego niż wierność która

ogranicza najbardziej kapryśną z rozkoszy do jednego i tego samego osobnika; niż przysięga nieodmienności, jaką czynią dwie osoby z krwi i ciała, w obliczu nieba które nie jest ani przez chwilę jednakie, pod sklepieniem groty która grozi zawaleniem, w pobliżu skały która rozsypuje się w proch, u stóp drzewa które murszeje, na kamieniu który się obluźnia? Wierzaj mi, uczyniliście dolę człowieka gorszą od doli zwierzęcia. Nie wiem, co to jest ten twój wielki robotnik, ale cieszę się, że nie mówił do naszych ojców, i pragnę, aby nie przemówił do naszych dzieci, mógłby bowiem, przypadkiem, powiedzieć im te same głupstwa, a oni popełniliby może to głupstwo aby mu uwierzyć. Wczoraj, przy wieczerzy, opowiadałeś nam o sędziach i o księżach; nie wiem co to są za osobistości które ty nazywasz sędziami i księżmi i których władza miarkuje wasze postęпки; ale powiedz mi, czy oni są panami dobrego i złego? Czy mogą sprawić, aby to co jest sprawiedliwe stało się niesprawiedliwem, to zaś co niesprawiedliwe było sprawiedliwem? Czy jest w ich mocy związać dobro z uczynkami szkodliwymi, a zło z uczynkami niewinnymi lub pożytecznymi? Niepodobna abyś tak myślał; w ten sposób bowiem nie byłoby prawdy ani fałszu, dobrego ani złego, piękna ani szpetoty, chyba tylko to, co by się podobało wielkiemu robotnikowi, sędziom i kapłanom ogłosić za takie; i, z chwili na chwilę, byłbyś zmuszony zmieniać swe pojęcia i uczynki. Pewnego dnia, powiedzianoby ci, w imię jednego z twoich trzech mistrzów, „zabijaj“, i byłbyś obowiązany, wedle sumienia, zabijać; drugiego dnia:

„kradnij“, i bylibyś zniewolony kraść; lub też: „nie jedz tego owocu“, i nie ważylibyś się go jeść: „zabraniam ci tej jarzyny lub tego zwierzęcia“, i wystrzegalibyś się ich dotknąć. Nie byłoby dobrej rzeczy którejby ci nie było można zabronić, ani niegodziwości którejby nie można nakazać. A jakież byłby twój los, gdyby twoi trzej panowie, nie mogąc się zgodzić ze sobą, zechcieli — każdy z osobna — pozwolić ci, nakazać i zabronić tę samą rzecz, jak sądzę iż musi się zdarzać często? Wówczas, aby przypodobać się kapłanowi, będziesz musiał poróżnić się z sędzią; aby zadowolnić sędziego, trzeba ci będzie narazić się wielkiemu robotnikowi; aby się zaś zasłużyć wielkiemu robotnikowi, będziesz musiał wyprzeć się natury. I wiesz, co z tego wyniknie? To, iż będziesz lekcewał wszystkich trzech, i że nie będziesz ani człowiekiem, ani obywatelem, ani pobożnym; że nie będziesz niczem, że będziesz w niezgodzie ze wszystkimi rodzajami władzy, w niezgodzie z sobą samym, staniesz się złym, udręczonym przez własne serce; prześladowanym przez swoich niedorzecznych panów, i nieszczęśliwym, jak nim byłeś oto wczoraj, kiedy ci przywiódłem córki i żonę, i kiedy krzychałeś: „Ależ moja religia! ale mój stan!“ Czy chcesz wiedzieć, w każdym czasie i miejscu, co jest dobre i złe? Miej na względzie naturę rzeczy i uczynków; stosunków ze swym bliźnim, wpływ twoich postępów na twój osobisty pożytek i na dobro powszechne. Jesteś w obłądnie, jeśli mniemasz, iż jest cośkolwiek, czy to w górze; czy na dole, we wszechświecie, coby mogło przy-

czynić coś lub ująć prawom natury. Jej wiekiustą wolą jest, aby przekładać dobro nad zło, a dobro ogólne nad dobro jednostki. Możesz nakazywać rzecz przeciwną, ale nie znajdziesz posłuchu. Będziesz mnożył złoczyńców i nieszczęśliwych zapomocą lęku, zapomocą kar i wyrzutów; znieprawisz sumienia, skazisz dusze ludzi, i nie będą już sami wiedzieli co należy im czynić a czego unikać. Wystraszeni w stanie niewinności, spokojni w zbrodni, zatracą gwiazdę polarną swej drogi. Odpowiedz szczerze: czy, na wspaniałym wyrażeniu nakazom trzech prawodawców, młody człowiek w twoim kraju nie ma nigdy, bez ich zezwolenia, sprawy z młodą dziewczyną?

KAPELAN. — Skłamałbym, gdybym ci to zaręczał.

ORU. — Żona, która przysięgła należeć jedynie do męża, czy nie oddaje się nigdy innemu?

KAPELAN. — Nic pospolitszego.

ORU. — Twoi prawodawcy karzą ich, albo też nie: jeżeli karzą, są to dzikie zwierzęta które znęcają się nad przyrodą; jeżeli nie karzą, to głupcy, którzy, przez daremny zakaz, podali na wzgardę swą powagę.

KAPELAN. — Winni, którzy uchodzą surowości praw, znajdują karę w powszechnem potępieniu.

ORU. — To znaczy, że funkcyje sprawiedliwości wypełnia brak zdrowego rozumu w narodzie, i że niedorzeczność opinii uzupełnia prawo.

KAPELAN. — Dziewczyna zbezczeszczona nie może znaleźć męża.

ORU. — Zbezczeszczona! dlaczego?

KAPELAN. — Żonę niewierną otacza, mniej lub więcej, wzgarda.

ORU. — Wzgarda! dlaczego?

KAPELAN. — Młody człowiek nazywa się nikczemnym, uwodzicielem.

ORU. — Nikczemnym! uwodzicielem! dlaczego?

KAPELAN. — Ojciec, matka i dziecko są w rozpacz. Mąż niewierny jest rozpustnikiem, mąż zdradzony podziela hańbę żony.

ORU. — Cóż za potworną sieć nedorzecznosci przedstawiasz mi oto! a jeszcze nie mówisz wszystkiego; skoro tylko bowiem pozwolono sobie rozrządzić, wedle swego widzimisię, pojęciami sprawiedliwości i własności, odjąć albo nadać rzeczom dowolny charakter, kojarzyć z pewnymi uczynkami lub też wyłączać z nich dobro i zło, radząc się jedynie swego kaprysu, wypływają z tego wzajemne przygany, oskarżenia, podejrzenia, tyrania, zawiść, zazdrość, oszukaństwa, zgryzoty, ukrywanie się, obłuda, szpiegostwo, pułapki, waśnie, kłamstwa; córki okłamują rodziców, mężowie żony, żony mężów; córki, tak, jestem tego pewny, będą dusiły własne dzieci; podejrzliwi ojcowie będą lekceważyć i zaniedbywać swoje; matki opuszczą je i zdadzą na łaskę losu, a zbrodnia i rozpusta wyłonią się we wszelakiej postaci. Wiem to wszystko, jakgdybym żył pośród was. Tak jest, ponieważ tak musi być; i owo społeczeństwo, którego piękny porządek wychwała wam jego naczelnik, musi być jedynie zbiorowiskiem obłudników, którzy potajemnie depcą nogami prawo, lub też nieszczęśliwców, którzy, w swej uległości, stają

się sami narzędziem własnej karności; albo głupców, w których przesąd do szczętu zdławił głos natury, lub wreszcie istot niewydarzonych, w których natura nie domaga się swoich praw.

KAPELAN. — Jakbyś na to patrzył. Ale wy się przecież nie żenicie?

ORU. — Żenimy się.

KAPELAN. — Cóż to jest, to wasze małżeństwo?

ORU. — Pozwolenie mieszkania we wspólnej chacie i sypania we wspólnym łożu, dopóki nam to odpowiada.

KAPELAN. — A skoro wam przestanie odpowiadać?

ORU. — Rozłączamy się.

KAPELAN. — A cóż staje się z dziećmi?

ORU. — O cudzoziemcze! to pytanie do reszty mi odśtania głęboką niedolę twego kraju. Wiedz, mój przyjacielu, że tutaj, urodzenie dziecka jest zawsze szczęściem, a śmierć jego przedmiotem łez i żalów. Dziecko jest bardzo cenne, ponieważ ma się stać człowiekiem; toteż, dbamy o nie o ileż więcej niż o rośliny i zwierzęta! Urodzenie dziecka staje się przyczyną radości domowej i publicznej; jestto pomnożenie majątku dla chaty, i siły dla narodu; to para ramię i ręk więcej w Otaiti; widzimy w niem rolnika, rybołowcę, myśliwca, żołnierza, małżonka, ojca. Wracając z chaty męża do domu rodziców, żona zabiera z sobą dzieci które wniosła w posagu; dzieli się po połowie te, które urodziły się w czasie wspólnego pożycia, wyrównując, o ile to możliwe, płęć męzką i żeńską, w ten sposób aby przypadła każdemu mniej więcej jednaka ilość dziewcząt i chłopców.

KAPELAN. — Ależ dzieci są długi czas ciężarem, zanim zaczną oddawać usługi.

ORU. — Przeznaczamy na ich wychowanie i na utrzymanie starców szóstą część wszystkich owoców kraju; ta danina idzie za nimi wszędzie. Widzisz tedy, że, im bardziej rodzina Otajczyka jest liczna, tem jest bogatsza.

KAPELAN. — Szóstą część!

ORU. — Tak, to jest pewny sposób zachęty do rozmnażania się, oraz pobudzenia do szacunku dla starców i troskliwości o dzieci.

KAPELAN. — Czy małżonkom zdarza się wracać niekiedy do siebie?

ORU. — Bardzo często; jednakże, najkrótszy czas małżeństwa jest od jednego księżyca do drugiego.

KAPELAN. — Chyba, że kobieta zajdzie w ciążę; wówczas, pożycie musi trwać najmniej dziewięć miesięcy?

ORU. — Mylisz się: ojcostwo, tak jak danina, idzie za dzieckiem wszędzie.

KAPELAN. — Mówiłeś mi coś o dzieciach, które kobieta wnosi mężowi w wianie...

ORU. — Oczywiście. Oto moja starsza córka ma troje dzieci; chodzą, są zdrowe, ładne, zapowiadają iż będą silne; skoro przyjdzie jej ochota wydać się za mąż, weźmie je z sobą, należą do niej: mąż przyjmie je z radością, a żona byłaby mu tem miłszą, gdyby była brzemienna czwartem.

KAPELAN. — Przez niego?

ORU. — Przez niego lub przez innego. Im więcej nasze dziewczęta mają dzieci, tembardziej są poszu-

kiwane; im bardziej chłopcy są krzepcy i silni, tem są bogatsi; toteż, o ile dajemy pilne baczenie aby uchronić młodych od zbliżenia z drugą płcią przed wiekiem płodności, o tyle zachęcamy do parzenia się, skoro chłopcy są dojrzały, a dziewczęta sposobne do zapłodnienia. Niepodobna ci ocenić doniosłości usługi jaką oddałeś córce mojej Thii, jeżeli uczyniłeś ją brzemienną. Matka nie będzie jej już powtarzała przy każdym księżycu: „Ależ, Thio, o czem ty myślisz? Nie zachodzisz w ciążę; masz dziewiętnaście lat; powinnabyś już mieć dwoje dzieci, a nie masz żadnego. Kto zechce wziąć cię do domu? Jeżeli stracisz w ten sposób młode lata, co będziesz robić na starość? Widocznie, Thio, musisz mieć jakąś wadę, która oddała od ciebie mężczyzn. Popraw się, moje dziecko; w twoim wieku, byłam już trzy razy matką“.

KAPELAN. — Jakich ostrożności używacie, aby chronić dorastających chłopców i dziewczęta?

ORU. — To główny przedmiot domowego wychowania i najważniejszy punkt obyczajności publicznej. Chłopcy nasi, aż do dwudziestudwu lat, dwa lub trzy lata poza wiek dojrzałości, chodzą okryci długą tuniką, z biodrami opasanemi cienkim łańcuszkiem. Przed wiekiem dojrzałości, dziewczętom nie wolno wychodzić bez zasłony. Zdjąć łańcuszek, podnieść zasłonę, to wykroczenia, które zdarzają się rzadko, ponieważ tłómaczymy młodym zawczasu przykre ich następstwa. Ale, z chwilą gdy chłopiec doszedł pełni sił, gdy oznaki męskości ujawniają się wyraźnie i gdy częsty wypływ oraz jakość płynu nasiennego

daje nam tego pewność; z chwilą gdy młoda dziewczyna wędnie, smutnieje i dochodzi dojrzałości sposobnej do powzięcia pragnień, budzenia ich i zaspakajania z pożytkiem, ojciec odwiązuje synowi łańcuch i obcina mu paznokiec przy pośrednim palcu prawej ręki; matka zdejmuje córce zasłonę. Chłopiec może zabiegać się o kobietę i być celem jej zabiegów; dziewczyna może przechadzać się publicznie z odkrytą twarzą i obnażoną piersią, przyjąc lub odtrącić pieśczoły mężczyzny. Wskazuje się jedynie z góry chłopcu dziewczęta, dziewczynie chłopców, którym należy dać pierwszeństwo. Dzień wyzwolenia dziewczyny albo chłopca jest wielkim świętem. Jeżeli chodzi o dziewczynę, w wilię, młodzi chłopcy zbierają się dokoła chaty: przez całą noc powietrze rozbrzmiewa śpiewem oraz dźwiękami instrumentów. W dzień, ojciec i matka prowadzą ją w zakole, gdzie młodzież tańczy i ćwiczy się w skokach, pasowaniu się i wyścigach. Roztacza się przed nią nagiego mężczyznę pod wszelką postacią i we wszelkich pozach. Jeżeli chodzi o chłopca, wówczas młode dziewczęta raczą go swoim widokiem, i ukazują jego spojrzeniom nagą kobietę bez ograniczeń i tajemnic. Reszta ceremonii odbywa się na łożu z liści, jak to widziałeś za przybyciem do nas. O schyłku dnia, dziewczyna wraca do chaty rodziców, lub też przechodzi do chaty tego którego wybrała, i zostaje tam jak długo się jej podoba.

KAPELAN. — Zatem, ta uroczystość jest albo nie jest dniem małżeństwa?

ORU. — Rzekłeś...

A. — Co ja tu widzę na kraju...

B. — To notatka, w której dobry kapelan powiada, że przepisy rodziców co do wyboru chłopców i dziewcząt są pełne rozsądku oraz bardzo zmyślnych i użytecznych spostrzeżeń, ale że usunął ten katechizm, który ludziom tak zepsutym i powierzchownym jak my wydałby się bezgranicznie rozwiązyły. Dodaje wszelako, iż nie bez żalu odrzucił te szczegóły, w których widziałoby się, po pierwsze, jak daleko naród, który zajmuje się nieustannie ważnym przedmiotem, może dojść w swoich poszukiwaniach bez pomocy fizyki i anatomii; powtóre, różnice w pojmowaniu urody w kraju gdzie patrzy się na formy z punktu widzenia chwilowej przyjemności, a u ludu który ocenia je wedle bardziej trwałego pożytku. U nas, aby kobietę uznano za piękną, wymaga się lśniącej cery, wyniosłego czoła, pięknych oczu, harmonijnych i delikatnych rysów, wiotkiej kibici, małych ust, małych rąk, małej stopy... Tam, prawie żaden z tych czynników nie wchodzi w rachubę. Kobieta, na którą zwracają się wszystkie oczy i którą ścigają pragnienia, jest ta, która przyrzeka wiele dzieci, i która wróży, iż będą czynne i inteligentne, odważne, zdrowe i silne. Niema prawie nic wspólnego pomiędzy Wenus ateńską a Wenus Otaiti: jedna jest bóstwem miłostek, druga płodności. Pewna Otajka mówiła raz do drugiej kobiety z tego kraju: „Jesteś ładna, ale rodzisz brzydkie dzieci; ja jestem brzydka, ale rodzę ładne dzieci; toteż, mężczyźni przekładają mnie nad ciebie“.

Po tej notatce kapelana, Oru ciągnie dalej.

ORU. — Szczęśliwym momentem, dla młodej dziewczyny i jej rodziców, jest chwila, w której spostrzeże

oznaki ciąży. Wstaje; przybiega; zarzuca ramiona dokoła szyi matki i ojca; pośród wybuchów zobopólnej radości oznajmia im to wydarzenie. „Mamo! ojczulku! uściskajcie mnie; jestem w ciąży! — Czy to tylko pewne? — Zupełnie pewne. — I z kim? — Z takim a takim“...

KAPELAN. — W jaki sposób może wymienić imię ojca?

ORU. — Jakże chcesz aby go nie znała? Czas trwania miłości jest u nas określony tak samo jak małżeństwo: sięga conajmniej od jednego do drugiego księżyca.

KAPELAN. — I przepisu tego przestrzega się ściśle?

ORU. — Zaraz osądzisz. — Po pierwsze, przeciąg księżyca nie jest długi; dalej, skoro dwóch ojców ma uzasadnione pretensje do dziecka, przestaje ono należeć do matki.

KAPELAN. — Do kogóż tedy należy?

ORU. — Do tego z dwóch, któremu woli je oddać; oto cały jej przywilej; że zaś dziecko jest samo w sobie przedmiotem szacunku i bogactwa, pojmujesz, iż, pośród nas, rozpustnice są rzadkie i że młodzi chłopcy stronią od nich.

KAPELAN. — Macie zatem u siebie także rozpustnice? Bardzom rad z tego.

ORU. — Mamy ich nawet niejeden rodzaj; ale odciągasz mnie od przedmiotu. Skoro tedy dziewczyna zajdzie w ciążę, jeżeli okaże się iż ojciec dziecka jest to młody człowiek piękny, dobrze zbudowany, dzielny, inteligentny i pracowity, nadzieja iż dziecko odziedziczy jego cnoty budzi nową radość

Wstyd ponosi dziewczyna jedynie w razie złego wyboru. Wyobrażasz sobie, jaką wagę przywiązujemy do zdrowia, piękności, siły, bystrości, odwagi: pojdziesz tedy, w jaki sposób, bez przymusu z naszej strony, przywileje krwi muszą się u nas przechowywać wiecznie. Ty, który przebiegłeś rozmaite okolice, powiedz, czy zauważyłeś w jakim kraju tylu pięknych mężczyzn i tyle pięknych kobiet co w Otaiti? Patrz na mnie: jak ci się wydają? Otóż, jest tutaj dziesięć tysięcy mężczyzn bardziej rosłych, silnych, ale ani jednego dzielniejszego odemnie; toteż, matki polecają mnie często córkom.

KAPELAN. — Ale, ze wszystkich dzieci które możesz spłodzić poza własną chatą, cóż ci się dostaje?

ORU. — Co czwarty chłopiec lub dziewczyna. Ustaliły się u nas prawa obiegu mężczyzn, kobiet i dzieci, lub też ramión wszelkiego wieku i do wszelakich funkcyj, o wiele zaiste donioślejsze niż rozdział waszych produktów, które są jedynie ich owocem.

KAPELAN. — Rozumiem. A co są te czarne zasłony które spotykam niekiedy?

ORU. — Oznaka bezpłodności wskutek przyrodzonej wady lub podeszłego wieku. Ta, która zdejmie zasłonę i zbliży się do mężczyzn, jest rozpustnicą; ten, który podniesie zasłonę i zbliży się do kobiety niepłodnej, jest rozpustnikiem.

KAPELAN. — A szare zasłony?

ORU. — Znak przewlekłej choroby. Ta, która porzuci zasłonę i zbliży się do mężczyzn, jest rozpustnicą; ten, który jej uchyli i zbliży się do kobiety chorej, jest rozpustnikiem.

KAPELAN. — Czy macie jakie kary na rozpustę?

ORU. — Żadnej, prócz nagany.

KAPELAN. — Czy ojciec może mieć sprawę z własną córką, matka z synem, brat z siostrą, mąż z cudzą żoną?

ORU. — Dlaczego nie?

KAPELAN. — Niechby już było porubstwo; ale kazirodztwo, ale cudzołozstwo!...

ORU. — Co mają oznaczać te słowa: porubstwo, kazirodztwo, cudzołozstwo?

KAPELAN. — Zbrodnie, straszliwe zbrodnie, za które palą w moim kraju na stosie.

ORU. — Czy za to w twoim kraju palą czy nie palą, mało mnie obchodzi. Ale nie będziesz sądził obyczajów Europy na podstawie obyczajów Otaiti, ani, tem samem, odwrotnie: trzeba nam bardziej pewnego prawidła; gdzież je znajdziemy? Czy znasz jakie inne niż dobro powszechne i poszczególny pożytek? A teraz, powiedz mi, w czem owo rzekome kazirodztwo sprzeczne jest z tym podwójnym celem? Mylisz się, przyjacielu, skoro sądzisz, iż raz ogłosiwszy prawo, wymyśliwszy zelżywą nazwę, uchwalwszy karę, przesądziło się już o rzeczy. Odpowiedz tedy, co rozumiesz pod kazirodztwem?

KAPELAN. — Ależ, kazirodztwo...

ORU. — Kazirodztwo?... Czy dawno twój robotnik bez głowy, bez rąk i narzędzi sporządził świat?

KAPELAN. — Nie.

ORU. — Czy uczynił cały rodzaj ludzki naraz?

KAPELAN. — Nie. Stworzył jedynie mężczyznę i kobietę.

ORU. — Czy mieli dzieci?

KAPELAN. — Oczywiście.

ORU. — Przypuśćmy, że tych dwoje pierwszych rodziców miało jedynie córki i że ich matka zmarła pierwsza; lub że mieli jedynie synów, i że kobieta straciła swego małżonka?

KAPELAN. — Przypierasz mnie do muru; ale darmo-
byś gadał, kazirodztwo jest potworną zbrodnią;
mówmy o czem innym.

ORU. — Wyborny sposób argumentacji. Nie odezwę
się ani słowem, dopóki mi nie powiesz, na czem
polega okropność kazirodztwa.

KAPELAN. — A więc, przyznaję, iż, być może, kazi-
rodztwo nie obraża w niczem przyrody; ale czy
nie wystarcza iż grozi ustrojowi społecznemu? W co
obróciłoby się bezpieczeństwo monarchy i spokój
państwa, gdyby cały naród, składający się z wielu
milionów ludzi, skupiał się około jakich pięćdziesięciu
ojców rodziny?

ORU. — Najgorszą możliwością byłoby to, iż tam
gdzie jest tylko jedno duże społeczeństwo, byłoby
pięćdziesiąt małych; więcej szczęścia a mniej zbrodni.

KAPELAN. — Sądzę wszelako, iż, nawet tutaj, syn
rzadko zbliża się do matki.

ORU. — Chyba iż ma dla niej bardzo wiele sza-
cunku, oraz czułość, która mu każe zapomnieć o nier-
ówności wieku i przełożyć kobietę czterdziestoletnią
nad dziewiętnastoletnią dziewczynę.

KAPELAN. — A stosunki ojców z córkami?

ORU. — Też są nie częste, chyba że córka jest
brzydka i mało poszukiwana. Jeżeli ojciec ją kocha,
troszczy się o to, aby jej zapewnić posag w dzieciach.

KAPELAN. — To każe mi przypuszczać, iż los kobiet upośledzonych przez naturę nie musi być zbyt szczęśliwym w Otaiti.

ORU. — To dowodzi, że nie masz wysokiego pojęcia o wspaniałomyślności naszej młodzieży.

KAPELAN. — Co do związków braci z siostrami, nie wątpię iż muszą być bardzo pospolite.

ORU. — I bardzo pochwalane.

KAPELAN. — Wedle tego co mówisz, ta namiętność, która powoduje tyle zbrodni i nieszczęść w naszych stronach, byłaby tutaj zupełnie niewinna.

ORU. — Cudzoziemcze! okazujesz brak rozsądku i pamięci: rozsądku, ponieważ, wszędzie gdzie jest zakaz, musi on rodzić pokusę czynienia rzeczy zakazanej i czynienie jej w istocie; pamięci, ponieważ nie pomnisz już o tem co ci powiedziałem. Mamy stare rozpustnice, które wychodzą w nocy bez czarnej zasłony i przyjmują mężczyzn, mimo iż nie może wyniknąć z tego zbliżenia; jeżeli się je rozpozna albo przydybie, wygnanie na północną część wyspy albo niewolnictwo staje się ich karą; toż samo tyczy nieletnich dziewcząt, które uchylą białej zasłony bez wiedzy rodziców (mamy dla takich zamknięte miejsce w naszej chacie); młodych ludzi którzy zdejmują łańcuszek przed czasem przepisany przez naturę i prawo (karcimy za to ich rodziców); kobiety, którym czas ciąży wydaje się zbyt długim; kobiety i dziewczęta nie przestrzegające szarej zasłony; ale, w rzeczy, nie przywiązujemy wielkiej wagi do wszystkich tych błędów. Nie zdołałbyś uwierzyć, do jakiego stopnia

pojęcie osobistego lub powszechnego bogactwa, zespolone w naszych głowach z pojęciem zaludnienia, oczyszcza obyczaje w tej mierze.

KAPELAN. — A czy namiętność dwóch mężczyzn dla jednej i tej samej kobiety, lub pociąg dwóch kobiet albo dziewcząt do jednego mężczyzny nie powoduje zaburzeń?

ORU. — Widziałem w życiu zaledwie parę przykładów czegoś podobnego: wybór kobiety lub mężczyzny kładzie kres wszystkiemu. Gwałt ze strony mężczyzny byłby poważnym błędem; ale trzeba publicznej skargi, jest zaś prawie niesłychanem, aby dziewczyna lub kobieta poskarżyła się. Jedyną rzeczą jaką zauważyłem, to iż kobiety mniej okazują współczucia dla szpetnych mężczyzn, niż młodzi ludzie dla upośledzonych kobiet, i nie jesteśmy z tego nieradzi.

KAPELAN. — Nie znacie zgoła, wedle tego co widzę, zazdrości; ale tkliwość małżeńska, miłość ojeowska, te dwa uczucia tak potężne i tak słodkie, jeżeli nie są wam zupełnie obce, muszą być, w każdym razie, wątle.

ORU. — Zastąpiliśmy je innem, które jest o wiele bardziej powszechne, mocne i trwałe: interesem. Połóż rękę na sumieniu; usuń na bok tę fanfaronadę cnoty, która jest bezustanku na ustach twoich towarzyszy, a która nie mieszka w głębi ich serca. Powiedz mi, czy, w jakiegokolwiek okolicy świata, istnieje ojciec rodziny, który, gdyby nie wstyd co go powstrzymuje, nie wolałby raczej stracić żony niż mienia i dostatku całego życia? Bądź pewny, iż, wszędzie gdzie człowiek

będzie przywiązany do życia swego bliźniego jak do swego łóżka, swego zdrowia, spokoju, swojej chaty, owoców, pola, uczyni dlań wszystko co mu będzie możebne. Tutaj-to łyzy zraszają łoże dziecka które cierpi; tutaj pielęgnuje się matkę w chorobie; tutaj szanuje się płodną kobietę, dziewczynę dojrzałą dla męża, dorastającego chłopca; tutaj rodzice zajmują się ich wychowaniem, ponieważ zachowanie ich jest zawsze wzrostem, a strata uszczupleniem mienia.

KAPELAN. — Obawiam się, że ten dziki ma słuszność. Biedny chłopiec z naszych stron, który zamęcza żonę aby ulżyć koniowi, daje ginąć dziecku bez pomocy, a wzywa lekarza do chorego wołu.

ORU. — Nie bardzo rozumiem to co rzekłeś; ale, skoro wrócisz do swej tak pięknie urządzonej ojczyzny, staraj się wprowadzić tam tę sprężynę, a wówczas uczujecie wartość rodzącego się dziecka oraz znaczenie zaludnienia. Czy chcesz, abym ci odsłonił jedną tajemnicę? ale uważaj abyś jej nie zdradził. Przybywacie: ofiarujemy wam nasze żony i córki; dziwicie się temu, objawiacie wdzięczność która nas pobudza do śmiechu, dziękujecie nam, podczas gdy my wymierzamy na ciebie i twoich towarzyszy najważniejszy ze wszystkich podatków. Nie zażądaliśmy od ciebie pieniędzy; nie rzuciliśmy się na twoje towary; wzgardziliśmy twymi zapasami żywności; ale żony nasze i córki postarały się wycisnąć krew z twoich żył. Skoro się stąd oddalisz, zostawisz nam dzieci; ten haracz ściągnięty z waszych osób, z waszej własnej istoty, czyż nie jest, twojem zdaniem, tyle

wart co inny? A jeżeli chcesz ocenić jego wartość, wyobraź sobie, że masz przebiec dwieście mil wybrzeża, i że, co każde dwadzieścia mil, nakładają na ciebie podobny podatek. Mamy olbrzymie przestrzenie ziemi leżące odłogiem, brak nam rąk, i ciebie poprosiliśmy o nie. Mamy klęski zaraźliwych chorób do wyrównania, i ciebie użyliśmy dla zapełnienia szczyrb. Mamy nieprzyjaciół, potrzeba nam żołnierzy: poprosiliśmy ciebie, abyś nam ich sporządził. Liczba kobiet i dziewcząt jest u nas zbyt duża na liczbę mężczyzn: zaprzęgliśmy cię do naszych zadań. Pomiędzy temi kobietami i dziewczętami, znajdują się takie z których nie mogliśmy uzyskać dzieci, i te właśnie podsunęliśmy pierwsze waszym uściskom. Mamy zapłacić haracz w ludziach gniołącemu nas sąsiadowi: ty i twoi towarzysze pokryjecie jego koszta: za pięć lub sześć lat, pošemy mu waszych synów, jeżeli będą mniej wari od naszych. Jesteśmy silniejsi, zdrowsi od was, ale rychło spostrzegliśmy iż przewyższacie nas inteligencyą: natychmiast przeznaczylimy garstkę najładniejszych kobiet i dziewcząt, iżby przyjęły nasienie rasy lepszej niż nasza. Jestto próba o jakąśmy się pokusili i która może się powieść. Wydobyliśmy z ciebie i z twoich jedyną korzyść jaką mogliśmy wydobyć; wierzaj mi, mimo iż dzicy, umiemy także rachować. Udaj się gdzie chcesz, wszędzie znajdziesz człowieka równie chytrego jak sam jesteś. Da ci zawsze jedynie to, co nie zda mu się na nic, a zażąda od ciebie zawsze tego, co mu jest użyteczne. Jeżeli ci ofiaruje kawałek złota za kawałek żelaza, to dlatego, iż nie dba zgoła o złoto a ceni

żelazo. Ale, powiedz mi, dlaczego ty nie jesteś ubrany tak jak drudzy? Co znaczy ten długi płaszcz który otula cię od stóp do głów, i ten szpiczasty worek jaki opuszczasz na ramiona lub naciągasz na uszy?

KAPELAN. — Znaczy, iż, tak jak mnie widzisz, zaciągnąłem się do społeczności ludzi, których nazywa się, w mojej ojczyźnie, mnichami. Najświętszym z ich słubów jest ten, iż nie zbliżą się nigdy do żadnej kobiety i nie będą płodzić dzieci.

ORU. — Cóż tedy robisz?

KAPELAN. — Nic.

ORU. — I władze twoje znoszą to plemię próżniaków, najgorsze ze wszystkich?

KAPELAN. — Czynią więcej: szanują ich i nakazują ich szanować.

ORU. — Pierwszą moją myślą było, iż natura, jakiś przypadek lub wybryk okrucieństwa pozbawiły cię zdolności płodzenia istot podobnych sobie i, że przez litość, współobywatele woleli raczej zostawić was przy życiu niż zabijać. Ale, mnichu, córka powiedziała mi, że ty jesteś mężczyzną, i to mężczyzną krzepkim niegorzej Otajczyka, i spodziewa się, iż twoje mnogie pieszczoty nie będą bezowocne. Teraz zrozumiałem, dlaczego wykrzykiwałeś wczoraj wieczór: „Ale moja religia! ale mój stan!“ Czy mógłbyś mnie pouczyć o pobudkach względów i szacunku jakich rząd wam używa?

KAPELAN. — Nie znam ich.

ORU. — Wiesz bodaj, dla jakiej racyi, będąc mężczyzną, skazałeś się dobrowolnie na zaparcie własnej mękości?

KAPELAN. — Toby było zbyt długie i trudne do tłumaczenia.

ORU. — A co się tyczy owych ślubów bezpłodności, czy mnichy przestrzegają ich ściśle?

KAPELAN. — Nie.

ORU. — Byłem tego pewny. Czy macie także i mniszki żeńskiego rodzaju?

KAPELAN. — Owszem.

ORU. — Równie cnotliwe jak mnichy-mężczyźni?

KAPELAN. — Poddane ściślejszemu zamknięciu, usychają z boleści, giną z nudy.

ORU. — I zniewaga uczyniona naturze jest pomszczona. O, szpetny kraj! Jeżeli wszystko tam odbywa się tak jak prawisz, jesteście większymi barbarzyńcami od nas“.

Dobry kapelan opowiada, iż spędził resztę dnia przechadzając się po wyspie, odwiedzając chaty, i że wieczór, po spożyciu posiłku, ojciec i matka błagali go aby się przespał z drugą córką; że Palli pojawiła się w tym samym negliżu co Thia, i że miał sposobność wykrzyknąć kilka razy w ciągu nocy: „Ale moja religia! ale mój stan!“ Trzeciej nocy, miotały nim te same wyrzuty z Asto, najstarszą; czwartą zaś poświęcił, przez uprzejmość, żonie gospodarza.

IV. Dalszy ciąg dyalogu.

A. — Podobą mi się ten uczynny kapelan.

B. — A mnie o wiele więcej obyczaje Otaiti i wywody Oru.

- A. — Mimo iż nieco przybrane po europejsku.
B. — Nie wątpię o tem.

Tutaj, dobry kapelan skarży się, iż krótkość pobytu w Otaiti nie pozwoliła mu lepiej poznać obyczajów tego narodu, dość roztropnego aby, z własnego instynktu, zatrzymać się na mierności, lub też dość szczęśliwego aby zamieszkiwać klimat którego żyzność pozwala mu trwać w błogosławionem uśpieniu; dość czynnego aby zabezpieczyć się co do koniecznych potrzeb życia, a dość obojętnego aby jego niewinność, spokój i szczęśliwość nie potrzebowały się obawiać zbyt szybkiego postępu wiedzy. Nic tam, w mniemaniu i w prawach, nie było złem, prócz tego co było złem wedle natury. Prac i zbiorów dokonywano wspólnie. Pojęcie słowa własność było tam bardzo ciasne; uczucie miłości, sprowadzone do prostego fizycznego łaknienia, nie rodziło żadnego z właściwych nam zaburzeń. Cała wyspa przedstawiała obraz jednej szczęśliwej rodziny; chaty, to były niby poszczególne apartamenty naszych pałaców. Kończąc, kapelan zaręcza, że ci Otaiczyccy zawsze mu będą przytomni w pamięci; nieraz, wręcz doznawał pokusy aby porzucić swoje szaty i spędzić resztę dni między nimi; a obawia się, iż niejednym raz przyjdzie mu żałować że tego nie uczynił.

- A. — Niezależnie od tej pochwały, jakież użyteczne wnioski możnaby wydobyć z dziwacznych zwyczajów i obyczajów tego pierwotnego ludu?
B. — Co do mnie, widzę jasno, iż, skoro nie-

które przyczyny fizyczne, takie n. p. jak konieczność pokonania oporności gruntu, wprawiły w ruch przemyślność człowieka, rzut ten prowadzi go o wiele poza zamierzony cel, i, przekroczywszy granice potrzeby, niesie go w bezkresny ocean urojeń, z których już się nie wydobędzie. Oby szczęśliwy mieszkaniec Otaiti mógł się zatrzymać tam gdzie się znajduje! Widzę, iż, wyjąwszy ten ustronny zakątek naszego globu, nie było nigdzie obyczajów i nie będzie ich może nigdzie.

A. — Co rozumiesz tedy przez „obyczaje“?

B. — Rozumiem powszechne poddanie prawu, dobremu lub złemu, oraz zgodne z niem postępowanie. Jeżeli prawa są dobre, obyczaje są dobre; jeżeli złe, obyczaje są złe; jeżeli prawa, dobre lub złe, nie są przestrzegane, co jest najgorszym stanem społeczeństwa, niema wogóle obyczajów. Owóż, jakże chcesz, aby prawa zażywały posłuchu, kiedy kłóć się między sobą? Przebiegnij dzieje wieków i narodów, zarówno dawnych jak nowych, a ujrzysz wszędzie ludzi podległych trzem kodeksom: kodekso-
wi natury, społeczności i religii, oraz zniewolonych naruszać kolejno te trzy kodeksy które nigdy nie były z sobą w zgodzie; z czego wynikło, iż nie było nigdy w żadnym kraju, jak to Oru odgadł mówiąc o naszym, ani człowieka, ani obywatela, ani religianta.

A. — Z czego wyciągniesz zapewne wniosek, iż, skoro moralność oprze się na wiecznych stosunkach istniejących między ludźmi, prawo religijne stanie się

może zbyt, prawo zaś społeczne powinno być jedynie wyrazem prawa natury.

B. — O ile nie chce mnożyć ludzi złych, zamiast czynić dobrych.

A. — Lub też, jeżeli się uzna potrzebę zachowania wszystkich trzech praw, dwa ostatnie powinny być jeno ścisłym odbiciem pierwszego, które przynosimy wyryte na dnie naszych serc i które będzie zawsze najsilniejsze.

B. — To nie jest ściśle. Przynosimy, rodząc się, jedynie podobieństwo organizacyi z innymi istotami; te same potrzeby, pociąg do tych samych przyjemności, wspólną niechęć do tych samych przykrości: oto co czyni człowieka tem czem jest, i powinno być podstawą jego moralności.

A. — To nie jest łatwe.

B. — To jest tak trudne, iż skłonny jestem wierzyć, że najbardziej dziki lud na kuli ziemskiej, Otajczycy, o ile się trzymają ściśle prawa natury, bliżsi są dobrego prawodawstwa niż jakikolwiek naród cywilizowany.

A. — Ponieważ łatwiej im jest pozbyć się zbytecznego nieokrzesania, niż nam cofnąć się z drogi i wyleczyć z naszych przesądów.

B. — Zwłaszcza tych, które tyczą związków kobiety z mężczyzną.

A. — Być może. Ale zacznijmy od początku. Zapytajmy poprostu natury i przyjrzyjmy się, bez uprzedzenia, co nam ona odpowie w tym względzie.

B. — Zgadza się.

A. — Czy małżeństwo jest rzeczą naturalną?

B. — Jeżeli rozumiesz przez małżeństwo skłonność jaką samica okazuje jednemu samcowi wśród wszystkich innych, lub też jaką samiec zdradza dla jednej samicy; wzajemną skłonność, w której następstwie powstaje związek mniej lub więcej trwały, uwieczniający gatunek przez rozmnożenie osobników, w takim razie małżeństwo jest rzeczą naturalną.

A. — Myślę jak i ty; skłonność taką bowiem można zauważyć nietylko w rodzaju ludzkim, ale i wśród innych gatunków zwierząt: dowodem ów liczny hufiec samców, które na wiosnę oblegają jedną i tę samą samicę, a z których jeden tylko uzyskuje prawa małżonka. A zaloty?

B. — Jeżeli rozumiesz przez zaloty tę rozmaitość środków, gwałtownych lub tkliwych, jakie namiętność podsuwa czy samcowi czy samicy dla uzyskania tego wyróżnienia, prowadzącego do najśłodziej, najważniejszej i najpowszechniejszej ze wszystkich rozkoszy, zaloty są rzeczą naturalną.

A. — Jestem twojego zdania. Dowodem owe przeróżne przymilności, jakie rozwija samiec aby się spodobać samicy, samica zaś aby podniecić namiętność i utrwalić skłonność samca. A kokieterya?

B. — Jestto kłamstwo, polegające na udawaniu namiętności której się nie czuje i przyrzekaniu wyróżnienia którego się nie użyczy. Samiec-kokiet drwi sobie z samicy. Samica-kokietka drwi sobie z samca; przewrotna igraszka która sprowadza niekiedy najbardziej oplakane nieszczęścia; śmieszna komedia, za którą oszukujący i oszukiwany jednaką ponoszą karę przez stratę najszacowniejszych chwil swego życia.

A. — Zatem kokieterya, wedle ciebie, nie jest objawem naturalnym?

B. — Tego nie mówię.

A. — A stałość?

B. — Nie powiem ci w tej materji nic lepszego niż Oru powiedział kapelanowi. Biedna próżnostka dwojga dzieci, które nie znają samych siebie i którym pijaństwo chwili przesłania niestałość wszystkiego co ich otacza!

A. — A wierność, ten rzadki fenomen?

B. — U nas, jest, prawie zawsze, uporem i męczarnią uczciwego mężczyzny i uczciwej kobiety; w Otaiti, chimera.

A. — A zazdrość?

B. — To namiętność ubogiego i skąpego bydlęcia, które lęka się iż mu czegoś braknie; uczucie niegodne człowieka; następstwo naszych fałszywych obyczajów oraz prawa własności rozciągniętego na przedmiot czujący, myślący, obdarzony wolą i swobodą.

A. — Zatem zazdrość, wedle ciebie, nie jest uczuciem naturalnem?

B. — Tego nie mówię. Przywary i cnoty, wszystko zarówno jest w naturze.

A. — Zazdrośnik jest ponury.

B. — Jak tyran, ponieważ ma świadomość swej tyranii.

A. — A wstyd?

B. — Ależ ty mnie wyciągasz na wykład psychologii miłosnej. Człowiek nie chce aby go niepokojono ani też przeszkadzano mu w jego rozkoszach.

Słodycze miłości wiodą za sobą niemoc, która zdalaby go bez obrony na łup nieprzyjaciela. Oto i cała naturalna podstawa wstydu; reszta jest narzucona.

W trzecim ustępie, którego ci nie odczytałem, kapelan czyni uwagę, iż Otajczyk nie rumieni się za mimowolne drgnienia jakie budzą się w nim w sąsiedztwie żony, w pośrodku córek, i że te przyglądają się im, niekiedy ze wzruszeniem, nigdy z zakłopotaniem. Skoro tylko kobieta stała się własnością mężczyzny, ukradkowe zaś posiadanie dziewczyny zaczęto uważać jako kradzież, zrodziły się pojęcia wstydu, powściągliwości, przystojności, urojonych cnót i występków; jednym słowem, silono się stworzyć, między dwiema płciami, zapory, któreby im przeszkodziły zapraszać się wzajem do pogwałcenia naruszonych praw; które to zapory wywierały często wręcz przeciwny skutek, rozpalając wyobraźnię i drażniąc pragnienia. Skoro widzę drzewa zasadzone dookoła naszych pałaców, oraz chusteczkę która kryje i odsłania zarazem część piersi kobiecej, mam wrażenie, iż rozpoznaję bezwiedny powrót ku lasowi, oraz tajemne wołanie do pierwotnej swobody naszego dawnego pomieszkania. Otajczyk rzekłby nam: „Dlaczego się kryjesz? Czego się wstydzisz? Czy robisz co złego, poddając się najdostojniejszemu popędowi przyrody? Mężczyzno, wystąp szczerze, jeżeli budzisz sympatyę. Kobieto, jeżeli ten mężczyzna ci odpowiada, przyjmij go z tą samą szczerością“.

A. — Nie złość się. O ile zaczynamy jak ludzie cywilizowani, rzadkiem jest abyśmy nie kończyli na sposób Otajski.

B. — Tak, te przedwstępne komedye konwenansu pochłaniają połowę życia genialnego człowieka.

A. — Zgoda; ale cóż to szkodzi, jeżeli ten zgubny pęd ducha ludzkiego, przeciw któremu tak się okrzykiwałeś przed chwilą, ulega, o tyleż, osłabieniu? Pewien współczesny filozof, zapytany dlaczego mężczyźni zabiegają się o kobiety, a nie kobiety o mężczyzn, odpowiedział, iż naturalnem jest prosić o coś tego, kto może w każdej chwili użyć.

B. — Argument ten wydawał mi się zawsze bardziej zmyślny niż przekonywujący. Natura, nieobyczajna jeżeli chcesz, prze, bez różnicy, jedną płęć ku drugiej; otóż, u dzikiego i bydlęcego człowieka, którego można sobie wyobrazić, ale który, być może, nie istnieje nigdzie...

A. — Nawet w Otaiti?

B. — Nawet... przestrzeń, dzielącą mężczyznę od kobiety, przebyłby ten któryby był najbardziej rozkochany. Jeżeli się ociągają, jeżeli umykają przed sobą, jeżeli się ścigają, unikają, zaczepiają, bronią, to dlatego, iż namiętność, nierówna w swych postępkach, nie działa w obojgu z jednaką siłą. Z czego wynika, że rozkosz rozlewa się, trawi i gaśnie z jednej strony, wówczas kiedy zaczyna się ledwie budzić z drugiej; stąd obustronne uczucie smutku. Oto wierny obraz tego, coby się działo między dwojgiem istot młodych, wolnych i zupełnie niewinnych. Ale, kiedy kobieta poznała, przez doświadczenie lub wychowanie, mniej lub więcej okrutne następstwa słodkiej chwili, serce jej drży za zbliżeniem mężczyzny. Serce mężczyzny nie drży; zmysły jego rozkazują, on słuca. Zmysły

kobiety przemawiają również; ale ona lęka się dać im uszu. Rzeczą mężczyzny jest sprawić, iżby zapomniała o tej obawie, upoić ją i porwać. Mężczyzna pozostaje pod działaniem całego naturalnego popędu do kobiety; naturalny popęd kobiety do mężczyzny, powiedziałby geometra, jest wypadkową z linii prostej namiętności i odwrotnie działającej linii obawy. Wypadkowa ta wikła się u nas mnóstwem rozmaitych czynników społecznych; czynników, które wszystkie prawie zmierają ku temu aby pomnożyć lekliwość jednej płci, a trwanie pościgu z drugiej. Jest to rodzaj taktyki, w której równolegle rozwijają się zasoby obrony i ataku. Uświęcono obronę kobiety; okryto hańbą gwałt mężczyzny; gwałt, który byłby jedynie lekkim wykroczeniem w Otaiti, a który stał się zbrodnią w naszym społeczeństwie.

A. — Ale w jaki sposób utrwaliło się, iż akt, którego cel jest tak podniosły, i do którego natura zaprasza zapomocą najsilniejszego pociągu; iż największa, najśłodsza, najniewinniejsza z rozkoszy stała się dla nas najobfitszem źródłem zepsucia i nieszczęść?

B. — Oru wytłómaczył to po dziesięć razy kapelanowi; posłuchaj go tedy raz jeszcze i staraj się zapamiętać.

Przez tyranję mężczyzny, który zmienił posiadanie kobiety w prawo własności.

Przez zwyczaje i obyczaje, które uzależniły związek małżeński od mnóstwa warunków.

Przez prawa społeczne, które poddały małżeństwo nieskończonym formalnościom.

Przez charakter naszego społeczeństwa, w którym

nierówność majątku i stanu wytworzyła stosowność lub niestosowność małżeństwa.

Przez dziwną sprzeczność, wspólną wszystkim istniejącym społeczeństwom, w których urodzenie dziecka, zawsze uważane jako wzrost bogactwa dla narodu, jest, częściej i pewniej jeszcze, wzrostem ubóstwa w rodzinie.

Przez polityczne widoki monarchów, którzy wszystko ściągnęli do swej korzyści i swego bezpieczeństwa.

Przez instytucje religijne, które przywiązały miano cnót i występków do spraw nie dopuszczających żadnej moralności.

Jakże daleko jesteśmy od natury i szczęścia! Władztwa natury nikt nie zdoła zniweczyć: darmo stawiać mu przeszkody i zapory; będzie trwało. Piszcie, ile wam się podoba, na tablicach spiżowych — aby się posłużyć wyrażeniem roztropnego Marka Aurelego — że rozkoszne pocieranie się o siebie dwóch naskórków jest zbrodnią; serce ludzkie będzie się dławić pomiędzy groźbą waszego napisu a gwałtownością swego popędu. Ale to nieujarzmione serce nie przestanie się buntować; i, po sto razy, w biegu życia, wasze przerażające głoski znikną naszym oczom. Wryjcie na marmurze: „Nie będziesz jadł ixyona ani gryfa; będziesz miał sprawę tylko z własną żoną; nie poślubisz swojej siostry“, ale nie zapomnijcie wzmaczać kar w miarę niedorzeczności zakazów; dojdziecie do okrucieństwa, a nie zdołacie wyrodzić we mnie głosu natury.

A. — Jakżeż szczupłym byłby kodeks narodów,

gdyby się go ściśle dostroiło do kodeksu natury! Ilekć błędów i występków oszczędziłoby się człowiekowi!

B. — Czy chcesz poznać skróconą historję prawie całej naszej nędzy? Oto ona: był człowiek naturalny; wprowadzono we wnętrze tego człowieka człowieka sztucznego, i wraz wszczęła się w tem wnętrzu wojna domowa, która trwa całe życie. To człowiek naturalny jest mocniejszy, to miażdży go człowiek moralny i sztuczny; w jednym i drugim wypadku, to smutne monstrum, szarpane, rwane klezczami, udręczone, rozciągnięte na kole, bezustanku jęczy, bezustanku jest nieszczęśliwe, czy to że przejmują je i upaja fałszywy zapal durny, czy też powala i gnębi fałszywa hańba. Mimo to, istnieją przemożne okoliczności, które sprowadzają człowieka do jego pierwotnej prostoty.

A. — Nędza i choroba, dwaj wielcy czarnoksiężnicy.

B. — Rzekleś. W istocie, cóż dzieje się wówczas z wszystkimi temi narzuconemi cnotami? W nędzy, męczyzna jest bez sumienia; w chorobie zaś, kobieta jest bez wstydu.

A. — Uważałem to.

B. — Ale drugim fenomenem, który również zapewne nie uszedł twej uwagi, jest to, iż powrót człowieka sztucznego i moralnego idzie krok w krok za postępnem od stanu choroby do stanu zdrowienia, i od stanu zdrowienia do zupełnego zdrowia. Chwila, w której niemoc się kończy, jest chwilą w której wojna domowa zaczyna się na nowo, i prawie zawsze z ujemnym wynikiem dla intruza.

A. — To prawda. Ja sam doświadczyłem, że człowiek naturalny objawia w rekonwalescencji się zgubną dla człowieka sztucznego i moralnego. Ale, ostatecznie, powiedz mi, czy trzeba człowieka cywilizować, czy też zostawić instynktowi?

B. — Mam odpowiedzieć szczerze?

A. — Oczywiście.

B. — Jeżeli zamierzasz być jego tyranem, cywilizuj go; zatruj go, ile tylko zdołasz, moralnością przeciwną naturze; stawiaj mu zapory wszelkiego rodzaju; otocz widmami które go będą straszyć; utrwaj na wieczność wojnę w jego wnętrzu; niechaj człowiek naturalny wciąż będzie w łańcuchach i pod stopami człowieka moralnego. Chcesz, aby był szczęśliwy i wolny? nie mieszaj się do jego spraw: dosyć nieprzewidzianych wydarzeń doprowadzi go do oświaty i skażenia. Bądź zawsze przekonany, że to nie dla was, ale dla siebie owi roztropni prawodawcy urobili was i wychowali na takich jakimi jesteście. Odwołuję się do wszystkich urzędów politycznych, społecznych i religijnych; zbadaj je do głębi: ujrzysz, jak rodzaj ludzki, z wieku na wiek, ugina kark w jarzmo, które garść hultajów stara się mu nałożyć. Miej się na baczności przed tym kto chce wprowadzać porządek. Urządzać, to znaczy zawsze narzucać się za pana innym, zakuwając ich w pęta: Kalabryjczycy są prawie jedynymi, których nie zdołały jeszcze omamić pochlebstwa prawodawców.

A. — I ten kalabryjski bezrząd podoba ci się?

B. — Zdaje się na wyrok doświadczenia, i za-

kładam się że ich barbarzyństwo mniej jest oplakane niż nasza cywilizacya. Ileż drobnych łajdaectw równoważy u nas okrucieństwo paru wielkich zbrodni, o które się robi tyle hałasu! Ludzie niecywilizowani przedstawiają mi się jako mnogość sprężyn rozprószonych i oddzielnych. Bezwątpienia, gdyby zdarzyło się niektórym z owych sprężyn zderzyć się, wówczas jedna albo druga, lub też obie, skruszyłyby się. Aby zapobiedz temu niebezpieczeństwu, osobnik o głębokiej mądrości i wzniosłym geniuszu skupił te sprężyny i złożył z nich machinę; i w tej machinie, nazwanej społecznością, wszystkie sprężyny stały się czynne, zależne jedna od drugiej, bezustanku napięte. Otóż, w ciągu jednego dnia, skruszyło się ich, w tym prawodawczym porządku, więcej, niż wprzód w ciągu roku w bezładzie przyrody. A cóż za hałas! cóż za spustoszenie! cóż za olbrzymie zniszczenie małych sprężynek, skoro dwie, trzy, cztery z tych ogromnych machin zderzą się o siebie gwałtownie!

A. — Zatem, wybrałbyś raczej stan natury dzikiej i nieokrzeseanej?

B. — Dalibóg, nie śmiałybym różstrzygać; ale wiem, że widywano nieraz człowieka z miasta jak zrzucił szaty i wracał do lasu, nigdy zaś nie widziano człowieka z lasu aby się ubrał i osiedlił w mieście.

A. — Często przychodziło mi na myśl, że suma dobra i zła zmienna jest dla każdej jednostki; ale że dola i niedola danego gatunku zwierzęcego ma swoje niepodobne do przekroczenia granice, i że, być może, wysiłki nasze przynoszą nam, w ostatecznym wyniku, tyleż utrapień co korzyści; tak, iż zadajemy

sobie mnóstwo trudu aby pomnożyć dwa człony zrównania, pomiędzy którymi zachodzi wiekuista i konieczna równość. Mimo to, nie wątpię iż przeciętna długość życia człowieka cywilizowanego jest większa niż u człowieka dzikiego.

B. — A jeżeli trwanie maszyny nie jest właściwą miarą jej większego lub mniejszego zużycia, cóż stąd wyciągniesz za wniosek?

A. — Widzę, iż, wszystko zważywszy, byłbyś skłonny uważać ludzi za tem bardziej złych i tem bardziej nieszczęśliwych, im bardziej są cywilizowani?

B. — Nie będę przebiegał wszystkich okolic świata, ale uprzedzam cię, iż stan człowieka wyda ci się szczęśliwym jedynie w Otaiti, a znośnym jedynie w pewnym zakątku Europy. Tam, podejrzliwi i zazdrośni o swoje bezpieczeństwo władcy dołożyli starań, aby go utrzymać w tem co nazywasz ogłupieniem.

A. — W Wenecyi może?

B. — Dlaczego nie? Nie zaprzeczysz przynajmniej, że nigdzie niema mniej nabytej oświaty, mniej sztucznej moralności i mniej urojonych cnót i przywar.

A. — Nie spodziewałem się pochwały tego rządu.

B. — Toteż go nie chwale. Wskazuję ci rodzaj rekompensaty za niewolę, jaką wszyscy cudzoziemcy odczuli i wysławiali.

A. — Nędzna kompensata!

B. — Być może. Grecy skazali na śmierć człowieka, który dodał jedną strunę do lutni Merkurego.

A. — I zakaz ten jest krwawą satyrą na ich pierwszych prawodawców. Należało przeciąć pierwszą strunę.

B. — Zrozumiałeś mnie. Wszędzie gdzie jest lutnia, są i struny. Dopóki naturalne popędy będą podlegały fałszerstwu, spodziewaj się spotkać niegodziwe kobiety.

A. — Jak pani Reymer.

B. — Okrutnych mężczyzn.

A. — Jak Gardeil.

B. — I ludzi nieszczęśliwych bez żadnej przyczyny.

A. — Jak Tanié, panna de la Chaux, kawaler Desroches i pani de la Carlière. To pewna, iż, na próżno szukałoby się w Otaiti przykładów podobnego zepsucia jak u dwojga pierwszych i podobnego nieszczęścia jak u tamtych trojga. Cóż tedy uczynimy? Wrócimy do natury? Czy poddamy się prawom?

B. — Będziemy przemawiali przeciw niedorzecznym prawom póty, póki nie uzyskamy ich naprawy; zanim to zaś nastąpi, będziemy im posłuszni. Ten, który, mocą własnej powagi, narusza złe prawo, uprawnia każdego innego do naruszenia dobrych. Mniej przedstawia niebezpieczeństw być szalonym z szaleńcami, niż być rozsądnym samemu. Powtarzajmy to samym sobie, krzyczymy bezustanku, iż przywiązano wstyd, karę i hańbę do uczynków niewinnych w swoim założeniu; ale nie popełniamy ich, ponieważ wstyd, kara i hańba są największemi ze wszystkich nieszczęść. Naśladujmy dobrego kapelana, który był mnichem we Francyi, dzikim w Otaiti.

A. — Radzisz tedy wdziwać habit kraju do którego się jedzie, a zachować habit kraju w którym się jest.

B. — A zwłaszcza być uczciwym i szczerym aż do ostatnich granic w odniesieniu do kruchych istot,

które nie mogą spełnić naszego szczęścia nie wyrzekając się najszacowniejszych przywilejów społecznych...
A owa gęsta mgła, i cóż się z nią stało?

A. — Opadła.

B. — Będziemy zatem mogli, dziś popołudniu, wybierać między przechadzką a pozostaniem w domu?

A. — To będzie zależało, jak sądzę, raczej od kobiet niż od nas.

B. — Zawsze kobiety! Nie można uczynić kroku, aby ich nie spotkać wpoprzek drogi.

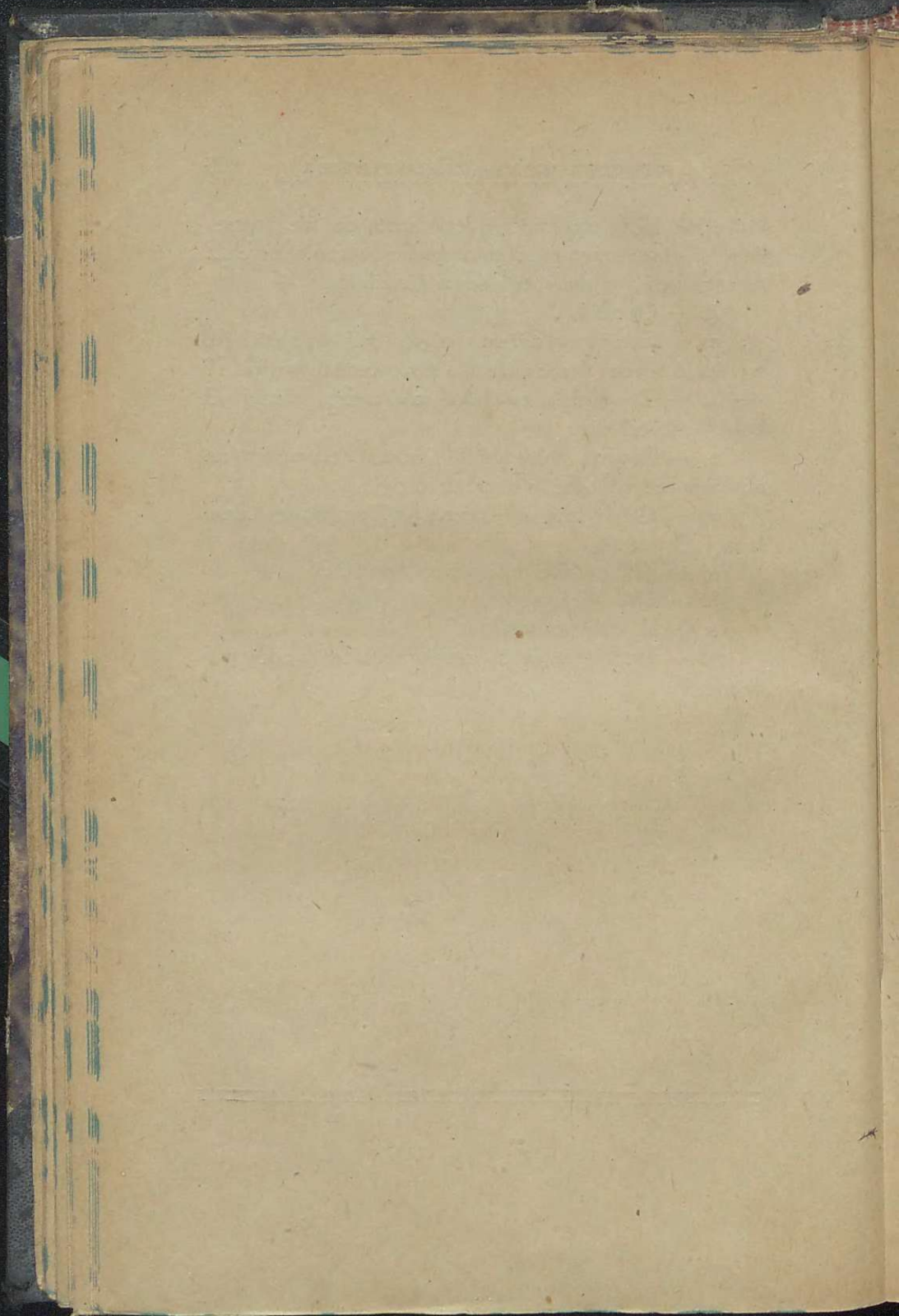
A. — Gdybyśmy im przeczytali rozmowę kapelana i Oru...?

B. — Jak myślisz, coby powiedziały?

A. — Nie wiem zgoła.

B. — A coby pomyślały?

A. — Być może, coś przeciwnego temu coby powiedziały.





ROZMOWA OJCA Z DZIEĆMI

ALBO

O NIEBEZPIECZEŃSTWIE STAWIANIA SIĘ
POWYŻEJ PRAW

(OGŁOSZONE DRUKIEM W ROKU 1773)





ROZMOWA OJCA Z DZIEĆMI.

Mój ojciec ¹⁾, człowiek bardzo roztropny, ale zarazem i bardzo pobożny, głośny był w okolicy dla swej nieskazitelnej uczciwości. Niejeden raz, współobywatele wybierali go na rozjemcę; ludzie obcy, których zgoła nie znał, powierzali mu wykonanie

¹⁾ Czytamy w *Correspondance littéraire* Grimma, z marca 1771: „P. Diderot, majster nożowniczy w Langres, umarł w r. 1759, powszechnie oplakiwany w mieście, zostawiając dzieciom przyzwoity, jak na swój stan, mająteczek, oraz sławę uczciwości i cnoty pożądaną dla każdego stanu. Widziałem go na trzy miesiące przed śmiercią. Udając się do Genewy, w marcu 1759, skierowałem się umyślnie przez Langres, i przez całe życie będę rad że poznałem tego czcigodnego starca. Zostawił troje dzieci: starszego syna, Dyonizego Diderot, urodzonego w 1713: to właśnie nasz filozof; córkę, osobę o wybornem sercu i niepospolitej sile charakteru, która, od chwili śmierci matki, poświęciła się wyłącznie staraniom o ojca i dom, i, z tej przyczyny, odrzuciła propozycyę małżeństwa; wreszcie młodszego syna, który obrał stan duchowny: jest kanonikiem katedralnym w Langres, i jednym z najświętobliwszych ludzi w dyecezyi. Jestto człowiek o dziwnym kroju umysłu, krańcowej pobożności, i, jak sądzę, nie odznaczający się zbyt miarą w poglądach i uczuciach. Ojciec kochał starszego syna z sympatyi i z serca; córkę, z wdzięczności i czułości; młodszego syna, z wyrozumowania, przez szacunek dla jego stanu. Wyjaśnienia te zdały mi się potrzebne przed odczytaniem niniejszego utworu“.

swej ostatniej woli. Skoro umarł, ubodzy płakali nad jego stratą. Podczas choroby, wielcy i mali okazywali jak bardzo im zależy na jego ocaleniu. Skoro stało się pewnem iż zbliża się do końca, całe miasto okryło się smutkiem. Obraz jego będzie zawsze obecny mej pamięci; zdaje mi się że go widzę w fotelu z poręczami, w zwyczajnej spokojnej postawie i z pogodną twarzą. Zdaje mi się, że go słyszę jeszcze. Oto obraz jednego z naszych wieczorów i przykład jak sływały nam inne.

Było to w zimie. Siedzieliśmy dokoła niego, przy ogniu, ksiądz, siostra i ja. Rozmowa toczyła się o utrapieniach sławy; w konkluzyi, ojciec rzekł:

„Mój synu, obaj narobiliśmy dużo hałasu w świecie; z tą różnicą, że hałas, który ty robiłeś swoim narzędziem, odejmował spokój tobie; hałas zaś, jaki ja robiłem mojem, odejmował spokój innym“.

Po tym niewybrednym koncepcie, stary kowal zadumał się wodząc po nas okiem z wyrazem szczególnej baczności, aż proboszcz rzekł:

„O czem dumasz, ojcze?”

— Myślę sobie, odparł, iż reputacya zacnego człowieka, najbardziej pożądana ze wszystkich, ma swoje niebezpieczeństwa, nawet dla tego kto na nią zasługuje“. Następnie, po krótkiej pauzie, dodał: „Drzę jeszcze, kiedy pomyślę o tem... Czy uwierzylibyście, dzieci? Raz w życiu, omal nie wtrąciłem was w ruinę; tak jest, omal nie zrujnowałem was bez ratunku.

KSIĄDZ. — A to jak?

OJCIEC. — Jak? Zaraz...

Zanim zacznę (rzekł do córki), podnieś mi, siostrzyczko, poduszkę która opadła za nisko; a ty (zwrócił się do mnie) załóż mi poły szlafroka, ogień bowiem parzy mi nogi. Znaliście wszyscy proboszcza z Thivet?

SIOSTRA. — Zaczego starego księżynę, który, w setnym roku życia, robił jeszcze cztery mile w ciągu poranku?

KSIĄDZ. — Ten co umarł, mając sto jeden lat, na wiadomość o śmierci brata, który mieszkał z nim razem i liczył ich sobie dziewięćdziesiąt dziewięć?

OJCIEC. — Ten sam.

KSIĄDZ. — I cóż?

OJCIEC. — Otóż, spadkobiercy jego, ludzie ubodzy i rozprószeni po gościńcach, po wsiach, u bram kościołów gdzie zebrali na życie, przesłali mi pełnomocnictwo, które upoważniało mnie abym się udał na miejsce i objął tymczasowo w posiadanie cały inwentarz. Jak odmówić biedakom usługi, jaką dałem wielu zamożnym rodzinom? Pospieszyłem do Thivet, odwołałem się do miejscowych władz; kazałem przyłożyć pieczęcie i oczekiwałem przybycia spadkobierców. Zjawili się niebawem; było ich jakich dziesięciu lub dwunastu. Były to kobiety bez pończoch, bez trzewików, prawie bez odzieży, które trzymały na łonie dzieci otulone w dziurawe fartuchy; starcy okryci łachmanami, którzy zawlekli się aż tu, niosąc na ramionach, na kij, garść łachów zawiniętych w inny łach; słowem, obraz najohydniejszej nędzy. Wyobraźcie sobie zatem radość tych spadkobierców, z perspektywy jakiego dziesiątka tysięcy

franków który przypadał każdemu z nich; ile że, wedle sąsiedzkich gadek, spadek po proboszczu mógł wynosić dobre sto tysięcy. Zdjęto pieczęcie. Parę się, przez cały dzień, spisywaniem inwentarza. Zapada noc. Biedacy rozchodzą się; zostają sam. Pilno mi było oddać w posiadanie każdemu jego część, odprawić ich i wrócić do swoich zajęć. Była tam pod biurkiem stara walizka, bez pokrywy, wypełniona wszelakiego rodzaju papierami; ot, stare listy, bruliony, odwieczne kwity, rachunki i inne tego rodzaju świstki; ale, w podobnym wypadku, czyta się wszystko, nie zaniedbuje niczego. Dobijałem do końca tego nudnego przeglądu, kiedy wpadło mi w ręce dosyć obszerne pismo; a pismo to, wiecie co to było!? testament, podpisany ręką proboszcza! Testament, którego data była tak dawna, iż ci których mianował jego wykonawcami, nie żyli już od dwudziestu lat! Testament, w którym odprawiał z niczem biedaków koczujących dokoła mnie, generalnymi zaś spadkobiercami czynił Freminów, owych bogatych księgarzy z Paryża, których musisz znać. Możecie sobie wyobrazić moje zdumienie i boleść; cóż bowiem począć z tym aktem? Spalić go? Czemu nie? Czyż wszystko nie czyniło go bezwartościowym? I miejsce w którym go znalazłem, i papiery pomiędzy które był zamieszany, czyż nie świadczyły dość silnie przeciw niemu, nie mówiąc o jego krzyczącej niesprawiedliwości? Oto co powiadałem sobie w duchu; i, wyobrażając sobie równocześnie rozpacz odartych ze swych nadziei biedaków, zbliżałem pomalutku testament do ognia; później znowuż inne myśli krzy-

zowały się z tamtymi... Ogarniał mnie jakiś lęk, iż mogę się omylić w rozstrzygnięciu tak ważnego wypadku; nieufność do własnego rozumu; obawa, iż słucham raczej głosu współczucia, który krzyczał w głębi mego serca, niż głosu sprawiedliwości... Tak spędziłem resztę nocy, zastanawiając się nad tym niesprawiedliwym dokumentem, który trzymałem kilkakrotnie tuż przy ogniu, niepewny czy go spalę czy nie. Przeważyło to ostatecznie postanowienie; minuta wcześniej lub później, stałoby się przeciwnie. W tej rozterce ducha, uznałem, iż najroztropniej będzie zasięgnąć rady jakiej światłej osoby. Wsiadam na koń o świcie, pędzę cwałem ku miastu; mijam, nie zatrzymując się, drzwi swojego domu; zsiadam z konia przed seminaryum zajmowanem wówczas przez Oratoryan, między którymi jeden wyróżniał się bystrością sądu i świętością obyczajów: był to ojciec Bouin, który zostawił w dyecezyi sławę największego kazuisty.

Kiedy ojciec doszedł do tego punktu opowiadania, wszedł doktor Bissei: był to lekarz i przyjaciel domu. Zapytał o zdrowie ojca, zmacał puls, coś dodał, coś ujął w dyecie, wziął krzesło i zaczął gwarzyć z nami.

Ojciec zapytał doktora o kilku jego chorych, między innymi o starego hultaja, intendenta u niejakiego p. de La Mésangère, dawnego mera w naszym miasteczku. Intendent ten wprowadził największy nieład w interesy swego pana, zaciągnął fałszywe pożyczki pod jego imieniem, usunął ważne dokumenty, przywłaszczył sobie kapitały, popełnił mnóstwo łaj-

dactw z których większość dowodnie stwierdzono, i znajdował się w przededniu skazania na hańbiącą karę, o ile nie na gardło. Sprawa ta zaprzętała wówczas całą okolice. Doktor rzekł, iż więzień ma się bardzo lichy, nie traci jednak nadziei iż uda się go ocalić.

OJCIEC. — Toby znaczyło oddać mu bardzo złą przysługę.

JA. — I spełnić bardzo zły uczynek.

DOKTOR BISSEL. — Zły uczynek?... I czemuż-to, jeśli łaska?

JA. — Tylu jest niegodziwych ludzi na świecie, iż nie trzeba zatrzymywać tych którzy mają ochotę się wynosić.

DOKTOR BISSEL. — Moją rzeczą jest leczyć, a nie sądzić; ulecę go, ponieważ to jest mój zawód; następnie, sędzia każe go powiesić, bo to jest jego zawód.

JA. — Tak, doktorze, ale istnieje obowiązek wspólny wszelkiemu dobremu obywatelowi, panu, mnie, to znaczy pracować, ze wszystkich naszych sił, dla dobra rzeczy publicznej; a zdaje mi się, że nie jest dla niej korzyścią ocalenie złoczyńcy, od którego bezzwłocznie prawa ją oswobodzą.

DOKTOR BISSEL. — A któż ma prawo uznać go za złoczyńcę? Czy ja?

JA. — Nie, jego uczynki.

DOKTOR BISSEL. — A komuż przynależy sądzić te uczynki? Czy mnie?

JA. — Nie; ale pozwól, doktorze, abym odmienił nieco zagadnienie, przypuszczając iż chodzi o człowieka, którego zbrodnie są stwierdzone publicznie.

Wzywają pana; przybywasz, odsłaniasz firanki, i poznajesz Cartouche'a albo Niveta¹⁾. Czy ratowałbyś Cartouche'a albo Niveta?

Doktor Bissei, po chwili niepewności, odpowiedział stanowczo że tak; zapomniałby nazwiska chorego aby się zająć jedynie istotą choroby; jest to jedyna rzecz którą wolno mu mieć na względzie. Gdyby uczynił krok poza te granice, niebawem nie wiedziałby gdzie się zatrzymać; gdyby skreślenie recepty miała poprzedzać ocena życia i obyczajów chorego, znaczyłoby to zdawać życie ludzkie na łaskę niewiedzy, namiętności, uprzedzeń. „To samo co pan mówisz o Nivecie, žansenista powie mi o moliniście, katolik o protestancie. Jeżeli pan mnie oddalisz od łóżka Cartouche'a, fanatyk oddali mnie od łóżka niedowiarka. Dostyc już mamy trudu z dawkowaniem lekarstw, aby sobie przydawać jeszcze trud dawkowania stopnia niegodziwości któryby pozwalał lub wzbraniał je stosować...

— Ale, doktorze, odparłem, jeżeli, po twojej pięknej kuracyi, pierwszym użytkiem jaki złoczyńca uczyni ze swego zdrowia, będzie to iż zamorduje twego przyjaciela, cóż powiesz? Połóż rękę na sumieniu; czy nie będziesz żałował że go uleczyłeś? Czy nie wykrzykniesz z goryczą: „Poco spieszyłem z pomocą! Czemuż nie dałem mu umrzeć?“ Czyż to nie może ci zatruć reszty życia?

DOKTOR BISSEI. — Zapewne iż będę odczuwał żal; ale nie wyrzuty.

1) Głośni współzawodnicy zbrodniarze.

JA. — A jakież mógłbyś pan mieć wyrzuty, nie mówię żeś zabił, nie o to bowiem chodzi, ale żeś pozwolił zginąć wściekłemu psu? Doktorze, posłuchaj mnie pan. Jestem odważniejszy od pana; nie dam się okiełzać czym rozumowaniom. Jestem lekarzem. Przyglądam się choremu; patrząc nań, poznaję zbrodniarza, i powiadam mu wręcz: „Nieszczęśliwy, umieraj conajspieszniej; oto co możesz uczynić najlepszego dla swoich bliźnich i dla siebie. Wiem dobrze, co trzebaby zalecić aby odjąć klucie w boku które cię nęka, ale ani mi to w głowie; nie życzę tak źle swoim współobywatelom aby cię wysyłać nanowo między nich i gotować sobie samemu wiekiustą zgryzotę na myśl o nowych zbrodniach jakiebyś popełnił. Nie będę twoim współnikiem. Ukaranoby tego ktoby cię ukrywał w domu: i ja miałbym rozgrzeszać z winy tego ktoby cię oocalił! To być nie może. Jeżeli czego żałuję, to tego, iż, wydając cię śmierci, wydzieram cię zasłużonym męczarniom. Nie będę się zaprzętał ratowaniem zbrodniarza, skoro naturalna sprawiedliwość, dobro społeczeńści, bezpieczeństwo bliźnich nakazuje mi wydać go władzom. Umieraj: niechaj nie będzie powiedziane, iż, dzięki mej sztuce i staraniom, istnieje jeden potwór więcej“.

DOKTÓR BISSEL. — Dobranoc, ojczulku. Ale, ale : mniej kawy po obiedzie, słyszy pan.

OJCIEC. — Ach, doktorze, to taka dobrarzecz kawał!

DOKTÓR BISSEL. — Przynajmniej dużo, dużo cukru.

SIOSTRA. — Ale, doktorze, czy cukier nie rozgrzewa zanadto?

DOKTÓR BISSEL. — Baśnie! Bywaj pan zdrow, filozofie.

JA. — Doktorze, jeszcze chwilę. Galen, który żył za Marka Aurelego, i który, z pewnością, nie był lada jakim człowiekiem, mimo iż wierzył w sny, amulety i złe uroki, powiada tak o swoich środkach chronienia noworodków: „Przeznaczam je dla Greków, Rzymian, dla wszystkich tych którzy wstępują w ich ślady na drodze wiedzy. Co się tyczy Germanów i innych barbarzyńców, są ich niegodni na równi z niedźwiedziami, dzikami, lwami i innymi dziwnymi bestyami“.

DOKTÓR BISSEL. — Znałem ten ustęp. Jesteście w błędzie obaj; Galen, iż wygłosił swoją nedorzeczną sentencję; pan iż uczyniłeś z niej autorytet. Nie istniałbyś pan, ani pańska pochwała czy krytyka Galena, gdyby natura nie posiadała własnych sekretów dla chronienia dzieci Germanów.

JA. — W czasie ostatniej zarazy w Marsylii...

DOKTÓR BISSEL. — Spiesz się pan, bo mi pilno.

JA. Byli złoczyńcy którzy grasowali po domach, rabując, zabijając, korzystając z powszechnego bezładu aby się wzbogacić zapomocą wszelkiego rodzaju niegodziwości. Jeden ze złoczyńców uległ zarazie; grabarz, któremu policya poleciła uprzątnię trupów, poznał go. Spojrzał na zbrodniarza i rzekł: „Ha, nędzniku, to ty“; równocześnie, chwytając go za nogi i wlecze do okna. Naprózno zbrodniarz krzyczy: „Nie jestem umarły“. Tamten odpowiada: „Dość jesteś umarły“, i rzuca go błyskawicznie z trzeciego piętra. Doktorze, wiedz, iż grabarz który

tak sprawnie dokończył zadżumionego łajdaka, mniej jest winny w moich oczach niż zdatny lekarz któryby go uleczył; i bądź pan zdrów.

DOKTOR. — Drogi filozofie; zawsze gotów jestem podziwiać twój zapał i wymowę; ale twoich zasad moralnych nie przejmę nigdy, ani ksiądz dobrodziej też nie, założę się.

KSIĄDZ. — Zakłada się pan na pewne.

Miałem wziąć się do księdza; ale ojciec, zwracając się do mnie z uśmiechem, rzekł: „Przemawiasz przeciw własnej sprawie“.

JA. — A to jak?

OJCIEC. — Pragniesz śmierci tego hultaja, intendenta pana de la Mésangère, nieprawdaż? Pozwólże tedy działać doktorowi. Mruczysz coś pod nosem?

JA. — Mówię, że nigdy Bissei nie zasłużył sobie na napis, jaki Rzymianie pomieścili nad drzwiami lekarza Adryana VI, po jego śmierci: *Oswobodzicielowi Ojczyzny!*

SIOSTRA — I że, gdyby był lekarzem Mazarina, nie byłby, jak Guénaut, po śmierci ministra, dał przyczyny do tego odezwania się woźniców: *Kamraci, przepuśćmy pana doktora, to on wyświadczył nam tę łaskę iż zgładził kardynała.*

Ojciec uśmiechnął się i rzekł: „Na czem stanąłem w opowiadaniu“.

SIOSTRA. — Przybyłeś do ojca Bouin.

OJCIEC. — Przedstawiam mu całą rzecz, Ojciec Bouin powiada: „Nic chwalebniejszego, drogi panie, nad uczucie litości jakie pana napęlnia wobec tych nieszcześliwych spadkobierców. Zniszcz pan testament,

dopomóż im, zgadzam się; ale pod warunkiem iż zwrócisz generalnemu spadkobiercy ściśle tę sumę jakiej go pozbawisz, ani mniej ani więcej". Ale czuję jakiś chłód w plecach. Doktor musiał zostawić drzwi otwarte; siostrzyczko, idź zamknąć.

SIOSTRA. — Idę; ale mam nadzieję, że nie będziesz ojciec mówił dalej, dopóki nie wrócę.

OJCIEC. — To się rozumie.

Siostra, która dała na siebie czekać jakiś czas, wróciła, i rzekła nieco podrażniona: „Ten waryat zawiesił na drzwiach dwie tabliczki: jedna opiewa: Dom do sprzedania za dwadzieścia tysięcy franków, lub do wynajęcia za tysiąc dwieście franków rocznie; druga zaś: Dwadzieścia tysięcy franków do wypożyczenia na rok, na sześć od sta.

JA. — Waryat? A gdyby był tylko jeden napis tam gdzie ty widzisz dwa, i gdyby napis o pożyczce był jedynie przekładem ogłoszenia najmu? Ale dajmy temu pokój, i wróćmy do ojca Bouin.

OJCIEC. — Ojciec Bouin dodał: i któż pana upoważnił, abys dawał lub odejmował sankcyę aktom? Kto cię upoważnił do wykładania intencji zmarłych?

— Ale, ojciec Bouin, a waliza?

— Kto cię upoważnił do rozstrzygania, czy testament był wyrzucony z umysłu, czy też zabłąkał się przez nieuwagę? Czy nigdy nie zdarzyło ci się popełnić podobnej nieuwagi, i odnaleźć na dnie wiadra ważnego papieru który rzuciłeś tam przez roztargnienie?

— Ale, ojciec Bouin, a data, a niesprawiedliwość tego aktu?...

— Kto cię upoważnił do wyrokowania o sprawiedliwości lub niesprawiedliwości aktu, i kazał uważać ten zapis za nieusprawiedliwiony dar, a nie za restytucję lub inny czyn płynący z godziwych pobudek?

— Ale, ojcze Bouin, toć są najbliżsi spadkobiercy, w nędzy, tamten zaś daleki krewny i bogacz?...

— Kto cię upoważnił do szacowania co zmarły był winien swoim blizkim, których nie znasz zresztą?

— Ale, ojcze Bouin, ta mnogość listów właściciela legatu, których zmarły nawet sobie nie zadał trudu otworzyć!...

Zapomniałem przytoczyć jedną okoliczność, dał ojciec: mianowicie, w stosie papierów między którymi tkwił ów nieszczęsny testament, znajdowało się dwadzieścia, trzydzieści, nie wiem ile listów od Freminów, wszystkie zapieczętowane.

— Niema, rzekł ojciec Bouin, ani walizy, ani daty ani listów, ani ojca Bouin, ani jeżeli, ani ale któreby miało tu coś do gadania; nie wolno nikomu naruszać praw, wchodzić w myśl zmarłego, i rozporządzać cudzem mieniem. Jeżeli opatrność postanowiła skarać, albo prawego dziedzica albo spadkobiercę, albo zmarłego — niewiadomo bowiem którego z nich — przypadkowym zachowaniem tego testamentu, trzeba aby tak zostało.

Po tak jasnym, tak stanowczym orzeczeniu najbardziej światłego człowieka w naszym duchowieństwie, zamilkłem osłupiały i drżący, myśląc w duchu coby się ze mną, coby się z wami stało, moje dzieci,

gdyby mi się zdarzyło spalić testament — jak to, po dziesięć razy, miałem pokusę uczynić — gdybym później stał się pastwą skrupułów i poszedł się poradzić ojca Bouin. Byłbym zwrócił, och! byłbym zwrócił, to więcej niż pewne, i bylibyście zrujnowani.

SIOSTRA. — Zatem, ojcze, trzeba ci było, po tem wszystkim, wrócić na plebanie, i oznajmić tej gromadzie nędzarzy, że nic w tym domu nie należy do nich, i że mogą sobie iść tak jak przyszli? Z duszą tak współczującą jak twoja, ojcze, w jaki sposób zdobyłeś się na to?

OJCIEC. — Dalibóg, sam nie wiem. W pierwszej chwili, myślałem rzucić się z pełnomocnictwa i złożyć je w ręce adwokata; ale adwokat byłby postąpił sobie z całą ścisłością, byłby wziął i powyrzucał za kark tych biednych ludzi, których niedoli mogłem może ulżyć. Wróciłem tedy, tego samego dnia, do Thivet. Moje nagłe zniknięcie i ostrożności jakie podjąłem wyjeżdżając zaniepokoiły ich; wyraz smutku z jakim zjawiłem się z powrotem, pomnożył jeszcze znacznie ten niepokój. Mimo to, zaplanowałem nad sobą, maskowałem się jak umiałem najlepiej.

JA. — To znaczy dość lichy.

OJCIEC. — Zacząłem od tego, iż ukryłem wszystkie cenne przedmioty. Zgromadziłem w domu pewną ilość mieszkańców, którzy, w razie potrzeby, udzieliliby mi czynnej pomocy. Otworzyłem piwnice i spichrze które wydałem na łup tym nieszczęśliwym, zachęcając aby pili, jedli, i aby podzielili między siebie wino, zboże i inne zapasy.

KSIĄDZ. — Ależ, ojcze!...

OJCIEC. — Wiem, to tak samo nie należało do nich jak wszystko inne.

JA. — Czekajże, księże, przerywasz.

OJCIEC. — Następnie, błady jak śmierć, chwając się na nogach, otwierając usta i nieznajdując słowa, siadając, podnosząc się, rozpoczynając zdanie i nie mogąc dokończyć, płacząc, podczas gdy ci ludzie, przerażeni, wykrzykiwali wkoło mnie: „Co takiego, drogi panie, co się takiego stało? — Co się stało? odparłem... Testament, testament, który was wydziedzicza“. Wymówienie tych kilku słów kosztowało mnie tyle, iż zdawało mi się że zemdleję.

SIOSTRA. — Rozumiem to.

OJCIEC. — Co za scena, co za scena, moje dzieci! Dreszcz mnie przechodzi, gdy ją sobie wspomnę. Zdaje mi się, że słyszę jeszcze krzyki bóleści, wściekłości, furji, wycie przekleństw... Tutaj, ojciec przyłożył ręce do oczu, do uszu... Te kobiety, rzekł, te kobiety, widzę je; jedne tarzwały się po ziemi, wydierały sobie włosy, darły policzki i piersi; inne toczyły pianę, chwytaly niemowlęta za nogi, gotowe, gdyby ich nie powstrzymano, strząsać im głowę o bruk; mężczyźni chwyтали, obalali, tłukli wszystko co im popadło w ręce, grozili podpaleniem domu; inni, wyjąc, orali ziemię pazurami jakgdyby szukali trupa proboszcza aby go rozszarpać; zaś, poprzez ten cały tumult, słyhać było przeraźliwe krzyki dzieci, które, nie wiedząc czemu, podzielały rozpacz rodziców, czepiały się ich sukien, a które tamci nieludzko odtra-

eali. Nie sędzę, abym kiedykolwiek podobnie cierpiał w życiu.

Wśród tego, napisałem do spadkobiercy w Paryżu, doniosłem o wszystkim i prosiłem aby pospieszył z przybyciem, ile że był to jedyny sposób uprzedzenia jakiegoś wypadku, któremu nie w mej mocy byłoby zapobiedz.

Uspokoilem nieco nieszczęśliwych nadzieją jaką sam się kołysałem w istocie; mianowicie, iż zdołam uzyskać od spadkobiercy zupełne zrzeczenie się praw, lub też doprowadzić go do jakiego korzystnego układu; poczem, rozmieściłem krewniaków po najbardziej oddalonych chatach wioski.

Fremin przybył z Paryża; przyjrzałem mu się bystro i ujrzałem fizygnomię twardą, która nie zwiastowała nic dobrego.

JA. — Wielkie brwi czarne i gęste, małe wpadnięte oczy, szerokie, nieco krzywe usta, pleć smągła i zeszpecona ospą?

OJCIEC. — To, to. Przebył owe sześćdziesiąt mil w niespełna trzydzieści godzin. Zacząłem od tego, iż pokazałem mu nieszczęśliwych, których sprawy miałem bronić. Stali wszyscy nawprost niego w milczeniu; kobiety płakały; mężczyźni, wsparci na kijach, z gołą głową, gnietli w rękach czapki. Fremin, siedząc, z przymkniętymi oczami, z głową pochyloną i brodą wspartą na piersi, nie patrzył na nas. Przemówiłem za nimi ile tylko miałem sił; nie wiem skąd bierze się nam wymowa w podobnych wypadkach. Wykazałem namacalnie, jak bardzo wątpliwem jest, czy ten spadek sprawiedliwie dostał się w jego ręce;

zakląłem go na jego dostatek, na nędzę jaką miał przed oczami; zdaje mi się nawet że rzuciłem się do jego stóp; nie mogłem wydobyć zeń ani obola. Odpowiedział, że nie wchodzi we wszystkie te względy; że istnieje testament; że historia tego testamentu jest mu obojęna; i że woli raczej zdać się na moje postępowanie niż na moje słowa. Oburzony, rzuciłem mu klucze w nos; podniósł je, zagarnął wszystko. Wróciłem do domu tak poruszony, tak zgryziony, zmieniony, że matka wasza, która żyła jeszcze, sądziła iż zdarzyło mi się jakieś wielkie nieszczęście... Och! moje dzieci! cóż za człowiek ten Fremin!

Po tem opowiadaniu, zapadliśmy w milczenie; każdy dumał na swój sposób nad tą osobliwą przygodą. Nadeszło kilka osób w odwiedzinę; jakiś duchowny którego nazwiska już sobie nie przypominam: był to gruby przeor, który się lepiej znał na winie niż na zagadnieniach moralnych; jakiś prawnik, rejent i naczelnik policyi, nazwiskiem Dubois; wreszcie, w chwilę później, robotnik, który miał do ojca sprawę. Wprowadzono go, a z nim dawnego inżyniera z miasteczka, który obecnie wycofał się ze swego rzemiosła i uprawiał matematykę. Był on sąsiadem robotnika, robotnik zaś był z zawodu kapelusznikiem.

Wszedłszy, kapelusznik dał ojcu do zrozumienia, iż, jak na to co mu pragnie zwierzyć, zgromadzenie jest nieco za liczne. Wszyscy ruszyli się z miejsc, pozostał tylko przeor, rejent, geometra i ja, kapelusznik bowiem zatrzymał nas w pokoju.

„Panie Diderot, rzekł do ojca, spojrzawszy dookoła czy nikt więcej nie może słyszeć; uczciwość pańska i rozum sprowadziły mnie do tego domu; rad jestem iż zastałem tu tych panów, którym może nie mam zaszczytu być znanym, ale których znam wszystkich. Ksiądz, prawnik, uczony, filozof i zacny człowiek! Byłby to dziwny traf, gdybym, wśród tych osób tak różnorodnego stanu, a wszystkich jednakowo świątłych i jednakowo sprawiedliwych, nie znalazł rady której potrzebuję.

Następnie, kapelusznik dodał: „Przyrzeknijcie mi panowie przedewszystkiem zachować w tajemnicy mą sprawę, bez względu na to co uznam za właściwe uczynić.

Przyrzekliśmy, zaczęł ciągnąć dalej.

„Nie mam dzieci, nie miałem ich z ostatniej żony, którą straciłem blisko przed dwoma tygodniami. Od tego czasu, nie żyję poprostu; nie mogę ani pić, ani jeść, ani pracować, ani spać. Wstaję, ubieram się, wychodzę i bląkam się po mieście żarty głęboką zgryzotą. Pielęgnowałem żonę w chorobie przez ośmnaście lat; otoczyłem ją wszystkimi staraniami jakie zależały odemnie i jakich wymagało jej smutne położenie. Wydatki, które dla niej poniosłem, pochłonięły owoce naszego skromnego mienia i mojej pracy, zostawiły mnie przygniecionego długami. Znalazłem się, po jej śmierci, wyczerpany znużeniem, zmarnowawszy młodość; byłbym, jednym słowem, w tym samym punkcie co w chwili kiedy rozpoczynał rzemiosło, gdybym przestrzegał praw i gdybym oddał w ręce dalekich krewnych należną część tego co

mi żona przyniosła w posagu. Miała, mianowicie, bardzo przyzwoitą wyprawkę, i ojciec bowiem i matka, kochając córkę, uczynili dla niej wszystko co mogli, więcej niż mogli); ładną, porządną i obficie zaopatrzoną garderobę, która została jak nowa, nieboraczka bowiem nie miała czasu jej zużyć; prócz tego, dwadzieścia tysięcy w gotowiźnie. Za ledwie nieboszczka zamknęła oczy, ukryłem rzeczy i pieniądze. Panowie, znacie obecnie całą sprawę. Czy zrobiłem dobrze, czy źle? Nie czuję się spokojny w sumieniu. Mam uczucie, że jakiś głos mi powiada: „Ukradłeś, ukradłeś, oddaj, oddaj“. Co o tem myślicie? Zważcie panowie, iż żona uniosła z sobą, odchodząc, wszystko co zarobiłem w ciągu dwudziestu lat: że nie jestem już prawie zdolny do pracy; że wpadłem w dług, i że, jeżeli zwrócę spadek, zostaje mi jedynie szpital, jeśli nie dziś to jutro. Mówcie, panowie, czekam waszego wyroku. Czy trzeba mi zwrócić i iść skończyć w szpitalu?

— Idźmy koleją, wedle godności, rzekł ojciec skłaniając się w stronę duchownego; słuchamy, księżę przeorze.

— Moje dziecko, rzekł przeor do kapelusznika, nie lubię skrupułów, to robi zamęt w głowie i na nic się nie zda; być może, nie trzeba było brać tych pieniędzy; ale, skoro wzięłeś, jestem zdania abyś je zachował.

OJCIEC. — Ależ, księżę przeorze, to chyba nie pańskie ostatnie słowo?

PRZEOR. — Na honor, tak; nic więcej nie umiem powiedzieć w tej sprawie.

OJCIEC. — To nie wiele. Słuchamy, panie re-jencie.

URZĘDNIK. — Mój przyjacielu, twoje położenie jest nader przykre; kto inny poradziłby ci może abyś zabezpieczył kapitał krewnym żony, iżby, w razie twojej śmierci, nie przeszedł na twoją rodzinę, i abyś, dopóki życia, korzystał z procentów. Ale istnieją prawa; prawa zaś nie przyznają ci ani dochodu ani własności kapitału. Wierzaj mi, uczynź zadość prawom i bądź uczciwym człowiekiem; raczej-szpital, jeśli tak padnie.

JA. — Istnieją prawa! Jakże prawa?

OJCIEC. — A pan, panie matematyku, jak rozwiążesz to zagadnienie?

GEOMETRA. — Mój przyjacielu, wszak powiedziałeś nam, że wzięłeś około dwudziestu tysięcy franków?

KAPELUSZNIK. — Tak, panie.

GEOMETRA. — A ile, w przybliżeniu, kosztowała się choroba żony?

KAPELUSZNIK. — Mniej więcej tę samą sumę.

GEOMETRA. — A więc! Gdy kto, z dwudziestu tysięcy franków, spłaci dwadzieścia tysięcy franków, pozostaje zero.

OJCIEC, *do mnie*. — A co powiada filozofia?

JA. — Filozofia milczy, tam gdzie prawo jest niedorzeczne.

Ojciec uczuł iż nie trzeba mnie przyciskać; zaczem, zwracając się do kapelusznika, rzekł: „Mój przyjacielu, przyznałeś się, iż, od czasu jak za-grabiłeś spadek po żonie, straciłeś spokój. I na cóż

ei się zdadzą te pieniądze, skoro odjęły ci najwyższe dobro? Pozbądź się ich corychlej, i pij, jedz, śpij, pracuj, bądź szczęśliwy w domu, jeśli zdołasz w nim się utrzymać, lub gdzieindziej jeżeli nie zdołasz.

Kapelusznik odpowiedział: „Nie, proszę pana, wywędruję do Genewy.

— I myślisz że zostawisz wyrzuty sumienia?

— Nie wiem; ale wywędruję do Genewy.

— Wędruj gdzie chcesz, wszędzie odnajdziesz swoje sunienie“.

Kapelusznik odszedł: dziwaczna jego odpowiedź wywołała komentarze. Zgodzono się, iż, być może, oddalenie miejsca i czasu osłabia mniej lub więcej wszystkie uczucia, wszelkiego rodzaju świadomość, nawet świadomość zbrodni. Morderca przeniesiony n. p. do Chin, zbyt jest daleko aby dojrzeć krwawiącego trupa jakiego zostawił nad brzegiem Sekwany. Wyrzut sumienia rodzi się może nietyle z odrazy do samego siebie, ile z obawy przed drugimi; nietyle ze wstydu samego uczynku, co z hańby i kary jakie poszłyby w jego ślad, gdyby go odkryto. A któryż tajemny zbrodniarz czuje się dość bezpieczny, iżby się mógł nie obawiać pułapki nieprzewidzianych okoliczności lub niedyskrecyi niebaczego słówka? Jaką ma pewność, iż się nie zdradzi w majakach gorączki albo snu? Posłyszą go w miejscu gdzie spełnił zbrodnię, i będzie zgubiony. Otoczenie jego w Chinach nie zrozumie go. „Moje dzieci, dni nieprawego wypełnione są lękiem. Spokój istnieje jedynie dla poczciwego człowieka. On jeden żyje i umiera bezpiecznie“.

Po wyczerpaniu tematu, goście odeszli; brat i siostra wrócili do pokoju; podjęliśmy przerwana rozmowę, ojciec zaś rzekł: „Bogu niech będzie chwała! otośmy znowu razem. Dobrze mi z innymi, ale z wami lepiej“. Następnie, zwracając się do mnie: „Dlaczego, spytał, nie powiedziałeś kapelusznikowi swego zdania?”

— Boś mi, ojcze, przeszkodził.

— Czym źle uczynił?

— Nie, ponieważ na nic dobra rada dla głupca. Jakto, czyż ten człowiek nie jest najbliższym krewnym swojej żony? Czy mienia jakie sobie zachował nie otrzymał w posagu? Czy nie przynależy mu z najbardziej godziwego tytułu? Jakież jest prawo owych krewniaków?

OJCIEC. — Widzisz tylko prawo, ale nie widzisz jego ducha.

JA. — Widzę jak ty, ojcze, niebezpieczeństwo płynące dla kobiet, będących, jak nieraz się zdarza, przedmiotem wzdargy i nienawiści mężów, gdyby, w razie śmierci, mienie żon miało stać się ich własnością. Ale cóż to znaczy dla mnie, uczciwego człowieka, który dobrze spełniłem obowiązki względem mojej żony? Czy nie dość jestem nieszczęśliwy, żem ją utracił? Trzebaż mnie jeszcze odzierać z puścizny?

OJCIEC. — Ale, jeżeli uznajesz mądrość prawa, trzeba się doń stosować, o ile mi się zdaje.

SIOSTRA. — Bez prawa, niema kradzieży.

JA. — Mylisz się, siostro.

BRAT. — Bez prawa, wszystko przynależy wszystkim: niema własności.

JA. — Mylisz się, bracie.

BRAT. — Na czemże tedy zasadza się własność?

JA. — Pierwotnie, jest to objęcie w posiadanie przez pracę. Natura ustanowiła dobre prawa od wieków; społeczeństwo ubezpiecza ich wykonanie; siła ta ma wszelką moc przeciw złemu, niema żadnej przeciw uczciwemu człowiekowi. Jestem tym uczciwym człowiekiem; i, w tej okoliczności, jak również w wielu innych którebym mógł wyszczególnić, pozynam ją przed trybunał własnego serca, rozumu, sumienia, przed trybunał naturalnej sprawiedliwości; przesłuchuję ją, poddaję się jej lub też ją unicestwiam.

OJCIEC. — Głoś te zasady po świecie, ręczę ci że znajdą dobre przyjęcie, i zobaczysz jakie ładne stąd rzeczy wynikną.

JA. — Nie będę ich głosił; istnieją, prawdy nie przeznaczone dla szaleńców; ale zachowam je dla siebie.

OJCIEC. — Dla siebie, jako dla mądrego człowieka?

JA. — Z pewnością.

OJCIEC. — Wedle tego, domyślam się, że również nie pochwalisz sposobu w jaki postąpiłem sobie w sprawie testamentu proboszcza z Thivet. A ty, księżu, co myślisz?

KSIĄDZ. — Myślę, ojcze, iż roztropnie uczyniłeś, żeś się poradził ojca Bouin i żeś mu uwierzył; gdybyś był poszedł za pierwszym popędem, byłibyśmy w istocie zrujnowani.

OJCIEC. — A ty, wielki filozofie, nie jesteś tego zdania?

JA. — Nie.

OJCIEC. — To bardzo zwięźle. Jedź dalej.

JA. — Każesz, ojcze?

OJCIEC. — Oczywiście.

JA. — Bez ogródek?

OJCIEC. — Oczywiście.

JA. — Nie, z pewnością nie, odparłem z ogniem, nie jestem tego zdania. Co do mnie, myślę, iż, jeżeli kiedy popełniłeś, ojcze, zły uczynek w życiu, to wtedy; i że, jeżelibyś się czuł zobowiązany do restytucji wobec legataryusza w razie zniszczenia testamentu, bardziej jeszcze miałeś ten obowiązek wobec prawych dziedziców za to żeś tego nie uczynił.

OJCIEC. — Muszę wyznać, iż ten postępek zawsze mi leżał na sercu; ale ojciec Bouin...

JA. — Ojciec Bouin, z całą swoją sławą wiedzy i świętości, był jedynie lichym doktrynerem, bigotem o ciasnej głowie.

SIOSTRA, *po cichu*. — Czy twoim zamiarem jest nas zrujnować?

OJCIEC. — Spokojnie, spokojnie! zostaw-że ojca Bouin, i powiedz nam swoje racje nie wymyślając na nikogo.

JA. — Moje racje? Są bardzo proste; oto one. Albo testator chciał zniweczyć akt który uczynił w nieczułości serca, jak wszystko zdaje się tego dowodzić, i ty udaremniłeś jego opamiętanie się: albo też chciał aby ten okrutny akt utrzymał się w mocy: i ty stałeś się współnikiem jego niesprawiedliwości.

OJCIEC. — niesprawiedliwości? to lekko powiedziane.

JA. — Tak, niesprawiedliwości; wszystko bowiem co ów ojciec Bouin ci nagadał, to jedynie czcza kazuistyka, mizerne przypuszczenia, same „być może“ bez żadnej wartości, bez żadnej wagi, wobec warunków odejmujących wszelki charakter ważności niesprawiedliwemu aktowi, który ty wydobyłeś z kurzu, wystawiłeś na światło i przywróciłeś do czci. Waliza ze szpargałami; wśród tych szpargałów stary szpargał unicestwiony przez swoją datę, przez swą niesprawiedliwość, przez fakt zamieszania między inne szpargały, przez śmierć egzекutorów, przez wzgardę dla listów spadkobiercy, przez bogactwo tegoż spadkobiercy i nędzę prawych dziedziców! Cóż można temu przeciwstawić? Domniemaną restytucję! Okaze się, iż ten nieborak księżyna który nie miał szeląga kiedy przybył na probostwo, i który strawił ośmdziesiąt lat życia aby uskładać niespełna sto tysięcy franków ciułając grosz do grosza, dopuścił się niegdys, na szkodę Freminów (u których nigdy nie miał, i których nigdy może nie znał inaczej niż z imienia), kradzieży stu tysięcy franków! A gdyby nawet ta mniemana kradzież była prawdą, wielkie nieszczęście!.. Byłbym spalił ten akt niesprawiedliwości. Trzeba go było spalić, powiadam; trzeba było słuchać serca, które nie przestało trapić cię później; miało więcej rozumu niż ten głupiec Bouin, którego wyrok dowodzi jedynie groźnego ucisku religijnych przesądów na najtęższe głowy, i zgubnego wpływu niesprawiedliwych praw, fałszywych zasad

na zdrowy rozum i wrodzoną sprawiedliwość. Gdybyś, ojcze, był obecny przytem gdy proboszcz pisał niegodziwy testament, czyż nie byłbyś go podał na sztuki? Los daje ci ów akt w ręce, i ty go zachowujesz?

OJCIEC. — A gdyby proboszcz ciebie uczynił swoim generalnym spadkobiercą?

JA. — Wstrętny akt zostałby tem rychlej unicestwiony.

OJCIEC. — Nie wątpię o tem; ale czy niema żadnej różnicy pomiędzy zapisem na rzecz cudzą a twoją?...

JA. — Żadnej. Są oba sprawiedliwe lub niesprawiedliwe, uczciwe albo nieuczciwe.

OJCIEC. — Skoro prawo nakazuje, po śmierci, sporządzanie inwentarza i odczytanie wszystkich papierów, bez wyjątku, ma w tem zapewne swoje podobudki; jakież są one?

JA. — Gdybym był zjadliwy, odpowiedziałbym na to: obedrzeć spadkobierców mnożąc koszta sądowe; ale pomyśl, ojcze, że ty nie byłeś tam jako urzędnik; że, wyzwolony od wszelkiej formy prawnej, nie miałeś do spełnienia innej funkcji prócz naturalnej dobroczynności i sprawiedliwości.

Siostra milczała, ale ścisnęła mi rękę na znak uznania. Ksiądz kręcił głową, ojciec zaś powiadał: A teraz jeszcze jeden kamyk do ogródka ojca Bouin. Sądzisz przynajmniej, iż religia mnie rozgrzesza?

JA. — Tak sądzę; ale to nie przynosi jej zaszczytu.

OJCIEC. — Ten akt, który ty palisz mocą swej osobistej powagi, czy sądzisz iż byłby uznany za prawomocny przed trybunałem prawa?

JA. — Być może; ale to nie przynosi zaszczytu prawu.

OJCIEC. — Mniemasz, iż byłoby ono pominęło wszystkie okoliczności które ty podkreślasz z taką siłą?

JA. — Nie mam pojęcia; ale byłbym pragnął wyjaśnić to do gruntu. Poświęciłbym jaki pięćdziesiątek ludwików; byłaby to dobroczynność dobrze umieszczona: zacząłbym testament w imieniu tych nędzarzy.

OJCIEC. — Och, co do tego, gdybyś był przy mnie i udzielił mi tej rady, to, mimo iż w początkach rzemiosła, pięćdziesiąt ludwików stanowi poważną sumę, można się założyć że byłbym cię usłuchał.

KSIĄDZ. — Co do mnie, wolalbym oddać te pieniądze wydziedziczonym biedakom niż adwokatom i sędziom.

JA. — Myślisz więc, bracie, że proces byłby przegrany?

KSIĄDZ. — Nie wątpię o tem. Sędziowie trzymają się ściśle prawa, jak ojciec i jak ojciec Bouin; i dobrze czynią. Sędziowie zamykają, w podobnym wypadku, oczy na okoliczności, jak ojciec i ojciec Bouin, z obawy przed niebezpieczeństwami jakieby stąd wynikły; i dobrze czynią. Poświęcają niekiedy, wbrew świadectwu nawet własnego sumienia, jak ojciec i ojciec Bouin, dobro nieszczęśliwego i niewinnego, nie mogliby go bowiem ratować nie popuszczając cugli

niezliczonej mnogości łajdaków; i dobrze czynią. Obawiają się, jak ojciec i ojciec Bouin, wydać wyrok sprawiedliwy w pewnym danym wypadku, ale zgubny w tysiącu innych przez mnogość nadużyć którym otworzyłby drzwi; i dobrze czynią. W sprawie zaś testamentu, o który chodzi...

OJCIEC. — Twoje argumenty dałyby się może utrzymać prywatnie, ale nigdy publicznie. Niejeden mniej skrupulatny adwokat który powiedziałby mi w cztery oczy: „Niech pan spali testament“, nie odważyłby się udzielić tej rady na piśmie w formie prawnej.

JA. — Rozumiem; to była sprawa nienadająca się aby ją wytaczać przed sędziów. Toteż, do kroćset! nie doszłoby do tego, gdybym ja był na twojem miejscu, ojczu.

OJCIEC. — Byłbyś przełożył swój rozum nad rozum publiczny; rozstrzygnięcie człowieka nad rozstrzygnięcie prawnika.

JA. — Z pewnością. Czyż człowiek nie jest dawniejszy od prawnika? Czy rozum rodzaju ludzkiego nie jest o wiele świętszy niż rozum prawodawcy? Nazywamy się cywilizowanymi ludźmi, a gorsi jesteśmy od dzikich. Zdaje się, że trzeba nam jeszcze brnąć się przez całe wieki z szaleństwa w szaleństwo i z niedorzeczności w niedorzeczność, zanim dojdziemy tam, gdzie elementarna iskierka rozsądku, sam instynkt, byłyby nas zawiiodły zupełnie prosto. Toteż, zbłąkaliśmy się tak dokładnie...

OJCIEC. — Mój synu, mój synu, dobra to poduszka rozum; ale zdaje mi się, że głowa jeszcze spo-

kojniej odpoczywa na poduszce religii i praw: i skończmy dyskusję, niemam bowiem ochoty spędzić bezsennej nocy. Ale zdaje mi, żeś ty się coś nadał. Powiedz mi tedy, gdybym spalił testament, czy byłbyś mi przeszkodził w restytucyi?

JA. — Nie, ojcze; twój spokój jest mi nieco droższy niż wszystkie majątki świata.

OJCIEC. — Odpowiedź twoja cieszy mnie; a to dla pewnej przyczyny.

JA. — Powiesz nam, ojcze, tę przyczynę?

OJCIEC. — Chętnie. Kanonik Vigneron, twój wuj, był to człowiek twardy, żyjący na złej stopie z kolegami, których, prowadzeniem swoim i odezwaniami, stawiał ustawicznie pod pręgierz satyry. Byłeś przeznaczony na jego następcę; ale, w chwili gdy miał umierać, postanowiono w rodzinie, iż lepiej odwołać się do Stolicy Apostolskiej w Rzymie, niż składać na ręce kapituły rezygnacyę, którejby nie przyjęto. Kurjer rusza w drogę. Wuj umiera na godzinę lub dwie przed domniemanem przybyciem kurjera, i oto kanonia oraz tysiąc ośmset franków stracone. Matka twoja, ciotki, krewni, przyjaciele byli wszyscy zdania aby ukryć śmierć kanonika. Odrzuciłem tę radę; i kazałem natychmiast uderzyć w dzwony.

JA. — I dobrze uczyniłeś, ojcze.

OJCIEC. — Gdybym usłuchał tych pocziwych kumoszek, i gdybym miał później wyrzuty, widzę iż nie byłbyś się zawahał poświęcić mi swojego łańcucha.

JA. — I bez tego. Wolalbym raczej być dobrym filozofem, lub niczem, niż złym kanonikiem.

Gruby przeor wtoczył się do pokoju, i rzekł, do-
słyszawszy ostatnich słów: „Złym kanonikiem! Rad-
bym bardzo wiedzieć, w jaki sposób można być do-
brym albo złym przeorem, dobrym albo złym kano-
nikiem; to są sprawy tak obojętne!“ Ojciec wzruszył
ramionami, i wyszedł dla spełnienia jakichś nabożnych
obowiązków. Przeor rzekł: „Zgorszyłem trochę pa-
pusia.“

BRAT. — Możebne.

Poczem, wydobywając z kieszeni książkę, rzekł:
„Muszę wam odczytać kilka stron z opisu Sycylii
przez ojca Labat.

JA. — Znam to. To historia *calzolaio*¹⁾ z Mes-
syny.

BRAT. — Właśnie.

PRZEOR. — I cóż on robił, ten *calzolaio*?

BRAT. — Historyk opowiada, iż, będąc z natury
zaczynnym człowiekiem, przyjacielem porządku i spra-
wiedliwości, wiele cierpiał, przebywając w kraju, gdzie
prawa nietylko nie miały mocy, ale nie znajdowały
nawet zrozumienia. Każdy dzień znaczył się jakąś
zbrodnią. Wszystkim znani mordercy przechadzali się
z podniesioną głową i urągali publicznie oburzeniu.
Rodzice biadali nad córkami uwiedzionymi i wtrąco-
nemi, przez okrucieństwo rabusiów, z hańby w nędzę.
Monopol wydierał pracowitemu człowiekowi jego
dobytek; łupiestwa wszelakiego rodzaju wyciskały
gorzkie łzy uciśnionym obywatelom. Winni umykali
się karze, albo przez swoje wpływy, albo przez prze-
kupstwo, albo przez obejście form. *Calzolaio* widział

¹⁾ Szewc.

to wszystko; serce mu się krwawiło; dumał bez przerwy na swoim zydelku nad sposobami położenia kresu zamętowi.

PRZEOR. — Cóż mógł wskórać, taki biedaczyna!

BRAT. — Zobacz pan. Jednego dnia, ustanowił w swoim sklepiku trybunał.

PRZEOR. — A to jak?

JA. — Przeor chce aby połknąć opowiadanie, jak on polyka swoją jutrznię.

PRZEOR. — Czemu nie? Sztuka krasomowcza zaleca aby opowiadanie było zwięzłe, Ewangelia zaś aby modlitwa była krótka.

BRAT. — Na wieść o jakiejś okrutnej zbrodni, wywiadywał się o nią; przeprowadzał u siebie w domu ściśle i tajemne śledztwo. Dopelnivszy podwójnej funkcji oskarżyciela i sędziego, ukończywszy proces kryminalny i wydawszy wyrok, wychodził z rusznicą pod płaszczem; i, w dzień jeżeli spotkał zbrodniarza w ustronnem miejscu, lub też w nocy, w czasie ich wypraw, kropił do nich z garłacza, celując jak umiał najlepiej.

PRZEOR. — Boję się, że ten zacny człowiek skończy na szubienicy. Bardzo mi to przykro.

BRAT. — Po egzekucyi, zostawiał trupa na miejscu nie zbliżając się doń, i wracał do domu, zadowolony jak ktoś kto zabił wściekłego psa.

PRZEOR. — I dużo zabił takich psów?

BRAT. — Liczonó ich więcej niż pięćdziesięciu, wszystko osoby wyższego stanu. Wówczas, wicekról przyrzekł dwa tysiące talarów temu kto wyda zabójcę;

i poprzysiął, w obliczu ołtarza, iż przebaczy winnemu o ile się oskarży sam.

PRZEOR. — Niema głupich!

BRAT. — W obawie aby podejrzenie i kara nie padły na niewinnego...

PRZEOR. — Oddał się w ręce wicekróla!

BRAT. — Przemówił doń w te słowa: „Spełniłem, panie, twój obowiązek. To ja skazałem i wydałem na śmierć zbrodniarzy, których ty powinieś być ukarać. Oto protokoły, stwierdzające ich zbrodnie. Ujrysz w nich metodę postępowania sądowego którego się trzymałem. Miałem pokusę aby zacząć od ciebie; ale szanowałem w twej osobie dostojnego monarchę którego przedstawiasz. Życie moje jest w twoich rękach; możesz niem rozrządzać.

PRZEOR. — Co też się stało.

BRAT. — Nie wiem; ale wiem, że, przy całym tym pięknym zapale sprawiedliwości, ów człowiek był tylko mordercą.

PRZEOR. — Mordercą! to ostre słowo: jakież inne miano możnaby mu dać, gdyby zabijał uczciwych ludzi?

JA. — Szaleństwo!

SIOSTRA. — Byłoby pożądane, aby...

BRAT, *do mnie*. — Jesteś monarchą: sprawę tę przedłożono ci do rozstrzygnięcia; jakżeż ono wypadnie?

JA. — Księżę, zastawiasz mi pułapkę; i dam się w nią chwycić. Skazałbym wicekróla aby zajął miejsce szewca, a szewca aby zajął miejsce wicekróla.

SIOSTRA. — Bardzo dobrze, bracie.

Ojciec ukazał się z powrotem z ową pogodną

twarzą jaką zawsze miał po modlitwie. Opowiedziano mu sprawę, i potwierdził wyrok księdza. Siostra dodała: „i oto Messynę pozbawiono, jeżeli nie jedyne go sprawiedliwego człowieka, to przynajmniej jedyne go dzielne go obywatela jaki się tam znalazł. Martwi mnie to“.

Podano do stołu; obecni sprzecza li się trochę ze mną; żartowali silnie z przeora z jego osądu w sprawie kapelusznika i skromnej opinii jaką miał o przeorach i kanonikach. Przedłożono mu kwestyę testamentu; zamiast ją rozstrzygnąć, opowiedział nam wydarzenie z własnego życia.

PRZEOR. — Przypominacie sobie olbrzymie bankructwo bankiera Bourmont.

OJCIEC. — Czy sobie przypominam! i mnie szarpnęło ono trochę.

PRZEOR. — Tem lepiej!

OJCIEC. — Czemu tem lepiej?

PRZEOR. — Temu, iż, jeżeli źle uczyniłem, większą będę miał ulgę w sumieniu. Zamianowano mnie syndykem wierzycieli. Znalazł się, pomiędzy czynnymi walorami Bourmonta, oblig na sto talarów, wystawiony przez biednego kupca mieszkającego w sąsiedztwie. Oblig ten, podzielony pomiędzy ilość wierzycieli, nie sięgał ani dwunastu su na głowę; ściągnięty zaś z nieboraka, byłby go wtrącił w ruinę. Przypuściłem...

OJCIEC. — Iż każdy wierzyciel z osobna nie odmówiłby dwunastu su na rzecz nędzarza; podarłeś ksiądz weksel i uczyniłeś jałmużnę z mojej sakiewki.

PRZEOR. — W istocie; czy się pan gniewa?

OJCIEC. — Nie.

PRZEOR. — Niechże pan zechce uwierzyć, że inni równie nie gniewaliby się jak pan; i rzecz załatwiona.

OJCIEC. — Ale, księżę przeorze, jeżeli drzesz, mocą własnej powagi, jeden weksel, dlaczego nie podrzesz dwóch, trzech, czterech; tyle ilu się znajdzie biedaków do wspomżenia cudzym kosztem? Ta zasada miłosierdzia może nas zaprowadzić daleko, księżę przeorze: sprawiedliwość, sprawiedliwość...

PRZEOR. — Już to powiedziano nieraz: jest często wielką niesprawiedliwością.

Młoda osoba, która mieszkała na pierwszym piętrze, zeszła w tej chwili do nas; istne wcielenie wesołości i pustoty. Ojciec spytał czy ma nowiny o mężu: ów mąż, był to ladaco, który dał swojej żonie przykład złych obyczajów (o ile mi się zdaje, poszła potrosze za tym przykładem) i który, aby uniknąć pościgu wierzycieli, puścił się na Martynikę. Pani d'Isigny — było to nazwisko naszej lokatorki — odparła: „Mąż? Bogu chwała, nie słyszałam już o nim; może utonął.

PRZEOR. Utonął! winszuję pani.

PANI D'ISIGNY. — Cóż panu na tem zależy, księżę przeorze?

PRZEOR. — Mnie nic, ale pani?

PANI D'ISIGNY. — A co mnie?

PRZEOR. Hm, powiadają...

PANI D'ISIGNY. — Cóż powiadają?

PRZEOR. — Skoro pani chce wiedzieć, powiadają że on przejął jakieś pani listy.

PANI D'ISIGNY. — Ba! czyż ja nie miałam w zamian ładnej kolekcji jego listów?

Na to, wszczęła się nad wyraz zabawna kłótnia pomiędzy przeorem a panią d'Isigny o przywileje obu płci. Pani d'Isigny wezwała mnie na pomoc; miałem właśnie dowieść przeorowi że pierwsze z małżonków które naruszy umowę wraca wolność drugiej stronie; ale ojciec poprosił o krymkę nocną, przerwał rozmowę i wyprawił nas spać. Skoro na mnie przyszła kolej życzyć mu dobrej nocy, ściskając go, rzekłem do ucha: „Poprawdnie, ojczy, zdaje mi się, że niema praw dla mądrego człowieka...

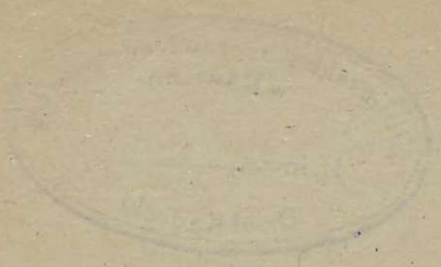
— Mów ciszej...

— Ponieważ wszystkie podlegają wyjątkom, do niego należy osądzić w którym wypadku winien się im poddać lub z nich wyzwolić.

— Nie gniewałbym się, odparł ojciec, gdyby był w mieście jeden albo dwóch obywateli takich jak ty; ale nie chciałbym w niem mieszkać, gdyby wszyscy myśleli tak samo.



PANI DE LA CARLIÈRE





PANI DE LA CARLIÈRE

CZYLI O NIEKONSEKWENCYI SĄDÓW PUBLICZNYCH
O NASZYCH PRYWATNYCH UCZYNKACH*).

- Wracamy?
- Wcześniej jeszcze.
- Czy widzisz te chmury?
- Nie obawiaj się; rozpierzchną się same, nawet bez najmniejszego poddmuchu wiatru.
- Tak sądzisz?
- Często uważałem to zjawisko w lecie, w gorącej porze. Niższa część atmosfery, pozbawiona, wskutek opadów wodnych, swej wilgoci, wchłonie część gęstej pary tworzącej ciemną oponę która zasłania ci niebo. Masa tej pary rozłoży się, mniejwięcej równomiernie, w całej masie powietrza; i, dzięki temu

*) Utwór ten, skreślony w r. 1772, bardzo głośny swojego czasu, stanowi, podobnie jak *To nie bajka...*, udratyzowane opowiadanie z rzeczywistego życia, i również krążył długo jedynie w rękopiśmianych kopiach. W druku ukazał się w r. 1798.

dokładnemu rozmieszczeniu lub kombinacyi, — jak ci się podoba nazwać — atmosfera stanie się jasną i przeźroczystą. Jestto niby doświadczenie laboratoryjne, odbywające się nad naszymi głowami. Za kilka godzin, punkty lazuru zaczną przebijać poprzez rozrzedzone chmury; chmury staną się coraz bardziej rzadkie; lazurowe okna coraz liczniejsze i obszerniejsze; niebawem, ani będziesz wiedział co się stało z czarnym welonem który cię przerażał, oraz zdumiesz się i uradujesz przejrzystością powietrza, czystością nieba i urodą dnia.

— Ależ prawda! podczas gdy mówiłeś, patrzałem na niebo, i zjawisko to zdawało się spełniać na twoje rozkazy.

— Zjawisko to jest poprostu związane ze stanem rozpuszczenia wody w powietrzu.

— Tak jak para, która ęmi zewnętrzną powierzchnię szklanki skoro napelnimy ją mrozoną wodą, jest jedynie rodzajem strątu.

— A te olbrzymie balony, płynące lub wiszące w atmosferze, są jedynie nadmiarem wody, której nasycone powietrze nie może rozpuścić.

— Tkwią w niej jak kawałki cukru na dnie filiżanki kawy, która nie może ich już więcej wchłonać.

— Bardzo słusznie.

— I przyrzekasz mi za powrotem...

— Sklepienie usiane gwiazdami, najpiękniejsze jakie kiedykolwiek widziałeś.

— Skoro tedy mamy dalej zażywać przechadzki, czy mógłbyś mi powiedzieć—wszakże ty znasz wszystkich którzy tu bywają— kto jest ten wysoki, suchy

i melancholiczny jegomość, który nie odezwał się ani słowa, i którego, skoro reszta towarzystwa się rozproszyła, zostawiono samego w salonie?

— To człowiek, którego boleść przejął mnie szczerym szacunkiem.

— A zowie się?

— Kawaler Desroches.

— Ten Desroches, który, po śmierci skąpego ojca, stawszy się właścicielem olbrzymiej fortuny, zasłynął przez swą rozrzutność, swoje miłości i niepokojne życie?

— On sam.

— Ten waryat, który przechodził wszelakiego rodzaju przeobrażenia, którego widziano kolejno w sutannie, w todze sędziowskiej i w uniformie?

— Tak, ten waryat.

— Jakże się zmienił!

— Życie jego jest pasmem osobliwych wydarzeń. Jestto jedna z najnieszcześniejszych ofiar kaprysów losu i nieopatrznych sądów ludzi. Skoro opuścił Kościół dla trybunału, rodzina podniosła krzyki oburzenia; cała zaś głupia publiczność, która nieodbitie staje po stronie ojców przeciw dzieciom, zaczęła nań ujadąć jednogłośnie.

— A cóż dopiero za gwałt, kiedy się wycofał z trybunału aby wstąpić do wojska!

— Wszelako, cóż on popełnił? dzielny czyn, którym szczylibyśmy się obaj, a który ściągnął nań reputację skończonego pomyślnca; i potem dziwisz się, że obłudne paplarstwo ludzkie nudzi mnie, niecierpliw, drażni.

— Dalibóg, wyznaję, iż sądziłem Desroches'a jak cały świat.

— I oto w jaki sposób, z ust do ust, przez to iż jedni stają się bezmyślnem echem drugich, podaje się dzielnego człowieka za durnia, rozumnego za głupca, zacnego za hultaja, odważnego za waryata, i naodwrot. Nie, te nedorzeczne paple nie warte są, aby, kierując swoim życiem, liczyć za cośkolwiek ich pochwałę lub nagane. Posłuchaj, do kroćset, i spal się ze wstydu.

Desroches został bardzo młodo rajcą parlamentu; pomyslnie okoliczności zaprowadziły go szybko do Wielkiej Izby; z kolei, przeszedł do sądu kryminalnego, gdzie poruczono mu raport w doniosłej sprawie karnej. Na podstawie jego wniosków, skazano złochnięcą na najśroźszą karę. W dzień egzekucyi, zwyczaj nakazuje urzędnikowi który spowodował wyrok trybunału, udać się do ratusza, iżby tam przyjął ostatnie rozporządzenie nieszczęśliwych, jeżeli życzą sobie je uczynić, jak to miało miejsce w tym wypadku. Było to w zimie. Desroches i jego kolega grzali się kolo ognia, kiedy im oznajmiono przybycie pacyenta. Człowieka tego, któremu tortura pogruchotała wszystkie członki, niesiono na materacu. Znalazłszy się w obliczu sędziego, podnosi się, obraca oczy ku niebu i woła: „Wielki Boże! sprawiedliwe sądy twoje!“. Złożono go na materacu u stóp Desroches'a.

— „I to pan mnie skazałeś! — rzekł, zwracając się doń, silnym głosem. — Jestem winien zbrodni o którą mnie oskarżają; tak, jestem winien, wyznaję. Ale pan nic o tem nie wiesz“.

Następnie, przechodząc całe śledztwo, wykazał mu, jasno jak na dłoni, że dowody były równie bezpodstawne jak wyrok niesprawiedliwy. Desroches, drżąc na całym ciele, zrywa się, drze na sobie togę sędziowską, i wyrzeka się na zawsze niebezpiecznej funkcji wyrokowania o życiu ludzkim. I oto kogo nazywają waryatem! Człowieka, który zna samego siebie, i lęka się pokalać suknię duchowną złymi obyczajami, lub też splamić ręce krwią niewinnego.

— Bo takich rzeczy się nie wie.

— Kiedy się nie wie, trzeba milczeć.

— Ale, aby milczeć, trzeba się mieć na baczności.

— A cóż szkodzi mieć się na baczności?

— To, iż odmawia się wiary dwudziestu ludziom których się szanuje, dla jednego którego się zna.

— Och, drogi panie, nie żądam tylu ręczycieli, kiedy chodzi o to aby uwierzyć w dobre!

— Ale w złe?..

— Dajmy temu pokój; odciągasz mnie od przedmiotu i drażnisz mnie. Trzebaż było jednak czemś być. Desroches kupił dowództwo kompanii.

— To znaczy, porzucił rzemiosło skazywania na śmierć bliźnich, aby ich zabijać zgoła bez żadnego procesu.

— Nie rozumiem jak można zartować z podobnych rzeczy.

— Cóż chcesz? jesteś smutny, a ja wesoly.

— Aby ocenić wartość gadań publiczności, trzeba baby znać dalszy ciąg jego dziejów.

— Poznam go, jeśli zechcesz.

— To będzie długie.

— Tem lepiej.

— Desroches odbywa kampanię w r. 1745, i spisuje się dzielnie. Uszedłszy niebezpieczeństw wojny, dwustu tysięcy strzałów z fuzyi, łamie nogę dosiadając narowistego konia, o kilkanaście mil od dworu gdzie zamierzał odbyć leże zimowe. Trzeba było słyszeć, w jaki sposób nasze bawidamki obnosiły ten wypadek.

— Ha! istnieją pewne osoby, z których świat przywykł się śmiać, i dla których nie znajduje nic prócz śmiechu.

— Człowiek który złamał nogę, to, w istocie, bardzo ucieszne! Wiec dobrze! panowie śmieszki, śmieście się do syta; ale wiedźcie, iż lepiej byłoby dla Desroches'a, gdyby go rozniosła kula armatnia, lub też gdyby był padł na polu bitwy z brzuchem rozprutym od pchnięcia bagnetu. Wypadek ten zdarzył mu się w małej wioszczynie, gdzie, poza plebanią lub zamkiem, nie było żadnego możliwego schronienia. Przeniesiono go do zamku, który należał do młodej wdowy nazwiskiem pani de la Carlière, dziedziczki tych włości.

— Któż nie słyshał o pani de la Carlière? Któż nie słyshał o jej bezgranicznem poświęceniu dla staro-
zego zazdrosnego męża, któremu chciwość rodziny wydała ją w czternastym roku życia?

— W owym wieku, w którym przyjmuje się naj-
poważniejsze ze wszystkich obowiązań dlatego aby
módz się rużować i nosić ładne kolczyki, pani de la
Carlière była, w pożyciu z mężem, najbardziej uwa-
żającą i uczciwą żoną.

— Wierzę temu, skoro tak powiadasz.

— Przyjęła i ugościła kawalera Desroches ze wszystkimi możliwymi względami. Interesy powoływały ją do miasta; mimo swoich spraw i ustawicznych deszczów jesiennych, które, wzdymając wody płynącej w sąsiedztwie Marny, narażały ją na to iż mogła wyjeżdżać z domu jedynie statkiem, przeciągała pobyt na wsi aż do zupełnego wyleczenia Desroches'a. Wyzdrowiał wreszcie; i oto, przywiązany wdzięcznością oraz bardziej słodkimi uczuciami do swej młodej, bogatej i pięknej gospodyni, jedzie, wraz z nią, w jednej kolasce do Paryża.

— Tak, to była niebiańska istota: ilekroć pojawiła się w teatrze, budziła powszechny zachwyty.

— I tam ją widziałeś?...

— Tak.

— W ciągu kilku lat trwania ich zażyłości, zakochany kawaler, który też nie był obojętnym pani de la Carlière, ofiarował jej kilka razy małżeństwo; ale świeża pamięć utrapień jakie zniosła pod jarzmem pierwszego małżonka, a bardziej jeszcze reputacya wietrznika jaką kawaler sobie wyrobił przez mnóstwo miłosnych przygód, przeraziły panią de la Carlière, która nie wierzyła w poprawę ludzi tego charakteru. Pani de la Carlière była wówczas w procesie ze spadkobiercami męża.

— Musiało też być sporo gadań z okazji tego procesu?

— Owszem, i to wszelkiego rodzaju. Możecie się domyślić, że Desroches, który zachował wielu przy-

jaciół w palestrze, krzątał się gorliwie koło sprawy pani de la Carlière.

— Która też była mu wdzięczna.

— Wystawał bezustanku pod drzwiami sędziów.

— Zabawne jest, iż, mimo że zupełnie wyleczony ze złamania, nie pokazywał się w sądzie inaczej jak w pantoflu. Utrzymywał, iż prośby jego, poparte pantoflem, działają bardziej wzruszająco. Prawda, iż wzuwał go raz na jedną raz na drugą nogę, z czego nawet śmiano się potrochu.

— I, aby go odróżnić od krewniaka tego samego nazwiska, wołano go Desroches-Pantofel. Wreszcie, dzięki słuszności sprawy i przy pomocy patetycznego pantofla, pani de la Carlière wygrała proces.

— I została panią Desroches, w obliczu Boga i ludzi.

— Jak tobie pilno! Nie lubisz pospolitych szczegółów; dobrze, daruję ci je. Porozumieli się zatem ostatecznie, i chwila połączenia była już bliska. Jednego dnia, po wielkim obiedzie, pośród licznej grona złożonego z obu rodzin i z garści przyjaciół, pani de la Carlière, przybierając dostojną postawę i uroczysty ton, zwróciła się do kawalera i rzekła:

„Panie Desroches, posłuchaj. Dzisiaj, jesteśmy oboje wolni, jutro już nie; mam się stać panią twego szczęścia lub nieszczęścia, jak i ty mego wujem. Co do mnie, zastanowiłam się dobrze; racz i ty pomyśleć poważnie nad tem. Jeżeli czujesz w sobie ten sam popęd do miłostek jaki władał tobą dotąd; gdybym nie wystarczała całej rozciągłości twych pragnień, nie wiąż się; zaklinam cię na ciebie samego

i na siebie. Pomyśl, że, im mniej uważam się za stworzoną na kopciuszka domowego, tem żywiej odczułabym zniewagę. Jestem ambitna, i to bardzo. Nie umiem nienawidzić, ale nikt bardziej nie umie gardzić i to wzgardą bez apelacyi. Jutro, u stóp ołtarza, poprzyśięgniesz należeć do mnie i tylko do mnie. Wejdz w siebie; zapytaj serca póki jeszcze czas; pomyśl, że idzie tu o moje życie. Wierzaj mi, łatwo jest mnie zranić, a rana mojej duszy nie zabliźnia się nigdy, krwawi zawsze. Nie będę się skarżyć, ponieważ skarga zrazu nudzi, a w końcu pogarsza zło; i ponieważ litość jest uczuciem poniżającym dla tego kto ją budzi. Zdławię w sobie boleść; przypłacę ją życiem. Kawalerze, powierzę ci moją osobę i mienie, poddam ci mą wolę i zachcenia; będziesz wszystkim dla mnie; ale trzeba abym ja była wszystkim dla ciebie: nie mogę z tego ustąpić ani na jotę. Jestem, jak sądzę, jedynym przedmiotem twych uczuć w tej chwili; ty jesteś nim z pewnością dla mnie; ale może się zdarzyć iż ty spotkasz miłszą kobietę, lub ja mężczyznę który mi się wyda miłszym od ciebie. Gdyby wyższość przymiotów, rzeczywista lub urojona, usprawiedliwiała niestałość, nie byłoby w świecie uczciwości. Ja jestem uczciwa; chcę abyś ty był nim również. Gotowa jestem do wszystkich poświęceń, aby cię niemi zdobyć bez zastrzeżeń. Oto moje prawa, oto moje dogmaty; nie ustąpię z nich nigdy. Uczynię wszystko, abyś, w razie złamania wiary, okazał się nietylko niestałym, ale abyś, wedle sądu wszystkich zących ludzi, wedle sądu własnego sumienia, był ostatnim niewdzięcznikiem. Przyjmuję ten sam zarzut, jeżeli twoim stara-



niom, twoim względem, twojej czułości nie odpowiem ponad twe nadzieje. Poznałam do czego jestem zdolna, przy boku męża, przy którym obowiązki żony nie były lekkie ani przyjemne. Wiesz obecnie, czego możesz po mnie oczekiwać; rozważ, czego możesz się lękać ze swej strony. Oświadczyć się, kawalerze, oświadczyć się jasno. Albo zostanę twą żoną, albo będę ci nadal przyjaciółką: wybór nie jest zbyt okrutny. Mój przyjacielu, mój drogi przyjacielu, zaklinam cię, nie narażaj mnie na to abym musiała nienawidzić, abym musiała unikać ojca moich dzieci; i, być może, w napadzie rozpacz, odtrącać ich niewinne pieszczoty. Obym mogła przez całe życie, wciąż z nowym zapalem, odnajdywać w nich ciebie, i radować się iż zostałam ich matką. Daj mi największy dowód zaufania jakiego kiedykolwiek uczciwa kobieta żądała od zagnanego mężczyzny; nie przyjmuj mojej ręki, jeżeli sądzisz iż stawiam za nią zbyt wysoką cenę. Nietylko nie obrażę się o to, ale owinę ramiona dokoła twojej szyi; i, zaprawdę, miłość tych które kiedykolwiek podbiłeś, oraz słodkości jakie im rozpowiadałeś, nie zjednały ci nigdy równie szczerego, równie serdecznego pocałunku, jak ten który będziesz zawdzięczał własnej otwartości i mojej wdzięczności!

— Zdaje mi się, że słyszałem, swego czasu, bardzo zabawną parodyę tej przemowy.

— Z ust jakiejś serdecznej przyjaciółki pani de la Carlière?

— Na honor, przypominam sobie; zgadłeś.

— I to nie miałoby wystarczyć, aby wypędzić człowieka w głąb lasów, zdala od całej tej dobrze

wychowanej kanalii, dla której niema nic świętego? Tak zrobie; skończy się na tem. Ani chybi; tak zrobie. Zebranie, które zaczęto od uśmieszków, skończyło się wśród łez. Desroches rzucił się do nóg pani de la Carlière, obsypując ją szczeremi zaklęciami. Nie ominał niczego coby mogło obciążyć lub uniewinnić jego poprzednie prowadzenie; porównał panią de la Carlière z kobietami które znał i porzucił; wyciągnął z tego słusznego i pochlebnego zestawienia pobudki zdolne ją uspokoić, zdolne ubezpieczyć jego samego przeciw modnej płochości, przeciw wybrykom, młodego wieku, płynącym raczej z powszechnego obyczaju niż z własnego charakteru. Wszystko co, mówił, mówił w istocie z przekonania, z intencją poparcia słów czynem. Pani de la Carlière patrzyła nań, słuchała, starała się przeniknąć jego słowa, gesty, i tłómaczyła wszystko na jego korzyść.

— Czemużby nie, jeżeli mówił szczerze.

— Pozwoliła się ująć za rękę, którą on całował, przyciskał do serca, całował znowu, zraszał łzami. Wszyscy dokoła podzielali ich tkliwość; wszystkie kobiety czuły jak pani de la Carlière, mężczyźni jak kawaler.

— To właściwość szlachetnego wzruszenia, iż zdoła tchnąć w wielkie zgromadzenie jedną duszę i jedną myśl. Jak ludzie się cenią, jak kochają w takich chwilach! Jak piękna naprzykład jest ludzkość w teatrze! Dlaczego trzeba rozstawać się tak szybko! Ludzie są tak dobrzy i tak szczęśliwi, kiedy zachość zjednoczy ich uczucia, zleje je, zespoli w jedno!

— Cieszyliśmy się tem szczęściem które i nas

zbliżało do siebie wzajem, kiedy pani de la Carlière, ulegając popędowi szlachtetnej duszy, wstała i rzekła: „Kawalerze, nie wierzę ci jeszcze, ale za chwilę uwierzę.“

— Milusia hrábinka doskonale przedrzeźniała ten zapał swej pięknej krewniaczki.

— Łatwiej jej go przedrzeźniać niż odczuć. „Śluby wyrzeczone u stóp ołtarzy...“ Śmiejesz się?

— Na honor, przepraszam; ale widzę jeszcze hrabinę, jak wspina się na końce palców, i słyszę jej ton napuszony.

— Ech, jesteś niegodziwy, zepsuty, jak cała ta gramada; nie powiem nic więcej.

— Przyrzekam się już nie śmiać.

— Pamiętaj.

— A zatem, śluby wyrzeczone u stóp ołtarzy...

— Tyle razy były wiarołomnie zdeptane, iż nie przywiązuję żadnej wagi do jutrzejszej uroczystej obietnicy. Obecność Boga mniej nam jest straszliwa, niżeli sąd bliźnich. Panie Desroches, zbliż się pan. Oto moja ręka, podaj mi swoją, i poprzysiąż wierność i miłość wiekuistą; weź na świadków wszystkich obecnych. Zgódź się, gdybyś mi dał słuszne powody do skargi, abym cię pozwała przed ten trybunał i wydała cię jego oburzeniu. Zgódź się, aby się zebrali na moje wezwanie, i aby cię nazwali zdrajcą, niewdzięcznym, przewrotnym, fałszywym, złym człowiekiem. Są to moi i twoi przyjaciele. Zgódź się na to, aby, w chwili gdy ja cię utracę, i oni opuścili cię wszyscy. Wy, moi przyjaciele, przysiążcie że go zostawicie samego.“

Natychmiast salon zabrzmiał od zmieszanych okrzyków: Przysięgam! przysięgam! godzę się! przysięgamy! I, pośród tego rozkosznego zgiełku, kawaler, chwyciwszy w ramiona panią de la Carlière, całował ją w czoło, we włosy, policzki. „Ależ, kawalerze!“

— „Ależ, pani, ceremonia spełniona; jestem twoim mężem, ty moją żoną.“

— „W głębi lasów, oczywiście; ale tutaj, brakuje pewnej przyjętej formalności. W oczekiwaniu czegoś więcej, masz oto mój portret; uczyn z nim co ci się podoba. Czy i ty nie zamówiłaś swojej miniatURY? Jeśli masz, daj mi ją.“

Desroches podał swój portrecik pani de la Carlière, która umieściła go na ramieniu i pozwalała się nazywać, przez resztę dnia, panią Desroches.

— Pilno mi dowiedzieć się co z tego wyniknie.

— Chwilkę cierpliwości. Przyrzekłem być roz-wlekłym; trzebaż dotrzymać słowa. Ale... to prawda... to wszystko działo się w czasie twojej wielkiej podróży, nie było cię wówczas w kraju.

Dwa lata, dwa pełne lata, Desroches i jego żona tworzyli najbardziej szczęśliwe i zgodne stadło. Sądzono iż Desroches szczerze się poprawił; tak było w rzeczywistości. Towarzysze jego swywoli, którzy słyszeli o uprzedniej scenie i żartowali z niej, powiadali iż w istocie to ksiądz przynosi nieszczęście, i że pani de la Carlière, odkryła, po upływie dwóch tysięcy lat, tajemnicę uniknięcia przekleństwa sakramentu. Pani de la Carlière, którą będę nazywał panią Desroches aż do chwili w której wypadnie mi ją nazywać inaczej, powiła dziecko. Chciała bezwarunkowo je kar-

mić. Był to długi i niebezpieczny okres dla młodego człowieka o bujnym temperamentcie i mało podatnego do tego rodzaju życia. Podczas gdy pani Desroches poświęcała się swoim obowiązkom, mąż udzielał się w świecie; otóż, na swoje nieszczęście, spotkał tam jedną z owych kobiet uroczych a przewrotnych, podrażnionych tajemnie tem iż widzą gdzieindziej harmonię której brakuje w ich domu, jedną z istot czyniących sobie zabawę i pociechę z tego, aby pogrążyć innych w niedoli której same są pastwą.

— To ty tak przedstawiasz rzeczy, ale nie ona...

— Desroches, który znał siebie, który znał żonę, szanował ją, obawiał się jej...

— To prawie to samo...

— Pędził dni obok niej, w domu. Dziecko, ubóstwiane przezeń, przebywało niemal równie często w jego ramionach co w objęciach matki, której, wraz z kilkoma przyjaciółmi, starał się, zapomocą domowych zabaw, umilić zacne ale uciążliwe zadanie.

— To bardzo pięknie.

— Zapewne. Jeden z jego przyjaciół wplątał się w finansowe operacye rządu. Ministerstwo było mu winne znaczną sumę, która stanowiła prawie cały jego majątek, a której zwrotu napróżno się domagał. Zwierzzył się Desroches'owi. Ten przypomniał sobie, iż był niegdyś bardzo dobrze z kobietą, która, dzięki swoim wpływom i stosunkom, mogłaby pomyślnie zakończyć tę sprawę. Zmilczał. Ale, zaraz nazajutrz, udał się do tej kobiety aby z nią pomówić. Ucieszyła się serdecznie spotkaniem, oraz możliwością oddania usługi uroczeniu człowiekowi którego niegdyś tkliwie kochała,

a którego poświęciła dla ambitnych widoków. Po pierwszym widzeniu spotkali się jeszcze kilka razy. Była to osoba czarująca. Zawiniła wobec Desroches'a; a sposób w jaki kajała się za winy był wcale niedwuznaczny. Desroches trwał przez jakiś czas w niepewności co uczyni.

— Na honor, nie wiem czemu.

— Ale, nawpół przez pociąg, bezczynność lub słabość, nawpół z obawy aby błahy skrupuł...

— Co do rozrywki dość obojętnej dla jego żony...

— Nie osłabił zapału protektorki w sprawie przyjaciela i nie udaremnił negocyacji, zapomniał na chwilę o pani Desroches i wplątał się w miłośćkę. Wspólniczka jego miała nader ważne przyczyny aby chować rzecz całą w tajemnicy, co pociągnęło za sobą konieczną i stałą korespondencję. Widywali się mało, ale pisywali dużo. Powtarzałem sto razy kochankom: Nie piszcie, listy was zgubią; wcześniej lub później przypadek skieruje który z nich pod niewłaściwym adresem. Przypadek kombinuje wszystkie możliwe wydarzenia; potrzeba mu jedynie czasu aby wylosować nieszczęśliwą liczbę.

— Nikt ci nigdy nie uwierzył?

— I wszyscy się tem zgubili, i Desroches, jak sto tysięcy przed nim, i sto tysięcy którzy przyjdą po nim. Desroches chował listy w szkatułce opancerzonej od góry i z boków obręczami ze stalowej blachy. W mieście, czy na wsi, szkatułka była pod kluczem w sekretarzyku. W podróży, spoczywała w walizie Desroches'a na przedzie kolasy. Tak było właśnie tym razem. Jada, przybywają na miejsce. Wsiadając, Des-

roches oddaje służącemu szkatułkę z poleceniem zanieśienia jej do jego pokoi, dokąd droga prowadziła przez pokoje żony. W drodze, pierścień pęka, szkatułką pada, wieko się otwiera, i oto mnóstwo listów rozsypuje się u stóp pani Desroches. Podnosi kilka i przekonuje się o zdradzie męża. Nigdy chwili tej nie mogła sobie przypomnieć bez dreszczu. Mówiła mi, iż całe jej ciało oblało się zimnym potem: miała uczucie iż żelazne szpony ściskają jej serce i szarpia wnętrzności. Co się z nią stanie? Co uczyni? Skupiła się w sobie; przywołała resztkę sił i przytomności. Wybrała, z pomiędzy listów, kilka najbardziej wymownych, przymocowała z powrotem denko i kazała służącemu zanieść szkatułkę do pokoi pana, nie powiadając, pod grozą natychmiastowego wypędzenia, o tem co się wydarzyło. Przynęła Desroches'owi że nigdy nie usłyszy z jej ust jednej skargi; dotrzymała słowa. Jednakże, trawił ją głęboki smutek, płakała niekiedy; życzyła sobie być sama, bądź w domu bądź na przechadzce; kazała podawać obiad u siebie; milczała nieustannie, lub wzdychała mimowoli. Strapiiony ale spokojny Desroches przypisywał ten stan waporom, mimo że kobiety karmiące nie podlegają tej chorobie. W bardzo krótkim czasie, zdrowie żony podupadło tak, iż trzeba było opuścić wieś i wrócić do miasta. Pani Desroches wyprosiła sobie, iż odbędzie drogę w oddzielnym powozie. Za powrotem do miasta, umiała postępować tak zręcznie i ogłędnie, iż Desroches, który nie zauważył braku kilku listów, widział w pewnym oddaleniu żony, w jej obojętności, wydzierających się westchnieniami,

powstrzymywanych łzach, w jej pociągu do samotności, jedynie zwyczajne objawy choroby o jaką ją pomawiał. Niekiedy, radził żonie aby przerwała karmienie; ale był to właśnie jedyny sposób zapomocą którego mogła, dopóki się jej spodoba, oddalić wyjaśnienia pomiędzy nią a mężem. Desroches żył tedy nadal obok żony, w najzupełniejszym spokoju co do bezpieczeństwa swojej tajemnicy, kiedy, jednego ranka, ukazała mu się, wspaniała, szlachetna, godna, ubrana w tę samą szatę i strojna w te same ozdoby jakie miała na sobie w czasie owego słynnego zebrania w wilię ślubu. To co straciła na świeżości i tuszy, to co tajemna zgryzota ujęła jej z wdzięków, wynagradzała z nawiązką szlachetność postawy. Kiedy żona weszła, Desroches pisał właśnie do kochanki. Zmieszali się oboje; ale, ponieważ oboje byli jednako zręczni i oboje mieli przyczynę aby ukryć zmieszanie, było ono tylko przolotne. „Och, żono! wykrzyknął Desroches, mnąc, jakby przez roztargnienie, zapisaną ćwiartkę, jakaś ty piękna! Jakie masz zamiary na dzisiaj? — Zamiarem moim jest zgromadzić nieco blizkich osób. Zaprosiłam krewnych, przyjaciół i liczę na ciebie. — Oczywiście. O której godzinie mam się stawić? — O której? ależ... jak zwyczajnie. — Widzę że masz wachlarz i rękawiczki, czy wychodzisz? — Jeżeli pozwolisz. — Można wiedzieć dokąd? — Do matki. — Proszę, bądź łaskawa wyrazić jej mój szacunek. — Twój szacunek? — Oczywiście.“

Pani Desroches wróciła dopiero w chwili gdy miano siąść do stołu. Goście przybyli. Czekano na panią domu. Skoro weszła, rozległ się ten sam okrzyk

jaki widok jej wydarł z ust męża. Mężczyźni, kobiety otoczyli ją, powtarzając chórem: „Ależ patrzcie, jaka ona piękna!“ Kobiety poprawiały jej uczesanie, cokolwiek zburzone. Mężczyźni, trzymając się w pewnem oddaleniu, nieruchomi z podziwu, powtarzali między sobą: „Nie, Bóg ani natura nie uczynili, nie mogli uczynić nic bardziej wspaniałego, wielkiego, pięknego, szlchetnego, doskonałego.“ — Ależ, żono, mówił Desroches, wydajesz mi się jakaś obojętna na wrażenie jakie czynisz. Przez litość, nie uśmiechaj się; uśmiech towarzyszący tyłu wdziękóm, przypawilby nas wszystkich o szaleństwo.“ Pani Desroches odpowiedziała lekkim gestem oburzenia, odwróciła głowę i podniosła chustkę do oczu, które zaczynały wilgnać. Kobiety, przywykłe uważać wszystko, pytały po cichu: „Co jej jest? Moznaby mniemać że lada chwila się rozplacze.“ Desroches, który odgadywał ich słowa, przykładał rękę do czoła, dając znak iż żona cokolwiek cierpi na głowę.

— W istocie, pisano mi w dalekiej strony o krążącej pogłosce, iż piękna pani Desroches, niegdyś piękna pani de la Carlière, uległa pomięszaniu zmysłów.

Podano do stołu. Wesołość zajaśniała na wszystkich twarzach, z wyjątkiem pani de la Carlière. Desroches żartował zlekka z jej uroczystego wejrzenia. Nie dbał natyle o własny rozum ani o rozum przyjaciół, aby się lękać niebezpieczeństwa jej uśmiechu. „Żonusi, gdybyś raczyła się uśmiechnąć.“ Pani de la Carlière udała że nie słyszy i zachowała powagę. Kobiety oświadczyły, że z każdym wyrazem jest jej tak do twarzy, iż można jej zostawić wolny wybór.

Obiad się skończył. Towarzystwo przeszło do salonu, zasiadając w koło. Pani de la Carlière...

— Chcesz powiedzieć pani Desroches?

— Nie; nie uważam za właściwe tak jej nazywać dłużej. Pani de la Carlière dzwoni; daje znak. Przynoszą jej dziecko, bierze je drżąc cała. Odsłania pierś, daje mu possać, i oddaje piastunce, popatrzysz na nie smutno, ucałowawszy je i zwilżywszy łzą która padła na lico dziecka. Ocierając łzę, rzekła: „To nie będzie ostatnia“. Ale wyrzekła te słowa tak cicho, iż zaledwie je słyszano. Widok ten wzruszył wszystkich obecnych, w salonie zapanowało głębokie milczenie. Wówczas, pani de la Carlière podniosła się, i, zwracając się do całego zebrania, powiedziała co następuje, lub coś podobnego:

— Moi krewniacy, moi przyjaciele, byliście wszyscy tutaj w dniu w którym dałam słowo panu Desroches, i w którym on mi dał swoje. Przypominacie sobie z pewnością warunki pod jakimi przyjął jego rękę. Panie Desroches, mów. Czy byłam wierną swojej obietnicy? ... — Do ostatnich granic. — A ty, panie Desroches, oszukałeś mnie, zdradziłeś... — Ja, pani! ... — Ty sam. — Kto jest ów nieszczęsny, niegodziwy, który... — Nieszczęsną jestem tutaj tylko ja, niegodziwym tylko pan ...

— Pani, żono ... — Nie jestem już nią... — Pani! — Proszę, nie dodawaj kłamstwa i zuchwalstwa do przewrotności. Im bardziej będziesz się bronił, tem większy wstyd cię czeka. Oszczędź samego siebie...

Domawiając tych słów, wyjęła z kieszeni listy, podała kilka Desroches'owi, resztę zaś rozdała

obecnym. Wzięli je, ale nikt nie czytał. „Panowie, panie, rzekła pani de la Carlière, czytajcie i sądźcie nas. Nie wyjdziecie stąd, zanim nie wydacie wyroku“. Następnie, zwracając się do Desroches'a: „Co do pana, musi ci być znane to pismo“. Goście wahali się jeszcze, ale, na ponowne prośby pani de la Carlière, przeczytali. Tymczasem, Desroches, drżący, nieruchomy, oparł głowę o szybę, odwrócony plecami do towarzysstwa, na które nie śmiał spoglądać. Jeden z przyjaciół ulitował się nad nim, wziął go za rękę i wyprowadził z salonu.

— Donosząc o szczegółach tej sceny, powiadano mi że Desroches był bardzo płaski, żona jego zaś uczciwie śmieszna.

— Nieobecność Desroches'a ośmieliła zebranych. Uznali jego błąd; przyznali słuszność urazie pani de la Carlière, byleby nie posuwała jej zbyt daleko. Wszyscy skupili się koło niej; zaczęli ją naglić, błagać, zaklinać. Przyjaciel który wyprowadził Desroches'a, wchodził i wychodził donosząc mu co się dzieje. Pani de la Carlière pozostała nieugięta w postanowieniu którego nie objawiła jeszcze. Na wszystko co jej przedkładano, powtarzała wyłącznie jedno: Kobiетom mówiła: „Moje drogie, nie potępiam waszej pobłażliwości.“ Mężczyznom: „Panowie, to niemożliwe: ufność przepadła, niema już żadnej rady“. Sprowadzono męża. Był wpół żywy. Raczej upadł niż rzucił się do stóp żony; nie mógł rzec słowa. Pani de la Carlière rzekła: „Proszę, wstań pan“. Podniósł się, ona zaś dodała: „Jesteś pan złym mężem; przekonam się, czy jesteś przyzwoitym czło-

wiekim. Nie mogę już pana kochać ani szanować; to dość, abyś zrozumiał, że nie jesteśmy stworzeni aby żyć razem. Zostawiam panu swój majątek. Żądam jedynie części potrzebnej na skromne utrzymanie dla mnie i dla dziecka. Uprzedziłam matkę. Mam u niej przygotowane mieszkanie; pozwolisz pan iż zajmę je natychmiast. Jedyna łaska o jaką proszę i do której mam prawo, to abyś mi oszczędził rozgłosu, który nie zmieniłby moich zamiarów, a którego jedynym skutkiem byłoby przyspieszenie okrutnego wyroku jaki na mnie wydałeś. Pozwól, abym zabrała dziecko, i abym, przy boku matki, doczekała chwili, w której ona mi zamknie oczy, albo też ja zamknę je jej. Jeżeli ta sytuacja jest ci przykłą, bądź pewien iż boleść moja oraz podeszły wiek mej matki skrócą ją niebawem“.

Tymczasem, łzy płynęły ze wszystkich oczu; kobiety trzymały panią de la Carlière za ręce: mężczyźni rzucili się do jej stóp. Ale, kiedy pani de la Carlière postąpiła ku drzwiom, trzymając dziecko w ramionach, rozległy się powszechne szlochania i krzyki. Mąż wołał: „Żono! żono! wysłuchaj mnie; ty nie wiesz...“ Mężczyźni krzyczeli, kobiety krzyczały: „Pani Desroches! panil“ Mąż krzyczał: „Przyjaciele, czy pozwolicie jej odejść? Zatrzymajcie ją, zatrzymajcież przecie; niech mnie wysłucha, niech się z nią rozmówię“? Kiedy nalegano nań aby się rzucił do jej stóp, mówił: „Nie, nie mogę, nie śmiem: ja miałbym zbliżyć się do niej! dotknąć jej! nie jestem godzien“.

Pani de la Carlière opuściła dom. Byłam u jej matki kiedy tam przybyła, złamana wysiłkiem tych ciężkich

chwil. Troje służby wydobyło ją z powozu i niosło za głowę i nogi; piastunka, blada jak śmierć, podążała za panią, z dzieckiem uspionem na piersi. Złożono nieszczęśliwą kobietę na kanapie, gdzie przez długi czas pozostawała bez ruchu, pod okiem starej i czcigodnej matki. Matka, niezdolna wydać głosu, krzątała się bezradnie dokoła niej, chciała nieść pomoc córce i nie mogła. Wróciła jej świadomość; a pierwsze słowo przy otwarciu powiek, było: „Nie umarłam tedy! Jakaż to słodka rzecz umrzeć! Mamo, ułóż się tutaj, obok mnie, i umrzyjmy obie. Ale, jeżeli umrzemy, kto będzie miał pieczę o to biedne małeństwo.“

Ujęła obie suche i drżące ręce matki w jedną rękę, drugą położyła na dziecku; z oczu jej popłynął strumień łez. Szlochała, chciała się skarżyć; ale i szlochanie i skargi przerywała gwałtowna czkawka. Skoro mogła wreszcie złożyć kilka słów, rzekła: „Czyż to możliwe aby on cierpiał tyle co ja!“ Tymczasem obecni starali się pocieszyć Desroches'a, tłumacząc, iż uraza o równie błahą przewinę nie może być trwała; ale że trzeba ustąpić, na parę chwil, dumie kobiety ambitnej, tkliwej i zranionej, którą uroczystość owej niezwyklej ceremonii zmuszała prawie, przez punkt honoru, do jakiegoś gwałtownego kroku. „To potrosze nasza wina, mówili mężczyźni... — Tak jest, w istocie, odpowiadały kobiety, gdybyśmy patrzyli na jej wzniosłe komedye tem samym okiem co publiczność i hrabina, dzisiejsze oplakane wydarzenie nie miałoby miejsca... Tak już jest; rzeczy otoczone pewną uroczystością imponują nam i popychają do

głupiego podziwu, podczas gdy należałoby jedynie wzruszyć ramionami i śmiać się... Zobaczycie, zobaczycie, co jeszcze wyniknie z tej ostatniej sceny, i jak nas okrzyczą wszystkich“.

— Mówiąc między nami, rzecz nadawała się do tego.

— Od tego dnia, pani de la Carlière wróciła do wdowiego nazwiska i nie pozwalała aby ją nazywano panią Desroches. Drzwi jej, długo zamknięte dla wszystkich, pozostały na zawsze zamknięte dla męża. Pisał do niej, paliła listy nie otwierając. Oświadczyła krewnym i przyjaciółom, iż zerwie stosunki z pierwszym który wstawi się za Desroches'em. Księża próbowali się w to wmięszać, ale bez skutku. Co się tyczy wysoko położonych figur, odtrąciła ich pośrednictwo z taką stanowczością i dumą, iż rychło poniechali zabiegów.

— Powiedzieli z pewnością że to waryatka, kobieta opętana cnotą.

— A publiczność powtórzyła to za nimi. Tymczasem, pani de la Carlière tonęła w melancholii; zdrowie jej zaczęło podupadać z przerażającą szybkością. Tyle osób było wtajemniczonych w to niespodziane rozłączenie i jego pobudki, iż niebawem stało się ono przedmiotem ogólnych rozmów. W tem miejscu, proszę cię, abys odwrócił oczy od pani de la Carlière, a skierował je na publiczność, na ową głupią ciżbę która nas sądzi, która rozporządza naszym honorem, wynosi nas pod chmury albo też włóczy w błocie, a którą szanuje się tem wyżej, im więcej ma się samemu chrakteru i cnoty. Niewolnicy opinii

publicznej, możecie być przybranymi synami tyranów, ale nigdy nie ujrzycie czwartego dnia Idów!... Był tylko jeden głos co do postępu pani de la Carlière: „To waryatka, którą należałoby zamknąć... Ładny przykład do naśladowania!... W takim razie, trzy czwarte mężów musiałyby się rozejść z żonami... Trzy czwarte, powiadacie? Czyż istnieje dwóch na stu, którzy byliby ściśle wierni?... Pani de la Carlière jest bardzo urocza, bezsprzecznie; dopełniła swoich warunków, zgoda; to wcielenie piękności, cnoty, honoru. Dodajcie, iż kawaler zawdzięczał jej wszystko. Ale też, chcieć, w całej Francyi, być jedną wyłączną posiadaczką swego męża, to zanadto śmieszna pretensya“. Mówiono jeszcze dalej: „Jeżeli Desroches taki jest w niej zacierzwiony, dlaczego nie zwróci się do władz, i nie przyprowadzi tej kobiety do porządku?“ Osądź, co byliby powiedzieli, gdyby Desroches lub jego przyjaciel mogli objaśnić sprawę; ale wszystko nakazywało im milczenie. Daremnie kotłowano uszy kawalera tą ostatnią radą. Byłby się zdobył na wszystko aby odzyskać żonę, wyjąwszy przemocy. Mimo to, pani de la Carlière zażywała bezspornej czci; pośród głosów które ją potępiały, podnoszono to lub owo na jej obronę; ale zawsze bardzo nieśmiało, bardzo słabo, oględnie, mniej z przekonania niż dla przyzwoitości.

— W okolicznościach najbardziej dwuznacznych, sztandar przyzwoitości gromadzi wielu zbiegów.

— Słuszne spostrzeżenie.

— Nieszczęście, które trwa długo, jedna w końcu

wszystkie sympatyę utrata zaś wdzięków pięknej kobiety jedna jej przychylność kobiet.

— Jeszcze lepiej. W istocie, skoro z pięknej pani de la Carlière pozostał już tylko szkielet, słowa współczucia zaczęły się mięszać do słów nagany. „Gasnąć tak w kwiecie wieku, pogrzebać się tak, i to przez zdradę człowieka którego ostrzegła, który powinien ją być znać, i który miał jeden jedyny sposób odwdzięczenia się za wszystko co uczyniła dla niego; mówiąc bowiem między nami, kiedy Desrosches ją zaślubił, był to młody urwis który miał tylko tyle co na sobie... Biedna pani de la Carlière, to jednak bardzo smętne... Ale też, dlaczego nie pojedna się z nim... Ba, dlaczego? Bo każdy ma swój charakter; a byłoby może pożądane aby taki jak jej zdarzał się częściej: nasi panowie i władcy zastanowiliby się może dwa razy nad swymi postępkami“.

Podczas gdy, robiąc siatkę lub haftując szalik, zabawiano się tak w *za* i *przeciw*, przyczem szala przechylała się nieznacznie na stronę pani de la Carlière, Desrosches popadł w rozpaczliwy stan duszy i ciała, ale świat go nie widywał: zamknął się na wsi, aby, w boleści i smutku, oczekiwać zmiłowania, które pokornie a bezskutecznie zebrał wszystkiemi drogami. Pani de la Carlière, doprowadzona do ostatecznego stopnia wynędznienia i niemocy, zmuszona była oddać najemnej kobiecie pieczę o wykarmienie dziecka. To, czego się obawiała po zmianie pokarmu, stało się w istocie; dziecko wędło z dnia na dzień, w końcu umarło. Wówczas to zaczęły się głosy: „Czy wiesz? ta biedna pani de la Carlière straciła

dziecko. — Musi być niepokieszona... Co mówicie, niepokieszona? Nie da się wręcz opisać tej zgryzoty. Widziałam ją; litość bierze! serce się rozdziera do prawdy... A Desroches?... Nie mówcie mi o mężczyznach; to tygrysy. Gdyby ta kobieta była mu bodaj trochę droga, czy siedziałby na wsi? czy nie byłby przyleciał? czy nie oblegalby jej na ulicy, po po kościołach, w domu? Człowiek, który bardzo chce, umie sobie drzwi otworzyć; nie rusza się z miejsca, kładzie się na ziemi, umiera...“ Faktem jest, iż Desroches nie poniechał żadnej z tych rzeczy, ale nie wiadomo o tem; główna bowiem rzecz jest nie *wiedzieć*, ale *gadać*. Gadano tedy... „Dziecko umarło... Kto wie, czy nie wyrosłoby na potwora jak jego ojciec?... Matka umiera... A mąż, co robi przez ten czas?... Ładne pytanie! W dzień ugania po lesie ze sforą psów, a noc spędza na barłożeniu się z pluchami takimi jak on... Doskonale“.

Inny wypadek. Desroches, żeniąc się, uzyskał zwolnienie ze służby. Pani de la Carlière wymagała aby porzucił karierę wojskową, i aby ustąpił swój pułk młodszemu bratu.

— Czyż Desroches miał młodszego brata?

— On nie, ale pani de la Carlière.

— No i?...

— No i młody człowiek zginął w pierwszej bitwie, i dalejże wszyscy zaczęli krzyżeć w koło: „Nieszczęście weszło do tego domu wraz z tym człowiekiem!“. Słuchając owych gadań, możnaby mniemać, iż strzał od którego młody oficer poległ, padł z ręki Desroches'a. Zaczęła się nagonka, szal równie

powszechny jak niepojęty. W miarę jak niedole pani de la Carlière mnożyły się, charakter Desroches'a stawał się coraz czarniejszy, zdrada jego olbrzymiała; nie będąc ani mniej ani więcej winny, stawał się z dnia na dzień bardziej znieawidzony. Sądzisz że to wszystko? Nie, nie. Matka pani de la Carlière miała przeszło siedmdziesiąt sześć lat. Pojmuję, iż śmierć wnuka i ustawiczny widok boleści córki wystarczały aby skrócić jej dni; ale, ostatecznie, była zgrzybiała, była niedołączna. Mniejsza; zapomniano o jej starości i chorobach: znowuż Desroches stał się odpowiedzialnym za jej śmierć. Tym razem, nazwano rzecz po imieniu; był to nędznik, do którego pani de la Carlière nie mogła się zbliżyć nie depcąc nogami wszelkiego wstydu; morderca jej matki, brata, syna.

— Ale, wedle tej pięknej logiki, gdyby pani de la Carlière umarła, zwłaszcza po długiej i bolesnej chorobie, któraby pozwoliła niesprawiedliwości i nie-nawiści publicznej rozwijać się stopniowo, świat powinienby patrzeć na Desroches'a jako na ohydneho mordercę całej rodziny.

— Tak też się stało i tak też świat uczynił.

— Dobryś!

— Jeżeli mi nie wierzysz, zwróć się do kogo-kolwiek z obecnych: zobaczysz co ci powiedzą w tej mierze. Jeżeli Desroches został sam w salonie, to dlatego, iż, z chwilą kiedy się pojawił, każdy odwrócił się doń plecami.

— Ależ dlaczego? Można wiedzieć że człowiek jest ładać, co nie przeszkadza że się go przyjmuje.

— Sprawa jest dosyć świeża; a wszyscy ci ludzie, to krewni albo przyjaciele nieboszczki. Pani de la Carlière umarła zeszłego roku w drugie święto Wielkiej Nocy, i wiesz gdzie? U św. Eustachego, podczas mszy, pośród tłumu ludzi.

— Cóż za szaleństwo! Umiera się w swoim łóżku. Kto kiedy wpadł na ten koncept aby umierać w kościele? To kobieta postanowiła być przesadną aż do końca.

— Tak, przesadną, słuszne określenie. Czuli się nieco lepiej. Wypowiadała się poprzedniego dnia. Mniemała iż jest dosć silna aby przystąpić do św. komunii w kościele, zamiast przyjmować ją w domu. Zaniesiono ją w lektyce. Wysłuchiwała mszy, nie skarżąc się i nie zdradzając cierpienia. Nadchodzi chwila komunii. Służebne ujmują ją pod ramię i prowadzą do stołu pańskiego. Ksiądz podaje jej komunię, ona nachyla się jakgdyby poto aby ją przyjąć i umiera.

— Umiera.

— Tak, umiera przesadnie, jak to nazwałeś.

— Dopieroż musiało zakotłować!...

— Nie mówmy o tem; można to sobie zresztą wyobrazić, i przejdźmy do dalszego ciągu.

— Z tą chwilą, ta kobieta staje się sto razy godniejszą współczucia, a jej mąż bardziej ohydny.

— Rozumie się samo przez się.

— I to jeszcze nie wszystko?

— Nie; przypadek chciał, aby Desroches znalazł się na drodze, kiedy panią de la Carlière przenoszono martwą z kościoła do domu.

— Wszystko jakby się spiknęło na tego nieboraka.

— Zbliża się, poznaje żonę, wydaje krzyk. Pytają kto jest ten człowiek. Z pośród tłumu odzywa się niewczesny głos (był to głos proboszcza parafii): „to morderca tej kobiety“. Desroches dodaje, łamiąc ręce, wydzierając sobie włosy: „Tak, tak, jestem nim, jestem“. Natychmiast, tłum skupia się koło niego; obsypują go zniewagami, zbierają kamienie; i, gdyby paru zacnych ludzi nie ocaliło go od wściekłości rozjuszonego motłochu, byłby został na miejscu.

— A jakie było jego postępowanie w czasie choroby żony?

— Bez zarzutu. Zwiedziony, jak my wszyscy, przez panią de la Carlière, która ukrywała innym swój bliski koniec, a być może nie przeczuwała go i sama...

— Rozumiem; stał się, mimo to, barbarzyńcą, okrutnikiem...

— Dziką bestyą, która utopiła stopniowo sztylet w piersi niebiańskiej kobiety, swej żony i dobrodziejki; człowiekiem który pozwolił jej zginąć nie pokazawszy się, nie dawszy najmniejszego znaku troskliwości i współczucia.

— I to za to, iż nie wiedział tego co mu ukrywano.

— I czego nie wiedzieli nawet ci, którzy z nią żyli najbliżej.

— I którzy mogli ją widywać codzień.

— Właśnie; i oto czem jest sąd ogółu o naszych prywatnych uczynkach; oto, jak drobny błąd...

— Och! bardzo drobny.

— Nabiera wagi w ich oczach, przez szereg wypadków których nie podobna było przewidzieć ani im zapobiedz.

— Nawet przez okoliczności zupełnie obce pierwotnemu źródłu; tak n. p. śmierć brata pani de la Carlière, wskutek odstąpienia pułku przez Desroches'a.

— Bo ludzie są, w dobrem jak i złem, naprzemian śmiesznymi chwalcami albo nedorzecznymi krytykami. Wynik jest zawsze sprawdzianem ich pochwały i nagany. Mój przyjacielu, słuchaj ich sądów, o ile cię nie nudzą; ale nie wierz im, i nie powtarzaj ich nigdy, pod grozą stania się współnikiem ich nedorzeczności. O czem-że ty myślisz? zadumałeś się.

— Odmieniam tezę, przypuszczając, u pani de la Carlière, postępowanie bardziej przeciętne. Znajduje listy; dąsa się. Po upływie kilku dni, niehumor jej sprowadza wyjaśnienie, a poduszka pojednanie, jak zazwyczaj. Mimo usprawiedliwień, zaklęć i ponawianych przysięg, lekki charakter Desroches'a pociąga go do drugiego błędu. Nowe dąsy, nowe wyjaśnienia, nowa zgoda, nowe przysięgi, nowe wiarołomstwa, i tak kolejno przez trzydzieści lat, jak jest w zwyczaju. Tu natomiast, Desroches jest szlachetnym człowiekiem, który sili się naprawić, zapomocą mnogich starań, zapomocą miłości bez granic, dość błahą przewinę.

— Jak nie zawsze jest w zwyczaju.

— Bez rozłączenia tedy, nie byłoby skandalu; żyliby razem, jak żyjemy wszyscy; teściowa, matka,

brat i dziecko mogliby umrzeć, a nikt nie pisnąłby słówka.

— Lub też, mówionoby o tem jedynie aby współczuć z nięszczęśliwym, prześladowanym przez los i nękanym dopustami.

— To prawda.

— Z czego wyciągam wniosek, iż nie daleki jesteś, aby temu szpetnému bydlęciu, o stu tysiącach głupich głów i tyluż złych językach, użyczyć całej wzgardy na jaką zasługuje. Ale, prędzej czy później, tak zwana publiczność powraca do rozsądku i sądy przyszłości naprawiają obecne paplaniny.

— Przypuszczasz zatem, iż przyjdzie chwila, w której świat ujrzy rzeczy tak jak są, obwini panią de la Carlière i rozgrzeszy Desroches'a?

— Nie sądzę nawet, aby ta chwila była oddalona; po pierwsze, ponieważ nieobecni nie mają racyi, niema zaś nieobecnego bardziej nieobecnego niż umarły; powtóre, ponieważ gada się, dysputuje; najbardziej zużyte wydarzenia wypływają w rozmowie i waży się je z większą bezstronnością; będzie się może jeszcze przez dziesięć lat patrzyło na tego biednego Desroches'a, jak ty nań patrzałeś, wlokącego od domu do domu żalospną egzystencję; ludzie zbliżą się do niego; zaczną pytać; wysłuchają go; nie będzie miał już przyczyny milczeć; wyjdzie na wierzch tło jego przygody; pierwsza jego przewina zmieni się w wielkie nic.

— To znaczy w to, czem była naprawdę.

— Słowem, jesteśmy jeszcze obaj dosyć młodzi, aby słyszeć, jak piękna, wielka, cnotliwa, godna pani

de la Carlière zmieni się w nieubłaganą i pyszną świętoszkę; ludzie bowiem podsycają się nawzajem: i, tak samo jak nie mają busoli w sądzie, tak też nie mają miary w wyrażeniu.

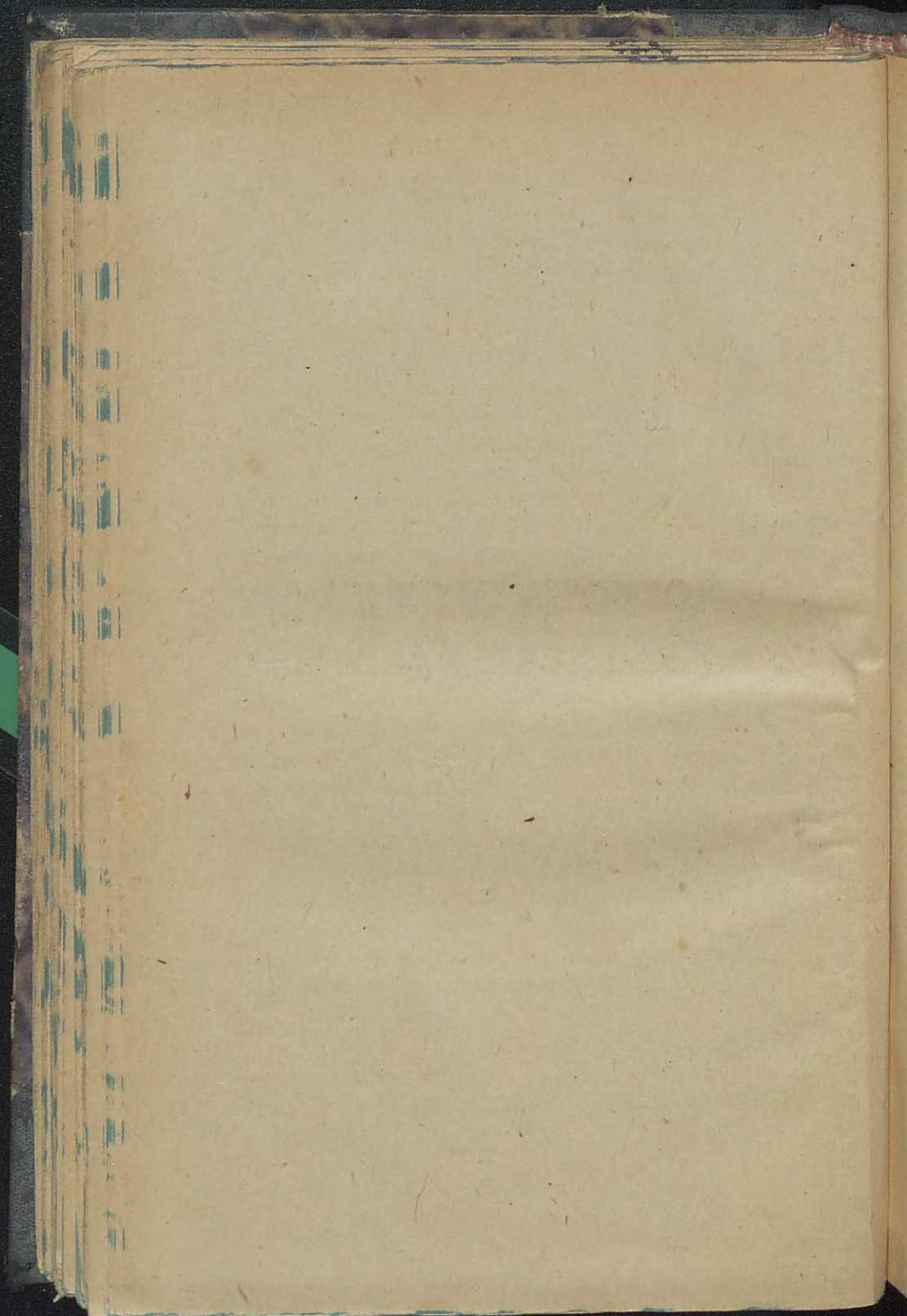
— Ale, gdybyś miał córkę na wydaniu, czy dałbyś ją Desroches'owi?

— Bez wahania, ponieważ jeno przypadek wtrącił go w przygodę, z której ani ty, ani ja, ani prawdopodobnie nikt nie zdołałby się ocalić; ponieważ przyjaźń, rycerskość, szlachetność, wszystkie możliwe okoliczności przygotowały jego przewinę i usprawiedliwienie; ponieważ postępowanie jego, od chwili dobrowolnego rozłączenia z żoną, było bież zarzutu, i ponieważ, nie pochwalając niewiernych mężów, nie cenię szczególnie wysoko kobiet przykładających tyle wagi do tego rzadkiego przymiotu. A wreszcie, mam swoje poglądy, być może słuszne, z pewnością dziwaczne, co do pewnych uczynków, które uważam nietyle za błędy ludzi, ile za następstwa naszego niedorzecznego prawodawstwa, źródła obyczajów równie niedorzecznych jak ono, i deprawacyi którą nazwałbym chętnie sztuczną. To nie jest zbyt jasne, ale wyjaśni się może innym razem*); a teraz, wracajmy do domu. Słyszę stąd zachryple krzyki naszych zawziętych karcciarek które cię wzywają; nie licząc iż dzień zapada i noc nadchodzi z owym licznym orszakiem gwiazd które ci przyrzekłem.

— To prawda.

*) Patrz: Przyczynek do podróży Bougainville'a.

ROZMOWA FILOZOFA
Z MARSZAŁKOWĄ DE ***.





ROZMOWA FILOZOFA 1)
Z MARSZAŁKOWĄ DE ***

Miałem nie pamiętać już jaką sprawę do omówienia z marszałkiem de ***. Udałem się, pewnego rana, do jego pałacu; marszałka nie było w domu, kazałem się więc oznajmić marszałkowej. Jestto urocza kobieta; piękna i nabożna jak anioł; twarz pełna słodyczy; dźwięk głosu i prostota wysłowienia harmonizują z fizyognomią. Była przy gotowalni. Podano mi fotel, usiadłem i zaczęliśmy gawędzić. Parę uwag jakie rzuciłem zbudowały ją i przejęły zdumieniem: była bowiem przeświadczona, iż człowiek, który zaprzecza istnienia przynajświętszej Trójcy, jestto skończony obwieś, godzien rusztowania. Jakoż, rzekła:

MARSZAŁKOWA . — Wszak to pan jesteś Krudeli?

KRUDELI. — Tak, pani marszałkowo.

MARSZAŁKOWA. — To pan zatem nie wierzysz w nic?

KRUDELI. — Do usług pani.

MARSZAŁKOWA. — Mimo to, pańskie poglądy moralne nie różnią się od pojęć człowieka wierzącego.

*) Utwór ten ukazał się po raz pierwszy w *Correspondance secrète* w r. 1776; później, w zbiorku drukowanym w Londynie, gdzie przypisano go mylnie włoskiemu filozofowi, Tomaszowi Crudeli.

KRUDELI. — Czemużby nie, o ile ten wierzący byłby, zarazem, uczciwym człowiekiem?

MARSZAŁKOWA. — I stosuje pan te poglądy w życiu?

KRUDELI. — Jak umiem najlepiej.

MARSZAŁKOWA. — Jakto, nie kradniesz pan, nie zabijasz, nie grabisz?

KRUDELI. — Bardzo rzadko.

MARSZAŁKOWA. — Cóż pan tedy zyskujesz na tem że w nic nie wierzysz?

KRUDELI. — Nic a nic, pani marszałkowo; czyż wierzy się dlatego, aby na tem coś zyskać?

MARSZAŁKOWA. — Nie wiem; ale korzyść osobista nic nie zawadzi, nawet w takich sprawach.

KRUDELI. — Przykro mi to nieco, ze względu na nasz biedny rodzaj ludzki. Nie przydaje nam to zaszczytu.

MARSZAŁKOWA. — Więc pan w istocie nie kradnie?

KRUDELI. — Nie, na honor.

MARSZAŁKOWA. — Jeżeli pan nie jesteś złodziejem ani mordercą, przyznaj, w takim razie, że nie jesteś konsekwentny.

KRUDELI. — Dlaczego?

MARSZAŁKOWA. — Bo mnie się wydaje, iż, gdybym się nie spodziewała ani nie lękała niczego po śmierci, nie odmawiałabym sobie, dopóki żyję na świecie, różnych drobnych przyjemności. Wyznaję, że pożyczam panu Bogu na procent.

KRUDELI. — Tak pani myśli?

MARSZAŁKOWA. — Nie myślę: to fakt.

KRUDELI. — A wolno zapytać, co to za rzeczy, na któreby sobie pani pozwalała, gdybyś nie wierzyła?

MARSZAŁKOWA. — O, nie! to tajemnica spowiedzi.

KRUDELI. — Co do mnie, umieszczam mój kapitał na dożywocie.

MARSZAŁKOWA. — To ucieczka nędzarzy.

KRUDELI. — Wolałaby mnie pani widzieć lichwiarzem?

MARSZAŁKOWA. — Ależ tak; pan Bóg nie boi się lichwy: niema obawy aby się go zrujnowało. Wiem dobrze, że to nie zbyt ładnie, ale o cóż chodzi? Skoro rzecz w tem, aby sobie zdobyć niebo, zręcznością lub siłą, trzeba wszystko brać w rachubę, nie lekceważyć najmniejszej korzyści. Och, daremniebyśmy się silili, stawka nasza będzie zawsze licha w porównaniu do zysku jakiego się spodziewamy. A pan, panie Krudeli, czy się pan niczego nie spodziewa?

KRUDELI. — Niczego.

MARSZAŁKOWA. — To smutne. Przyznaj pan tedy, że jesteś bardzo zły, albo bardzo szalony?

KRUDELI. — Doprawdy, nie mogę, pani marszałkowo.

MARSZAŁKOWA. — Jaką przyczynę może mieć niedowiarek aby być dobrym, o ile nie jest szalony? Chciałabym bardzo wiedzieć.

KRUDELI. — Powiem pani.

MARSZAŁKOWA. — Bardzo będę wdzięczna.

KRUDELI. — Czy nie myśli pani, iż człowiek może przyjść na świat z tak szczęśliwą naturą, iż znajduje wielką przyjemność w czynieniu dobrego?

MARSZAŁKOWA. — Owszem.

KRUDELI. — Że może otrzymać doskonale wychowanie, które wzmacnia wrodzony pęd do dobroczynności?

MARSZAŁKOWA. — Z pewnością.

KRUDELI. — I że, w dojrzałym wieku, doświadczenie może nas przekonać, iż, razem wzięwszy, bardziej opłaca się, dla własnego szczęścia, być uczciwym człowiekiem niż łajdakiem?

MARSZAŁKOWA. — Oczywiście; ale w jaki sposób zostanie ten człowiek uczciwym, jeżeli złe zasady łączą się z namiętnościami aby go ciągnąć do złego?

KRUDELI. — Jest niekonsekwentnym; czyż może być coś pospolitszego niż być niekonsekwentnym?

MARSZAŁKOWA. — Niestety! na nieszczęście, nie; można wierzyć, a codziennie postępować tak jakby się nie wierzyło.

KRUDELI. — A nie wierząc, żyje się mniejwięcej tak jakby się wierzyło.

MARSZAŁKOWA. — Niech i tak będzie; ale cóżby zawadziło mieć jedną rację więcej — religię — do czynienia dobrze, jedną zaś rację mniej — niedowiarstwo — do czynienia źle?

KRUDELI. — Nic a nic, gdyby religia była pobudką do czynienia dobrze, a niedowiarstwo pobudką do czynienia źle.

MARSZAŁKOWA. — Czyż można wątpić o tem? Czyż nie płynie z ducha religii, iż staje ona w każdej chwili wpoprzek naszej szpetnej skażonej naturze, podczas gdy niedowiarstwo zostawia swobodę złym instynktom, wyzwalając je z obawy?

KRUDELI. — Zdanie to, pani marszałkowo, wtrąci nas w długą dyskusję.

MARSZAŁKOWA. — Cóż to szkodzi? Marszałek nie

wróci tak rychło; lepiej wszak pogadać o rozsądnych rzeczach niż obmawiać bliźnich.

KRUDELI. — Trzeba mi będzie wziąć rzecz nieco z wysoka.

MARSZAŁKOWA. — Z jak wysoka pan zechce, byłbym zrozumiała.

KRUDELI. — Gdyby mnie pani nie zrozumiała, byłaby to z pewnością moja wina.

MARSZAŁKOWA. To bardzo grzeczne co pan mówi; ale trzeba panu wiedzieć, że jedyne dzieło, które czytałam, to książka do modlenia, i że wyłącznym mem zajęciem było strzeżenie zasad Ewangelii i rodzenie dzieci.

KRUDELI. — Dwa obowiązki, z których się pani wywiązała wzorowo.

MARSZAŁKOWA. — Tak, co się tyczy dzieci; widział ich pan sześcioro dokoła mnie, za kilka zaś dni będzie pan mógł ujrzyć jeszcze jedno na moich kolanach; ale niech pan zaczyna.

KRUDELI. — Pani marszałkowo, czy istnieje coś dobrego na tym świecie, coby nie miało ujemnej strony?

MARSZAŁKOWA. — Nie.

KRUDELI. — A coś złego, coby nie miało swojej korzyści?

MARSZAŁKOWA. — Również nie.

KRUDELI. — Co pani tedy nazywa dobrem albo złem?

MARSZAŁKOWA. — Złem, to, co ma więcej ujemnych stron niż korzyści; dobrem, przeciwnie, to, co ma więcej korzyści niż ujemnych stron.

KRUDELI. — Czy pani marszałkowa raczy zapamiętać swoją definicyę?

MARSZAŁKOWA. — Zapamiętam. Pan to nazywa definicyą?

KRUDELI. — Tak.

MARSZAŁKOWA. — Zatem to jest filozofia?

KRUDELI. — W najlepszym gatunku.

MARSZAŁKOWA. — Zatem ja filozofuję!

KRUDELI. — Jest pani tedy przekonana, iż religia ma więcej korzyści niż ujemnych stron i dlatego nazywa ją pani dobrem?

MARSZAŁKOWA. — Tak.

KRUDELI. — Co do mnie, nie wątpię, iż intendent okrada panią nieco mniej w przeddzień Wielkiej Nocy niż nazajutrz po świętách; i że, od czasu do czasu, religia zapobiega pewnej ilości drobnych niedoli i wydaje pewną ilość drobnych korzyści.

MARSZAŁKOWA. — Troszka do troszki, to razem robi dużo.

KRUDELI. — Ale, czy sądzi pani, że straszliwe spustoszenia jakie sprawiła w minionych wiekach, i sprawi jeszcze w przyszłości, znajdują dostateczne wyrównanie w tych mizernych korzyściach? Pomyśl pani, iż ona stworzyła i ona utrwała najgwałtowniejsze antypatye między narodami. Niemasz muzułmiana, któryby nie wyobrażał sobie, iż spełnia uczynek miły Bogu i świętemu prorokowi, tępiąc wszystkich chrześcijan, którzy znów, ze swej strony, okazują większą tolerancyę. Pomyśl pani, iż ona stworzyła i ona utrwała, w jednym i tym samym kraju, rozdwojenia, które rzadko się obeszły bez rozlewu krwi.

Historja nasza przedstawia aż nazbyt świeże i oplakane ich przykłady. Pomyśl pani, iż ona stworzyła i ona utrwała, w społeczeństwie między współobywatelami, i w rodzinie między najbliższymi, najgwałtowniejsze i najbardziej wytrwałe nienawiści. Chrystus powiedział, iż przyszedł poto, aby rozdzielić męża z żoną, matkę z dziećmi, brata z siostrą, przyjaciela z przyjacielem, i przepowiednia jego spełniła się aż nazbyt wiernie.

MARSZAŁKOWA. — To są nadużycia, ale nie rzecz sama.

KRUDELI. — To sama rzecz, jeżeli nadużycia są od niej nieodłączne.

MARSZAŁKOWA. — I jak mi pan dowiedzie, że nadużycia religii są nieodłączone od samej-że religii?

KRUDELI. — Bardzo łatwo. Niech mi pani powie: gdyby jakiś mizantrop zaprzysiął sobie nieszczęście rodzaju ludzkiego, cóż mógłby wymyślić lepszego, niż wiarę w isotę niepojętą, co do której ludzie nigdyby się nie mogli porozumieć, a do której przywiązywaliby większą wagę niż do własnego życia? Owóż, czy możebnem jest oddzielić pojęcie bóstwa od jego najgłębszej niepojętości, oraz największej ważności?

MARSZAŁKOWA. — Nie.

KRUDELI. — Niechże pani tedy wyciągnie sama konkluzję.

MARSZAŁKOWA. — Wyciągam tę konkluzję, iż jestto pojęcie, które, w głowach szaleńców, może się stać niebezpieczne.

KRUDELI. — I niech pani doda, że szaleńcy stanowią i będą stanowić zawsze przeważającą liczbę,

i że najniebezpieczniejszymi z nich są ci, których szaleństwo czerpie źródła w religii, a z których burzyciele społeczności umieją w potrzebie uczynić sobie narzędzie.

MARSZAŁKOWA. — Ale trzeba przecież czegoś, coby powstrzymywało ludzi od złych uczynków umykających się surowości praw; jeżeli zaś pan usunie religię, co postawisz na jej miejsce?

KRUDELI. — Gdybym nawet nic nie zdołał postawić w jej miejsce, byłby to zawsze ubytek jednego straszliwego przesądu; nie licząc, iż, w żadnej epoce i w żadnym kraju, mniemania religijne nie stanowiły podstawy obyczajów. Bogowie których ubóstwiali starożytni Grecy i starożytni Rzymianie, to była zgraja najrozwiąźlejszych łajdaków: Jowisz, godny aby go spalić na stosie; Wenus, aby ją umieścić w domu porawy; Merkury, aby go zamknąć w kryminale.

MARSZAŁKOWA. — Sądzisz pan tedy, iż to jest zupełnie obojętne czy jesteśmy chrześcijanami czy poganami; że, jako poganie, nie bylibyśmy gorsi, jako chrześcijanie zaś nie jesteśmy lepsi?

KRUDELI. — Na honor, jestem o tem przekonany, z tą różnicą że bylibyśmy weselsi.

MARSZAŁKOWA. — To niemożliwe.

KRUDELI. — Ależ, pani marszałkowo, czy istnieją chrześcijanie? Ja ich nigdy nie widziałem.

MARSZAŁKOWA. — I to mnie pan mówi, mnie?

KRUDELI. — Nie, pani marszałkowo, nie pani; mówię do pewnej mojej sąsiadki, osoby zacnej i pobożnej jak pani, i która, z najlepszą wiarą w świecie,

uważała się za chrześcijankę, jak pani się za nią uważa.

MARSZAŁKOWA. — I pan jej wykazał, że jest w błędzie?

KRUDELI. — W jednej chwili.

MARSZAŁKOWA. — I jakże się pan wziął do tego?

KRUDELI. — Otworzyłem Nowy Testament, którym się często posługiwała, był bowiem bardzo zniszczony. Odczytałem jej Kazanie na Górze, i, przy każdym punkcie, pytałem: „Czy robi pani to? a to? a to?...“ Posunąłem się dalej jeszcze. Jestto osoba nader piękna, i, mimo iż wielce pobożna, wie o tem; ma płeć bardzo białą, i, jakkolwiek nie przywiązuje wielkiego znaczenia do tej błahej przewagi, nie gniewa się jeśli ją kto zauważy; ma prześliczny gors, i, mimo że bardzo skromna, rada jest, jeśli się, ktoś tego domyśla.

MARSZAŁKOWA. — Byleby wyłącznie ona i jej mąż wiedzieli to napewno.

KRUDELI. — Sądzę, iż mąż wie o tem `lepiej niż ktokolwiek inny; ale, jak na kobietę która się niesie wysoko ze swoim chrystyanizmem, to nie wystarcza. Spytałem jej: „Czy nie jest napisane w Ewangelii, że ten, kto pożąda żony bliźniego swego, popełnia w sercu cudzołstwo?“

MARSZAŁKOWA. — Odpowiedziała że tak?

KRUDELI. — Rzekłem dalej: „A czy cudzołstwo popełnione w sercu nie skazuje na wieczne potępienie równie pewnie, jak cudzołstwo dokonane najbardziej realnie?“

MARSZAŁKOWA. — Odpowiedziała że tak?

KRUDELI. — Rzekłem: „A jeżeli mężczyzna jest potępiony za cudzołóstwo które spełnił w sercu, jakież będzie los kobiety, która zachęca wszystkich wkóło do popełnienia tej zbrodni?“ To ostatnie pytanie zakłopotalo ją.

MARSZAŁKOWA. — Rozumiem: chodzi o to, że nie dość dokładnie zasłaniała ów gors, tak bardzo kształtny.

KRUDELI. — W istocie. Odpowiedziała, iż to jest rzecz przyjęta, jakgdyby było coś bardziej przyjętego niż nazywać się chrześcijaninem a nie być nim; że nie można się ubierać niemodnie, jakgdyby istniało jakieś porównanie pomiędzy tą nędzną śmiesznością, a wiekuistym potępieniem własnem albo bliźniego; że zostawia troskę o strój swej modniarce, jakgdyby nie lepiej było zmienić modniarkę niż wyrzec się religii; że mąż sobie tego życzy, jakgdyby mąż mógł być dość szalony aby wymagać od żony zapomnienia o wstydzie i o obowiązkach, i jakgdyby prawdziwa chrześcijanka była obowiązana posuwać posłuszeństwo dla nierozsądnego męża aż do poświęcenia mu woli Boga oraz wzgardzenia groźbami Odkupiciela!

MARSZAŁKOWA. — Ba, znam dobrze te wszystkie argumenty; byłabym je panu może tak samo przytoczyła jak pańska sąsiadka; ale ani ona, ani ja nie mówiłybyśmy z dobrą wiarą. I cóż ona poczęła, po pańskiem upomnieniu?

KRUDELI. — Nazajutrz po tej rozmowie (był to dzień świąteczny), wracałem do siebie, moja zaś na-bożna i piękna sąsiadka wychodziła właśnie z domu aby się udać na mszę.

MARSZAŁKOWA. — Ubrana jak zazwyczaj.

KRUDELI. — Ubrana jak zazwyczaj. Uśmiechnąłem się, ona się uśmiechnęła, i minęliśmy się nie zamieniając słowa. Pani marszałkowno, uczciwa kobieta! chrześcijanka! osoba nabożna! Po tym przykładzie, oraz stu innych tego samego rodzaju, jakież mogę przyznać religii rzeczywisty wpływ na obyczaje? Prawie żaden, i temci lepiej.

MARSZAŁKOWA. — Jakto, tem lepiej?

KRUDELI. — Tak, pani; gdyby dwudziestu tysiącom mieszkańców Paryża wpadło do głowy ściśle się stosować do kazania na Górze...

MARSZAŁKOWA. — Więc cóż, byłoby kilka ładnych biustów szczelniej zasłoniętych.

KRUDELI. — I tylu obłąkanych, iż naczelnik politycy nie wiedziałby co z nimi począć: wszystkie domy waryatów nie wystarczyłyby dla nich. Istnieją, w natechnionych księgach, dwie moralności: jedna ogólna i wspólna wszystkim narodom, wszystkim wyznaniom, której mniejwięcej przestrzegamy; druga, swoista dla każdego narodu i każdego wyznania, w którą ludzie wierzą, którą głoszą w świątyniach, zalecają w domach, a której nie przestrzegają zgoła.

MARSZAŁKOWA. — I skąd ta sprzeczność?

KRUDELI. — Stąd, iż niepodobieństwem jest podać całe społeczeństwo regule, odpowiadającej jedynie kilku melancholicznym osobnikom, którzy wzorowali ją na swoim charakterze. Z religiami jest tak jak z instytucjami zakonnymi, które wszystkie rozluźniają się z czasem. Są to szaleństwa, które nie mogą długo ostać się przeciw stałemu działaniu natury, sprowadzającej nas do swego prawa. Sprawcie, aby dobro

poszczególnych jednostek było tak ściśle związane z dobrem powszechnem iżby obywatel nie mógł wręcz szkodzić społeczeństwu nie szkodząc samemu sobie; zapewnijcie cnocie nagrodę tak jak zapewniłście karę niegodziwości; niechaj, bez żadnej różnicy obrządku, w jakichkolwiek warunkach ujawni się cnota, prowadzi ona do wysokich stanowisk w Państwie; a nie ujrzycie ludzi złych, poza szczupłą liczbą tych których przewrotna i niezdolna do poprawy natura ciągnie do występku. Pani marszałkowno, pokusa jest za blisko, a piekło za daleko; niech się pani nie spodziewa niczego godnego uwagi prawodawców po splocie niedorzeczności na które brać można jedynie dzieci. System ten zachęca jeno do zbrodni przez łatwość rozgrzeszenia; każe winnemu prosić o przebaczenie Boga za krzywdę wyrządzoną ludziom; kazi porządek obowiązków przyrodzonych i moralnych, poddając go porządkowi obowiązków urojonych.

MARSZAŁKOWA. — Nie rozumiem pana.

KRUDELI. — Wytłómaczę się; ale zdaje mi się, że oto słyszę karę pana marszałka; zjawia się w samą porę aby mnie powstrzymać od powiedzenia głupstwa.

MARSZAŁKOWA. — Powiedz pan, powiedz; nie usłyszę: przyzwyczaiałam się słyszeć jedynie to co mi się podoba.

Zbliżyłem się do ucha marszałkowej i rzekłem pocichu:

— Pani marszałkowno, niech się pani zapyta wikarego swojej parafii, co jest straszliwszą zbrodnią: nasiusiać do poświęcanego naczynia, czy też oczernić dobrą sławę uczciwej kobiety? Zadrzy od zgrozy na

myśl o pierwszym, podniesie krzyk o świętokradztwo; prawo cywilne zaś, które zaledwie interesuje się potwarzą, podczas gdy karze świętokradztwo ogniem, dopełni jeszcze zamętu pojęć i skażenia umysłów.

MARSZAŁKOWA. — Znam niejedną kobietę, która nie ważyłaby się jeść mięsa w piątek, a która... Omal i ja nie powiedziałam głupstwa. Niech pan mówi dalej.

KRUDELI. — Ale, pani marszałkowno, ja koniecznie muszę się widzieć z panem marszałkiem.

MARSZAŁKOWA. — Jeszcze chwilę, a potem pójdziemy doń razem. Nie wiem co panu odpowiedzieć: wszelako nie przekonał mnie pan.

KRUDELI. — Nie zamierzałem bynajmniej pani przekonywać. Z religią jest tak jak z małżeństwem. Małżeństwo, które jest nieszczęściem dla tylu innych, stało się szczęściem dla pani oraz dla pana marszałka; dobrze uczyniliście pobierając się. Religia, która czyniła, czyni i będzie czynić tylu złych, panią uczyniła jeszcze lepszą; dobrze robisz trzymając się jej. Słodko jest pani wyobrazić sobie, obok siebie, ponad swoją głową, wielką i potężną istotę, która patrzy na panią jak kroczyś po ziemi, i ta myśl umacnia twoje kroki. Niech się pani nadal cieszy tym dostojnym orędownikiem swoich myśli, tym widzem, tym szczytnym wzorem swych uczynków.

MARSZAŁKOWA. — Nie masz pan, wedle tego co widzę, manji nawracania.

KRUDELI. — Ani trochę.

MARSZAŁKOWA. — Tem wyżej pana za to cenię.

KRUDELI. — Pozwalam każdemu myśleć na swój sposób, byleby mnie pozwolono toż samo; a zresztą,

ci którzy są stworzeni potemu aby się oswobodzić z przesądów, nie potrzebują aby ich katechizować.

MARSZAŁKOWA. — Czy pan sądzi, iż człowiek może się obejść bez zabobonu?

KRUDELI. — Nie, tak długo, jak długo będzie tkwił w niewiedzy i lęku.

MARSZAŁKOWA. — A zatem, skoro zabobon być musi, lepszy już nasz niż inny.

KRUDELI. — Nie sądzę.

MARSZAŁKOWA. — Niech pan powie szczerze, czy pana nie mierzi ta myśl, iż miałbyś nie być niczem po śmierci?

KRUDELI. — Wolalbym raczej istnieć, mimo iż nie wiem, dlaczego istota, która mogła mnie uczynić nie-szczęśliwym bez przyczyny, nie miałaby się zabawić w ten sam sposób dwa razy.

MARSZAŁKOWA. — Jeżeli, mimo tych dolegliwości, nadzieja życia przyszłego wydaje się panu pocieszającą i słodką, dlaczego nam ją wydzierać?

KRUDELI. — Nie mam tej nadziei, ponieważ samo pragnienie nie wystarcza aby mi przesłonić jej czczość; ale nie odejmuję jej nikomu. Jeżeli można wierzyć, że będzie się widziało, wówczas kiedy się nie będzie miało oczu; że będzie się słyszało, kiedy się nie będzie miało uszu; myślało, kiedy się nie będzie miało głowy; kochało, kiedy się nie będzie miało serca; że będzie się czuło, kiedy się nie będzie miało zmysłów; że będzie się istniało, kiedy się nie będzie nigdzie; że będzie się czemś bez wymiarów i miejsca, zgoda.

MARSZAŁKOWA. — Któż tedy uczynił ten świat, na którym żyjemy?

KRUDELI. — To ja się pani pytam.

MARSZAŁKOWA. — Bóg.

KRUDELI. — Cóż to jest Bóg?

MARSZAŁKOWA. — Duch.

KRUDELI. — Skoro duch stworzył materię, dla-
czegożby materia nie miała stworzyć ducha?

MARSZAŁKOWA. — Dlaczegoż miałyby go stworzyć?

KRUDELI. — Albowiem widzimy to codziennie.

Czy pani myśli, że zwierzęta mają duszę?

MARSZAŁKOWA. — Oczywiście że tak.

KRUDELI. — I czy mogłaby mi pani powiedzieć,
co się dzieje, na przykład, z duszą węża, podczas gdy
wysycha zawieszony w kominie, wystawiony na dzia-
łanie dymu przez dwa lata z rzędu?

MARSZAŁKOWA. — Niechże się dzieje co chce, cóż
mnie to obchodzi?

KRUDELI. — Bo pani marszałkowa nie wie, że
ten wąż, uwędzony, zasuszony, zmartwychwstaje
i odradza się.

MARSZAŁKOWA. — Nie wierzę w nic podobnego.

KRUDELI. — Uczony człowiek, Bougner, tak twierdzi
wszelako.

MARSZAŁKOWA. — Pański uczyony żelgał.

KRUDELI. — A gdyby mówił prawdę?

MARSZAŁKOWA. — Pomyślałabym poprostu, iż
zwierzęta, to są automaty.

KRUDELI. — A człowiek, który jest zwierzęciem
jedynie nieco doskonalszem od innych... Ale pan
marszałek...

MARSZALKOWA. — Jeszcze jedno pytanie, i już koniec. Czy pan jest zupełnie spokojny w swoim niedowiarstwie?

KRUDELI. — Jakknajzupełniej.

MARSZALKOWA. — Gdyby się pan wszelako mylił?

KRUDELI. — Gdybym się mylił?

MARSZALKOWA. — Wszystko co pan uważa za fałszywe byłoby prawdziwe, i czekałoby pana piekło. Panie Krudeli, to straszna rzecz piekło; smażyć się całą wieczność, to bardzo długo!

KRUDELI. — La Fontaine utrzymywał, że będziemy się tam czuli jak ryby w wodzie.

MARSZALKOWA. — Tak, tak; ale pański La Fontaine bardzo spoważniał w ostatnim momencie; tu pana czekam.

KRUDELI. — Nie ręczę za nic, skoro już nie będę przy zmysłach; ale, jeżeli skończę na jedną z owych chorób które zostawiają konającemu człowiekowi pełnię świadomości, nie więcej się będę czuł pomieszany w momencie o którym pani mówi, niż w tej chwili gdy oto z panią rozmawiam.

MARSZALKOWA. — Zdumiewa mnie ta nieustraszonność.

KRUDELI. — O wiele bardziej nieustraszonym wydaje mi się konający, gdy wierzy w surowego sędziego ważącego wszystkie nasze najtajniejsze myśli, i na którego wadze najsprawiedliwszy człowiek zgubiłby się swem zarozumieniem gdyby nie drżał ustawicznie. O ileby ów konający miał wówczas do wyboru, albo pograć się w nicości, albo pojawić się przed tym trybunałem, zdumiewałaby mnie zaiste jego odwaga,

gdyby się wahał z przyjęciem pierwszej możliwości. Trzebaby mniemać iż bardziej jest szalony niż towarzysz św. Brunona, lub też bardziej zadufany w swoich zasługach niż Bohola.

MARSZAŁKOWA. — Czytałam historię towarzysza św. Brunona; ale nigdy nie słyszałam o owym Boholi ¹⁾.

KRUDELI. — Był to jezuita z kolegium w Pińsku, na Litwie; umierając, zostawił szkatułkę pełną pieniędzy, wraz z pismem, skreślonym i podpisanem własną ręką.

MARSZAŁKOWA. — A to pismo?...

KRUDELI. — Opiewało jak następuje: „Proszę mego drogiego kolegę, depozytariusza tej szkatułki, aby ją otworzył, skoro zacznę czynić cudy. Pieniądze w niej zawarte posłużą na koszt procesu beatyfikacji. Dołączam kilka autentycznych dokumentów stwierdzających moje cnoty; mogą się przydać tym, którzy podejmą opis mego żywota“.

MARSZAŁKOWA. — To w istocie pocieszna historia.

KRUDELI. — Dla mnie, pani marszałkowo; ale, co się pani tyczy, pani Bóg nie zna się na żartach.

MARSZAŁKOWA. — Ma pan słuszność.

KRUDELI. — Pani marszałkowo, łatwo jest zgrzeszyć ciężko przeciw twemu Prawu.

MARSZAŁKOWA. — Przyznaję.

KRUDELI. — Sprawiedliwość, która będzie rozstrzygała o pani losie, jest bardzo surowa.

¹⁾ Zapewne Bobela (przyp. tłóm.).

MARSZAŁKOWA. — To prawda.

KRUDELI. — I, jeżeli pani wierzy przepowiedniom swojej religii co do liczby wybranych, będzie ona bardzo szczupła.

MARSZAŁKOWA. — Och, ja nie jestem żansenistką; widzę rzeczy jedynie z dobrej strony: krew Jezusa Chrystusa zasłania moim oczom wszystko inne; byłoby, w istocie, bardzo osobliwem, gdyby djabeł, który nie wydał wszak syna swego na śmierć, miał być górą.

KRUDELI. — Czy skáže pani na potępienie Sokratesa, Focyona, Katona, Trajana, Marka Aurelego?

MARSZAŁKOWA. — Ależ fe! jedynie dzikie bestye zdolne są myśleć coś podobnego. Święty Paweł powiada, iż każdy będzie sądzony wedle prawa które znał, i święty Paweł ma słuszność.

KRUDELI. — A wedle jakiego prawa będzie sądzony człowiek niewierzący?

MARSZAŁKOWA. — Pańska sprawa ma się nieco inaczej. Jesteś pan jednym z owych wyklętych mieszkańców Korozain i Betsaidy, zamykających oczy na światło które ich oświecało i zatykających uszy aby nie słyszeć głosu prawdy który do nich mówił.

KRUDELI. — Pani marszałkowo, owi Korozaińczycy i Betsajczycy byli to ludzie dziwnego pokroju, jeżeli mieli władzę wierzyć albo nie wierzyć.

MARSZAŁKOWA. — Widzieli cudy, które, gdyby się działy w Tyrze i Sydonie, spowodowałyby wielki pokup na worki i na popiół.

KRUDELI. — Bo też mieszkańcy Tyru i Sydonu byli to ludzie inteligentni, mieszkańcy zaś Korozain

i Betsaidy byli ciemne głupki. Ale czy ten, który ich głupcami zrobił, będzie ich karał za to że byli głupcami? Opowiedziałem pani przed chwilą anegdotę, miałbym ochotę opowiedzieć jeszcze bajeczkę. Młody Meksykanin... Ale pan marszałek...

MARSZALKOWA. — Poślę dowiedzieć się czy można z nim mówić. I cóż młody Meksykanin?

KRUDELI. — Znużony pracą, przechadzał się, jednego dnia, nad brzegiem morza. Widzi deskę, która kąpie się jednym końcem w fali, podczas gdy drugi spoczywa na brzegu. Siada na tej desce, i, topiąc spojrzenia w bezkresnej przestrzeni która się przed nim roztacza, tak myśli: „Ani chybi, tylko babcia moja bajdurzy, kiedy prawi o jakichś mieszkańcach, którzy, niewiadomo już kiedy, przybyli tutaj, niewiadomo skąd, z jakiegoś kraju za morzami. To nie ma żadnego sensu: żali nie widzę, jak morze spływa się z niebem? I mogęż wierzyć, wbrew świadectwu zmysłów, starej baśni, której daty nikt nie wie, i którą każdy przykrawa na swój sposób? Toć to jedynie stek niedorzeczności, mimo iż ludzie wyprowadzają sobie o nie serca i wydzierają oczy!“ Podczas gdy tak rozumował, wzburzone fale kołysały go na desce, aż usnął. Śpi sobie smaczno, tymczasem wiatr wzmaga się, fala unosi deskę, i oto młody mędrzek znajduje się na morzu.

MARSZALKOWA. — Niestety! to nasz wierny obraz: każdy z nas na swojej desce; wiatr dmie, i fala nas unosi.

KRUDELI. — Kiedy się obudził, był już daleko od lądu. Zdumiał się, ujrawszy się na pełnym morzu;

zdumiał się jeszcze więcej, skoro, straciwszy z oczu brzeg na którym przechadzał się przed chwilą, ujrzał morze spływające się z niebem ze wszystkich stron. Wówczas, zaczął podejrzewać, iż mógł się snadno pomylić, i że, o ile wiatr nie zmienił kierunku, zanieśe go może na ów brzeg, między tych mieszkańców o których babka mówiła mu tak często.

MARSZAŁKOWA. — Nic pan nie mówi jak musiał się przeląc.

KRUDELI. — Ani trochę. Powiadał sobie: „Cóż mi to szkodzi, bylebym gdzieś wylądował? Rozumowałem jak postrzeleniec, prawda; ale byłem szczerzy sam z sobą, a to wszystko czego można odemnie wymagać. Jeżeli posiadanie rozumu nie jest cnotą, jego brak nie może być zbrodnią“. Tymczasem, wiatr dął dalej, deska płynęła, i tajemniczy brzeg zaczynał się ukazywać: Meksykanin przybił doń, i oto jest w nieznanym kraju.

MARSZAŁKOWA. — Spotkamy się tam kiedyś, panie Krudeli.

KRUDELI. — Pragnę tego, pani marszałkowo; w jakimkolwiek czasie i miejscu, zawsze będzie dla mnie szczęściem przedłożyć pani moje służby. Ledwie opuścił deskę i postawił nogę na piasku, spostrzegł czcigodnego starca stojącego tuż przed nim. Spytał go gdzie jest i z kim ma zaszczyt mówić. „Jestem panem tego kraju, odparł starzec“. Słyszac to, młody człowiek upadł na twarz. „Powstań, rzekł starzec. Przeczyłeś memu istnieniu? — W istocie. — I istnieniu mego władztwa? — Przyznaję. — Przebaczam ci, ponieważ jestem ten, który widzi dno serc, i wyczy-

tałem w twojem że myślisz uczciwie: ale reszta twoich myśli i uczynków nie jest równie niewinna". Wówczas, starzec, trzymając go za ucho, przypomniał mu wszystkie błędy życia; za każdym punktem, młody Meksykanin schylał się, uderzał się w pierś i prosił o przebaczenie. A teraz, pani Marszałkowo, niech się pani postawi na chwilę na miejscu starca, i powie mi, coby pani zrobiła? Czyby pani wzięła młodego głuptasa za włosy, i znajdowała przyjemność w tem aby go włóczyć przez całą wieczność po brzegu?

MARSZAŁKOWA. — Przyznaję że nie.

KRUDELI. — Gdyby które z tych miłych dziełeczek igrających koło pani, wymknąwszy się z domu rodzicielskiego i narobiwszy siła głupstw, wróciło wielce skruszone?

MARSZAŁKOWA. — Co do mnie, pobiegłabym na jego spotkanie, utuliłabym je w ramionach i skropiłabym je łzami; ale pan marszałek, jako ojciec, nie wziąłby rzeczy tak łagodnie.

KRUDELI. — Pan marszałek też nie jest tygrysem.

MARSZAŁKOWA. — Och, nie!

KRUDELI. — Srożyłby się może nieco, aleby przebaczył w końcu.

MARSZAŁKOWA. — Z pewnością.

KRUDELI. — Zwłaszcza gdyby wziął pod uwagę, iż, zanim dał życie temu dziecku, znał wszystkie jego koleje, i że kara za jego winy byłaby bez żadnego pożytku i dla niego samego, i dla winnego, i dla jego braci.

MARSZAŁKOWA. — Co innego pan marszałek, a co innego ów starzec.

KRUDELI. — Chce pani powiedzieć, że pan marszałek jest lepszy od owego starca?

MARSZAŁKOWA. — Niechże mnie Bóg broni! Chcę powiedzieć, że, jeżeli moja sprawiedliwość różni się od sprawiedliwości pana marszałka, sprawiedliwość pana marszałka może być odmienna niż sprawiedliwość wielkiego starca.

KRUDELI. — Och, pani! nie zdaje sobie pani sprawy z następstw tej odpowiedzi. Albo ogólne pojęcie sprawiedliwości odpowiada jednako pani, panu marszałkowi, mnie, młodzieńcowi z Meksyku i starcowi, albo też nie wiem nic zgoła co to takiego, i nie mam pojęcia jak można stać się miłym albo niemiłym najwyższej istocie.

W tym punkcie rozmowy dano znać, iż pan marszałek nas oczekuje. Podałem rękę marszałkowej, która rzekła: To w głowie może się pomięszać, nieprawdaż?

KRUDELI. — O ile ktoś ma tęgą głowę...

MARSZAŁKOWA. — Ostatecznie, najprostsze jest zachować się tak, jakgdyby starzec istniał.

KRUDELI. — Nawet gdy się w to nie wierzy.

MARSZAŁKOWA. — A gdyby się wierzyło, nie liczyć na jego dobroć.

KRUDELI. — Jeżeli to nie jest najuprzejmiej, jestto, w każdym razie, najpewniejsze.

MARSZAŁKOWA. — Niech mi pan powie, **gdyby**

pan miał zdać sprawę władzom ze swoich poglądów, czy przyznałby się pan do nich?

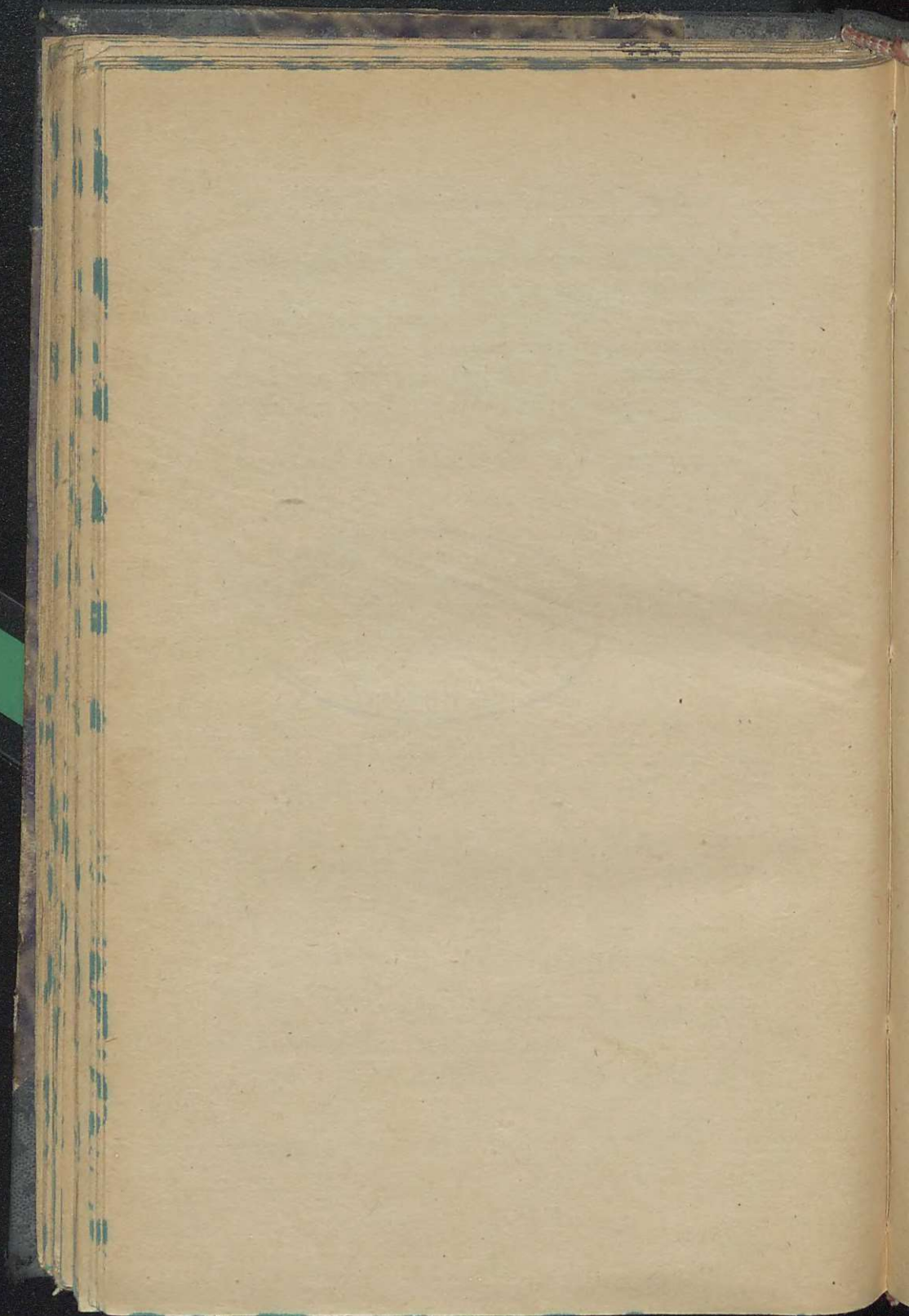
KRUDELI. — Uczyniłbym co w mej mocy, aby im oszczędzić okrutnego postępku.

MARSZAŁKOWA. — A, tchórz! A gdyby pan miał umierać, czy poddałby się pan obrządkom kościoła?

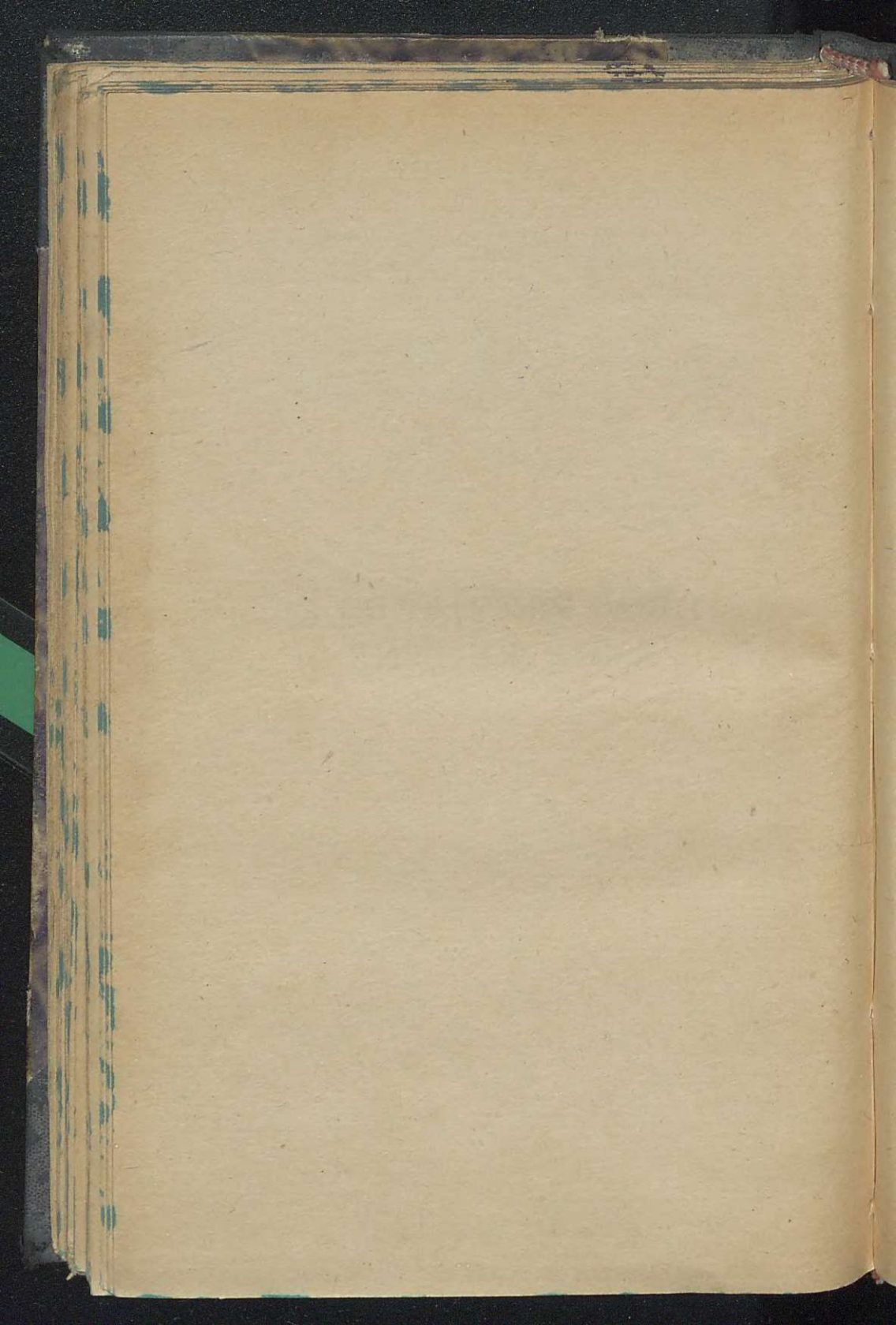
KRUDELI. — Bez wahania.

MARSZAŁKOWA. — O cóż za szkaradny hipokryta!





DWAJ PRZYJACIELE
Z BOURBONNE.



DWAJ PRZYJACIELE Z BOURBONNE ¹⁾

Było tu dwóch ludzi, których możnaby nazwać Orestem i Pyladem z Bourbonne. Jeden zwał się Oliwier, drugi Feliks; urodzili się tego samego dnia, w tym samym domu, z dwóch siostr. Wykarmili się tem samem mlekiem; jedna z matek bowiem zmarła w położu, druga zaś zaopiekowała się jej dzieckiem. Wychowali się razem; żyli zawsze na uboczu; kochali się tak jak się istnieje, jak się żyje, nieświadomie; czuli to w każdej chwili, a nigdy może nie rozmawiali o tem. Oliwier ocalał raz życie Feliksowi, który, będąc śmiałym pływakiem, omal się nie utopił; ani jeden ani drugi nie pamiętał tego wydarzenia. Sto razy Feliks wydobył Oliwiera z niebezpieczeństw w jakie go wtrącał jego gwałtowny charakter; nigdy Oliwierowi nie przyszło na myśl podziękować mu za to;

¹⁾ Utwór ten, napisany w r. 1770 jako odpowiedź na *Dwóch przyjaciół* Saint-Lamberta, wywarł żywe wrażenie w kołach niemieckich studentów (Goethe, *Pamiętniki*), i wpłynął na powstanie zbójców Schillera. Diderot napisał to opowiadanie w Bourbonnelles-Bains, niedaleko rodzinnego Langres, gdzie odwiedził przyjaciółkę bawiącą tam z chorą córeczką. Utwór ten przesyła młodociana chora, czyli *siostrzyczka, braciszekowi*, który przesał jej irokezką powiastkę Saint-Lamberta.

wracali razem do domu, milcząc, albo mówiąc o czem innym.

Skoro przyszło im ciągnąć losy do wojska i Feliks wyciągnął zły los, Oliwier rzekł: „Drugi będzie dla mnie“. Odbyli czas służby, wrócili razem do domu; czy jeszcze drożsi sobie wzajem niż wprzódy, za to nie mogą ręczyć: o ile bowiem, braciszku, zobopólne dobrodziejstwa umacniają przyjaźń świadomą, być może nie mają one wpływu na uczucia które byłbym skłonny nazwać przyjaźnią zwierzęcą, instynktowną. W wojsku, podczas potyczki, kiedy nieprzyjacielska szabla miała rozplatać Oliwierowi głowę, Feliks wystawił się machinalnie na cios, i wyniósł szramę na całe życie. Powiadają że był dumny z tej rany; co do mnie, nie przypuszczam. Pod Hastembeck ¹⁾, Oliwier wydobył Feliksa z wału trupów gdzie go porzucono.

Skoro ich kto pytał, wspominali niekiedy o usługach jakie który z nich otrzymał od drugiego, nigdy o tych które mu oddał. Oliwier mówił o Feliksie, Feliks o Oliwierze; ale nie chwalili się wzajem. Po jakimś czasie pobytu w swoich stronach, zakochali się, a przypadek chciał iż pokochali jedną i tę samą dziewczynę. Nie było mowy o współzawodnictwie; pierwszy który przejrzał miłość przyjaciela, usunął się: był to Feliks. Oliwier poślubił ukochaną, Feliks zaś, zmierzony życiem sam nie wiedząc czemu, rzucił się w różne awanturnicze rzemiosła i skończył na przemytnictwie.

¹⁾ 1757.

Wiadomo ci, braciszku, że istnieją we Francji cztery trybunały w których sądzą przemytników: Caen, Reims, Valence i Tuluza. Najsurowszym z czterech jest trybunał w Reims, gdzie przewodniczy niejaki Coleau, najbardziej krwiożercza dusza jaką natura stworzyła kiedykolwiek. Feliksa ujęto z bronią w rękę i zawiedziono przed strasznego Coleau, który skazał go na śmierć, jak pięciuset innych przed nim. Oliwier dowiedział się o losie przyjaciela. Jednej nocy, wstaje od boku żony, i, nic jej nie mówiąc, udaje się do Reims. Zwraca się do sędziego, rzuca mu się do stóp, i błaga o tę łaskę aby mógł ujrzeć i uściskać Feliksa. Coleau patrzy nań, milczy przez chwilę i daje znak aby usiadł. Oliwier siada. Po upływie pół godziny, Coleau wydobywa zegarek i mówi: — Jeżeli chcesz ujrzeć i uściskać przyjaciela za życia, spiesz się, jest w drodze; jeżeli mój zegarek idzie dobrze, przed upływem dziesięciu minut będzie wisiał“.

Oliwier, rozwścieczony, zrywa się, wymierza w kark sędziego potężny raz kijem rozciągając go niemal bez życia, pędzi na miejsce kaźni, przybywa, krzyczy, rzuca się na kata, uderza na strażników, buntuje ludność oburzoną temi egzekucjami. Kamienie zaczynają latać, Feliks ucieka; Oliwier też myśli o ucieczce; ale żandarm przebił mu bok bagnetem, czego w pierwszej chwili nie czuł. Dotarł do bram miasta, ale nie mógł iść dalej; litościwi woźnice wsadzili go na wóz i złożyli u bramy domu na chwilę przed skonem; miał tylko czas powiedzieć: „Żono, zbliż się, niech cię uściskam. Ja umieram, ale Feliks ocalony“.



Jednego wieczora, kiedyśmy się wybrali, wedle zwyczaju, na przechadzkę, ujrzelśmy, przed drzwiami jakiejs chaty, kobietę słusznego wzrostu i] czworo drobnych dzieci u jej stóp. Postawa jej, pełna smutku i dzielności zarazem, ściągnęła naszą uwagę, ona zauważyła nas również. Po chwili milczenia, rzekła: „Oto czworo drobnych dzieci; jestem ich matką, a nie mają już ojca“. Ten dumny sposób przyzywania współczucia trafił nam do serca. Ofiarowaliśmy jej pomoc, którą przyjęła zgodnością: przy tej-to sposobności dowiedzieliśmy się dziejów męża jej Oliwiera i przyjaciela jego, Feliksa. Wspomnieliśmy o niej wpływowym osobom, i mam nadzieję że naszej polecenie nie było daremne. Widzisz stąd, iż wielkość duszy i wysokie przymioty moralne zdarzają się w każdym stanie i w każdym kraju; iż niejednemu człowiekowi, który umiera nieznanym, brakowało jedynie szerszej areny, i że, aby znaleźć dwóch przyjaciół, nie trzeba udawać się aż do Irokezów.

Zyczyłeś sobie, braciszku, wiedzieć co się stało z Feliksem; jest to ciekawość tak prosta, a pobudka jej tak chwalebna, iż wyrzucaliśmy sobie nieco żeśmy o tem nie pomyśleli. Aby naprawić ten błąd, wspomnieliśmy zrazu X. Papin, doktora teologii i proboszcza u Najśw. Panny w Bourbonne; daliśmy wszelako pierwszeństwo wice-delegatowi Aubert, człowiekowi bardzo zacnemu, bardzo uczynnemu, który nam przesłał następującą opowieść. Możesz polegać na jej wiarygodności.

„Ów Feliks żyje jeszcze. Wymknąwszy się z rąk sprawiedliwości, rzucił się w okoliczne lasy, których

ścieżki i przesmyki poznał w czasie gdy uprawiał przemytnictwo, i, kołując, starał się zbliżyć pomału do mieszkania Oliwiera, o którego losie nic nie wiedział.

„W głębi lasu, w okolicy gdzie pani przechadzała się niekiedy, mieszkał węglarz, którego chata służyła za schronienie przemytnikom, oraz za składnicę towaru i broni. Tam-to udał się Feliks, nie bez trudu uniknąwszy sideł żandarmów, którzy ścigali go trop w trop. Ten i ów z kompanów przyniósł wiadomość o jego uwięzieniu w Reims, tak iż para węglarzy uważała go za straconego, kiedy się nagle zjawił.

„Opowiem rzecz tak jak ją słyszałem z ust węglarki, która zmarła niedawno temu.

„Pierwsze ujrzały go dzieci, wałęsające się dookoła zagrody. Podczas gdy przybysz zatrzymał się pieszcząc najmłodsze którego był ojcem chrzestnym, inne wpadły do chaty wołając: Feliks! Feliks! Rodzice wyszli powtarzając ten sam krzyk radości; ale nie-szczęśliwy tak był wyczerpany głodem i znużeniem, iż nie miał siły odpowiadać i upadł wpół-zemdlony w ich ramiona.

„Pocziwi ludzie wspomogli go czem mieli, dali mu chleba, wina, nieco jarzyny; zjadł i usnął.

„Skoro się zbudził, pierwszym jego słowem było: — Oliwier! Dzieci, czy nie wiecie nic o Oliwierze? — Nie, odparły. Opowiedział co zaszło w Reims; noc i następny dzień spędził w chacie. Wzdychał, wymawiał imię Oliwiera; przypuszczał, iż znajduje się w więzieniu w Reims; chciał tam pędzić, chciał umrzeć wraz z nim; nie bez trudu para węglarzy odwiodła go od tego zamiaru.

„Drugiego dnia, około północy, zarzucił strzelbę, wziął szablę pod pachę, i rzekł z cicha do węglarza: „Węglarzu! — Co, Feliksie? — Weź siekierę i chodźmy. — Dokąd? — Dobrze pytanie! do Oliwiera“. Idą, ale, gdy wychodzili z lasu, ogarnął ich oddział żandarmów.

„Polegam na tem co mi opowiadała węglarzowa; ale niesłychanem jest, aby dwóch ludzi pieszo zdołało stawić opór dwudziestu ludziom na koniach; widocznie tamci byli rozprószeni i chcieli ująć ofiarę żywcem. Jakbądź się rzeczy miały, walka była gorąca; pięć koni wyszło z niej pokaleczonych a siedmiu ludzi porąbanych szablą lub siekierą. Biedny węglarz padł martwy, ugodzony kulą w skroń; Feliks wpadł z powrotem do lasu, że zaś obdarzony jest nieporównaną zwinnością, biegał z jednego miejsca na drugie, w biegu nabijał fuzyę, strzelał, dawał sygnały gwizdawką. Te gwidania, te strzały z fuzyi oddawane raz po raz z rozmaitych miejsc, obudziły w żandarmach obawę iż mają do czynienia z całą zgrają przemytników; jakoż, cofnęli się rozważnie.

„Skoro Feliks przekonał się że są daleko, wrócił na pole bitwy; wziął trupa węglarza na ramiona i puścił się z powrotem do chaty, gdzie węglarzowa i dzieci spały jeszcze. Zatrzymał się u drzwi, złożył trupa na ziemi, i usiadł oparłszy się o drzewo, twarzą zwrócony ku wejściu do chaty. Oto widok, jaki czeka węglarkę gdy wyszła z szałas.

„Budzi się, nie znajduje męża obok siebie, szuka oczyma Feliksa, niema Feliksa. Wstaje, wychodzi, spostrzega, wydaje krzyk, pada na wznak. Nad-^oiegaj

dzieci, widzą, krzyczą; rzucają się na ciało ojca, rzucają się na matkę. Węglarzowa, przywołana do zmysłów hałasem i krzykami dzieci, wydziera sobie włosy, szarpie paznogciami policzki. Feliks, nieruchomy u stóp drzewa, z zamkniętymi oczyma, z głową przechyloną wstecz, mówił gasnącym głosem: „Zabijcie mnie!“ Nastawała chwila milczenia, poczem rozpacz i krzyki zaczynały się na nowo, Feliks zaś powtarzał znowu: „Zabijcie mnie, dzieci! przez litość, zabijcie mnie!“

„Spędzili w ten sposób trzy dni i trzy noce na rozpacz; czwartego, Feliks rzekł: „Kobieto, weź sakwy, włóż chleba, i pójdz za mną“. Po długiem kołowaniu przez góry i lasy, przybyli do domu Oliwiera; dom ten leży, jak pani wiadomo, na skraju miasteczka, w miejscu gdzie gościniec rozszczepia się na dwie drogi, jedna do Franche-Comté, druga do Lotaryngii.

„Tam-to Feliks dowie się o śmierci Oliwiera i znajdzie się między wdowami po dwóch ludziach zabitych z jego przyczyny. Wchodzi i pyta żywo żony Oliwiera: „Gdzie Oliwier“. Z milczenia jej, ze stroju, łez, zrozumiał że Oliwier nie żyje. Zaćmiło mu się w oczach; upadł i rozciął sobie głowę o dziekłę do zarabiania chleba. Wdowy podniosły go; krew jego barwiła im ręce, podczas zaś kiedy obcierały go fartuchami, on mówił: I wy, ich żony, wy spieszycie mu z pomocą! Mdlął znowu, wracał do przytomności i powiadał wzdychając: Czemuż mnie nie poniechał? POCO CHODZIŁ DO REIMS? JAK MOŻNA BYŁO MU POZWOLIĆ NA TO?... TO ZNÓW, JAKGDYBY ROZUM MU SIĘ MAŁIŁ, WPADAŁ W SZAŁ, TARZAŁ SIĘ PO ZIEMI I DARŁ NA SOBIE

odzież. W jednym z takich napadów, wydobył szablę i chciał się przebić; kobiety rzuciły się nań, wołając o pomoc; nadbiegli sąsiedzi, związano go sznurami i puszczano mu krew kilka razy. Szał jego opadł wraz z wyczerpaniem sił, przez kilka dni leżał jak martwy, poczem zaczęła mu wracać świadomość. W pierwszej chwili, powiódł oczyma dokoła siebie jak człowiek który budzi się z głębokiego snu i rzekł: Gdzie jestem? Kobiety, kto wy jesteście? Węglarzowa odparła: Jestem węglarzowa.. Rzekł: Ach! tak, węglarzowa... A pani?.. Żona Oliwiera zmiłkła. Wówczas, zaczął płakać; obrócił się do ściany i rzekł wśród łez: Jestem u Oliwiera... to łóżko, to łóżko Oliwiera... a ta kobieta którą tu widzę, to jego żona! Och!...

„Obie kobiety zajęły się tak troskliwie, obudziły w nim tyle współczucia, prosiły go tak usilnie aby żył, przedkładały mu w tak wzruszający sposób że jest ich jedyną podporą, iż dał się przekonać.

„Przez cały czas który pozostał w tym domu, nie położył się już. Wychodził w nocy, błądził po polach, tarzał się po ziemi, wzywał Oliwiera; jedna z kobiet szła za nim zdaleka krok w krok i przyprowadzała go o świcie z powrotem.

„Wiele osób wiedziało o jego bytności w chacie Oliwiera; wśród nich byli i niezyczliwi. Obie wdowy uprzedziły go o niebezpieczeństwie na jakie się naraża; było to popołudniu, Feliks siedział na ławce, z szablą na kolanach, wsparty łokciami na stole, z głową utopioną w dłoniach. Zrazu nie odpowiedział nic. Żona Oliwiera miała syna siedmasto- czy ośmnasto-letniego

węglarzowa dziewczynę piętnastoletnią. Naraz rzekł: Węglarzowa, idźcie po córkę i sprowadźcie ją tutaj... Feliks miał skrawek łąki, sprzedał ją. Węglarzowa wróciła z córką, syn Oliwiera zaślubił ją; Feliks wręczył im pieniądze uzyskane za łąkę, uściskał ich, poprosił z płaczem o przebaczenie, poczem udali się na gospodarstwo do chaty gdzie mieszkają jeszcze zastępując ojca i matkę reszcie dzieci. Wdowy zamieszkały razem; tak, dzieci Oliwiera zyskały ojca i dwie matki.

Jest blisko półtora roku jak węglarzowa umarła; żona Oliwiera opłakuje ją jeszcze codziennie.

Jednego dnia, kiedy śledziły Feliksa (jedna z nich bowiem zawsze go miała na oku) ujrzały, iż zalewał się łzami; wyciągał w milczeniu ręce ku drzwiom następnie dalej narządzał swój worek. Nie rzekły nic, rozumiały bowiem zresztą jak bardzo to rozstanie było konieczne. Spożyli wszyscy troje wieczerzę w milczeniu. Zapadła noc; kobiety nie spały, Feliks zbliżył się do drzwi na końcach palców. Zatrzymał się, spojrzął w stronę legowiska obu kobiet, otarł sobie oczy rękami i wyszedł. Kobiety padły sobie w ramiona i spędziły resztę nocy płacząc. Nie wiadomo było dokąd się schronił, ale nie było tygodnia aby im nie przesłał jakiej pomocy.

Las, w którym córka węglarzy żyje z synem Oliwiera należy do niejakiego p. Leclerc de Raçonnières, człowieka bardzo bogatego, właściciela innej jeszcze wioski, zwanej Courcelles. Jednego dnia, kiedy p. de Raçonnières albo de Courcelles, jak pani woli, był na polowaniu, przybył do chatki Oliwierowego

syna; wszedł, zaczął się bawić z dziećmi, które były bardzo ładne, i zaczął je wypytywać. Twarz młodej kobiety, również niebrzydkiej, wydała mu się sympatyczna; mężka postawa męża, który miał wiele z ojca, zwróciła jego uwagę. Dowiedziawszy się o przejściach rodziców, przyrzekł postarać się o ulaskawienie Feliksa. Poczynił w tej mierze kroki i uzyskał je.

Feliks wstąpił w służbę pana de Rançonnières, który dał mu miejsce leśnego.

Upłynęło blisko dwa lata, przez które żył w zamku Rançonnières, posyłając wdowom znaczną część swoich zasług, kiedy przywiązanie do pana i duma charakteru wplątały go w pewną sprawę, błahą w samym założeniu, ale o bardzo przykrych następstwach.

P. de Rançonnières sąsiadował w Courcelles z panem de Fourmont, radcą trybunału w Chaumont. Oba domy rozdzielał jedynie kamienny słup; słup ten znajdował się tuż przy bramie pana de Rançonnières i utrudniał odjazd powozom. P. de Rançonnières kazał przesunąć słup o kilka stóp w stronę pana Fourmont; ten odepchnął słup o tyleż ku panu de Rançonnières; stąd nienawiść, zniewagi, proces między dwoma sąsiadami. Sprawa o słup graniczny dała początek paru innym, bardziej doniosłym procesom. Tak stały rzeczy, kiedy, jednego wieczora, p. de Rançonnières, wracając z polowania w towarzystwie leśniczego swego, Feliksa, spotkał, na środku gościńca, sędziego Fourmont, i brata jego, wojskowego. Ten rzekł do brata: „Mój bracie, gdyby tak rozplątać gębę temu sk....., jak ci się wydaje?”.

P. de Rançonnières nie słyszał tego odezwania, ale, nieszczęściem, usłyszał je Feliks, który, zwracając się dumnie do młodego junaka, rzekł: Ejże, panie oficerze, czy w istocie byłbyś dość dzielny aby się ważyć na spełnienie tego co wyrzekłeś? To mówiąc, kładzie strzelbę na ziemi i dobywa szabli, nie ruszał się bowiem nigdy bez swej szabli. Młody wojskowy dobywa szpady, skacze ku Feliksowi; pan de Rançonnières nadbiega, rzuca się między nich, chwytając leśniczego. Tymczasem, oficer podnosi strzelbę leżącą na ziemi, mierzy do Feliksa, chybia; ten odpowiada ciosem szabli, wytrąca szpadę z rąk młodego człowieka, pozbawiając go, wraz ze szpadą, połowy ramienia; i oto proces kryminalny wikła kilka dawnych procesów cywilnych. Wtrącają Feliksa do więzienia, rozpoczynają się surowe śledztwo; w następstwie, sędzia traci swą godność i niemal cześć, oficera wykluczają z korpusu oficerskiego, p. de Rançonnières umiera ze zmartwienia, Feliksowi zaś, ciągle tkwiącemu w więzieniu, zaprzysięga nienawiść cała rodzina Fourmontów. Czekaliby go smutny koniec, gdyby miłość nie przyszła mu z pomocą; córka dozorca rozkochała się w nim i ułatwiła mu ucieczkę; jeżeli to nie jest istotna prawda, takie było przynajmniej powszechne mniemanie. Udał się do Prus, gdzie służy dzisiaj w gwardyi. Powiadają, iż cieszy się miłością towarzyszy, a nawet zwrócił na siebie oko króla. Przybrał sobie imię *Smutny*. Wdowa po Oliwierze powiada, iż zawsze ją wspomaga.

„Oto, pani, wszystko co mogłem zebrać o dziejach Feliksa. Dołączam do swego opowiadania list X. Papin, naszego proboszcza. Nie wiem co zawiera, ale

obawiam cię iż biedny ksiądz, który ma głowę nieco ciasną a serce dość oschłe, ocenia Oliwier a Feliksa pod kątem swoich uprzedzeń. Zaklinam panią, abyś zechciała wspierać się na faktach, na których prawdzie możesz polegać, oraz na dobroci własnego serca; ono oświeci cię lepiej niż najteższy kazuista Sorbony, którym nie jest X. Papin“.

*List X. Papin, doktora teologii i proboszcza
Najśw. Panny w Bourbonne.*

„Nie wiem, pani, co p. wicedelegat mógł jej opowiedzieć o Oliwierze i Feliksie, ani też jakiego rodzaju zainteresowanie mogą budzić w pani dwaj opryszki, których każdy krok na tej ziemi zbroczony był krwią. Opatrzność ukarała już jednego, drugiemu zaś użyczyła paru chwil odwłoki z których lękam się iż nie skorzysta: ale niechaj się dzieje woła boża! Wiem że są tutaj osoby (i nie dziwiłbym się gdyby p. wicedelegat był w ich liczbie), które mówią o tych dwóch ludziach jako o wzorze rzadkiej przyjaźni; ale czem jest w oczach Boga najbardziej wzniosła cnota, odarta z uczuć litości, szacunku należnego Kościołowi i jego sługom, oraz poddania prawom monarchy? Oliwier umarł na progu swego domu, bez sakramentów; kiedy mnie wezwano do Feliksa w pomieszkaniu wdów, nie mogłem zeń wydobyć nic więcej prócz imienia Oliwier; żadnego znaku religii, żadnego objawu skruchy. Nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek człowiek ten zjawił się u stopni konfesyonału. Żona Oliwier, to zuchwała istota, która uchybiła mi

nie jeden raz; dlatego że umie czytać i pisać, sądzi iż zdoła sama wychować swoje dzieci; jakoż, nie ujrzy się ich ani w parafialnej szkole ani na moich naukach. Niech pani osądzi, wedle tego, czy ludzie tego rodzaju zasługują na jej łaskę! Ewangelia zaleca nam pilnie współczucie dla biednych; ale podwaja zasługę miłosierdzia kto umie uczynić wybór między nędzarzami, a nikt lepiej nie zna prawdziwie potrzebujących jak wspólny pasterz bogatych i ubogich. Gdyby pani raczyła mnie zaszczycić zaufaniem, umieściłbym może skarby jej miłosierdzia w sposób bardziej użyteczny dla biedaków a bardziej zaszczytny dla niej.

Pozostaję, z uszanowaniem, etc“.

Pani de *** podziękowała wicedelegatowi Aubert za trudy i przesłała wsparcie na ręce p. X. Papin, wraz z następującym bilecikiem.

„Bardzo jestem obowiązana wielebnemu ojcu za jego roztropne rady. Historya tych ludzi wzruszyła mnie, wyznaję; zgodzi się pan, że przykład tak rzadkiej przyjaźni może łącznie uwieść duszę zacną i tkliwą; ale oświeciłeś mnie, ojcze; zrozumiałam, że lepiej użyzyć pomocy cnotom chrześcijańskich a nieszczęśliwym niż cnotom naturalnym i pogańskim. Proszę przyjąć tę skromną sumę, którą przesyłam na pańskie ręce, i rozdzielić ją w myśl miłosierdzia lepiej pojętego niż moje.

„Mam zaszczyt, etc.“

Można się domyślić, że wdowa po Oliwierze i Feliks nie oglądali ani szeląga z jałmużn pani de ***. Feliks umarł, a biedna kobieta byłaby zginęła z głodu

wraz z dziećmi, gdyby nie schroniła się do lasu, do starszego syna, gdzie, mimo podeszłego wieku, pracuje i żyje jak może w otoczeniu dzieci i wnuków“.

A przytem, są trzy rodzaje opowieści... Jest ich o wiele więcej, powiecie... Wybaczcie; ale ja rozróżniam opowieść na sposób Homera, Wergilego, Tassa, i nazywam ją *cudowną*. Natura ulega w niej wyolbrzymieniu; prawda jest hipotetyczna. Jeżeli opowiadający dobrze zachował typ który obrał, jeżeli wszystko, i w działaniu i w odezwaniach, zgadza się z tym typem, wówczas uzyskał stopień doskonałości jaki się da osiągnąć w tego rodzaju utworze: nie macie prawa żądać odeń nic więcej. Zapuszczając się w taki poemat, stawiacie nogę w nieznaną krainę, gdzie nic nie odbywa się tak jak tam gdzie wy mieszkacie, ale wszystko dzieje się w wielkich rozmiarach, tak jak *dokoła* was w małych. Istnieje dalej powiastka ucieszna, na sposób La Fontaine'a, Vergiera, Aryosta, Hamiltona, gdzie pisarz nie zakłada sobie ani naśladowania natury, ani prawdy, ani złudzenia; rzuca się w przetwory wyobraźni. Powiedzcie mu: Bądź wesoły, pomysłowy, urozmaicony, oryginalny, nawet szalony, godzę się; ale porwij mnie szczegółami; niechaj wdzięk formy przesłania mi wciąż nieprawdopodobieństwo treści: jeżeli pisarz zdołał tego dokazać, uczynił wszystko. Jest wreszcie opowieść historyczna, taka jak nowele Scarona, Cerwantesa, Marmontela..

— Do czarta z powieścią i powieściopisarzem historycznym! to płascy i nudni łgarze...

— Tak, o ile nie znają swojego rzemiosła. Taki

zamierza cię oszukać; rozgościł się w twoim domu, ma za cel najwierniejszą prawdę; chce aby mu wierzone; chce zaciekać, zająć, porwać, wzruszyć, przyprawić o dreszcz i wycisnąć łzy: których to rzeczy nie da się osiągnąć bez wymowy i poezyi. Ale wymowa jest poniekąd kłamstwem, a nic przeciwniejszego złudzeniu prawdy niż poezya; i jedna i druga przesadzają, wydymają, potęgują, budzą nieufność: jakżeż się tedy weźmie do rzeczy taki pisarz aby cię oszukać? Oto jak. Upstry swoje opowiadanie drobnymi okolicznościami tak związanymi z treścią, rysami tak prostymi, tak naturalnymi, a wszelako tak trudnymi do wymyślenia, iż będziesz zmuszony powiedzieć sobie w duchu: Na honor, to musi być prawda: tego rodzaju rzeczy nie da się wymyślić. W ten sposób, ocali przesadę wymowy i poezyi; prawda natury pokryje ułudę sztuki; autor uczyni zadość dwóm warunkom, napozór sprzecznym: będzie równocześnie historykiem i poetą, prawdomownym i kłamcą.

Przykład zapożyczony z innej sztuki lepiej może uzmysłowi to co, chcę wyrazić. Malarz przedstawia na płótnie jakąś głowę. Wszystkie rysy są silne, wielkie i regularne; całość daje wrażenie rzadkiej doskonałości. Patrząc na tę twarz, odczuwam szacunek, podziw, grozę. Szukam dla niej w naturze wzoru, i nie znajduję; wszystko, w porównaniu, jest słabe, drobne i liche; jestto głowa idealna, czuję to, mówię to sobie. Ale, niechaj artysta ukaże mi na czole tej głowy jękką bliznę, brodawkę na skroni, nieznaczoną zadziorkę na dolnej wardze; w jednej chwili, z idealnej głowy, staje się ona portretem; parę śladów ospy w okolicy



oka lub nosa, a ta twarz kobieca nie jest już twarzą Wenery; to portret którejś ze znajomych mi dam. Powiem tedy naszym historycznym bazarom: Portrety wasze są piękne, zgoda; ale brakuje brodawki na skroni, zadziorki na wardze, śladów ospy w okolicy nosa, któreby im dały piętno prawdy. Jak mawiał mój przyjaciel Caillot: ¹⁾ „Niecio pyłu na trzewikach i już oto nie wychodzę z garderoby, ale wracam ze wsi.“

Atque ita mentitur, sic veris falsa remiscet,
Primo ne medium, medio ne discrepet inum.

Horat. de Art. poet., w. 151.

A teraz, po odrobinie poetyki, nieco morału; to jest tak na miejscu! Feliks był-to nędzarz, który nie posiadał nic, Oliwier drugi nędzarz który nie posiadał nic: powiedzcie toż samo o węglarzu, węglarzowej, i innych osobistościach tej powiastki, i wyciągnijcie wniosek, iż zupełna i trwała przyjaźń może istnieć jedynie między osobami które nie mają nic. Człowiek wówczas stanowi całe mienie swego przyjaciela, jak tamten znów jego. Stąd prawdziwość doświadczenia, że nieszczęście zacieśnia węzły; i temat do jeszcze jednego paragrafu w pierwszym wydaniu książki *O Duchu* ²⁾.

¹⁾ Jeden z najlepszych aktorów włoskiego teatru w Paryżu.

²⁾ Helwecyusza.



hobbizem - prozau

SPIS RZECZY.

	Str
Od tłumacza	I
To nie bajka...	1
Przyczynek do podróży Bougainville'a	33
Rozmowa ojca z dziećmi	105
Pani de la Carlière	141
Rozmowa filozofa z Marszałkową de ***	175
Dwaj przyjaciele z Bourbonne	201

